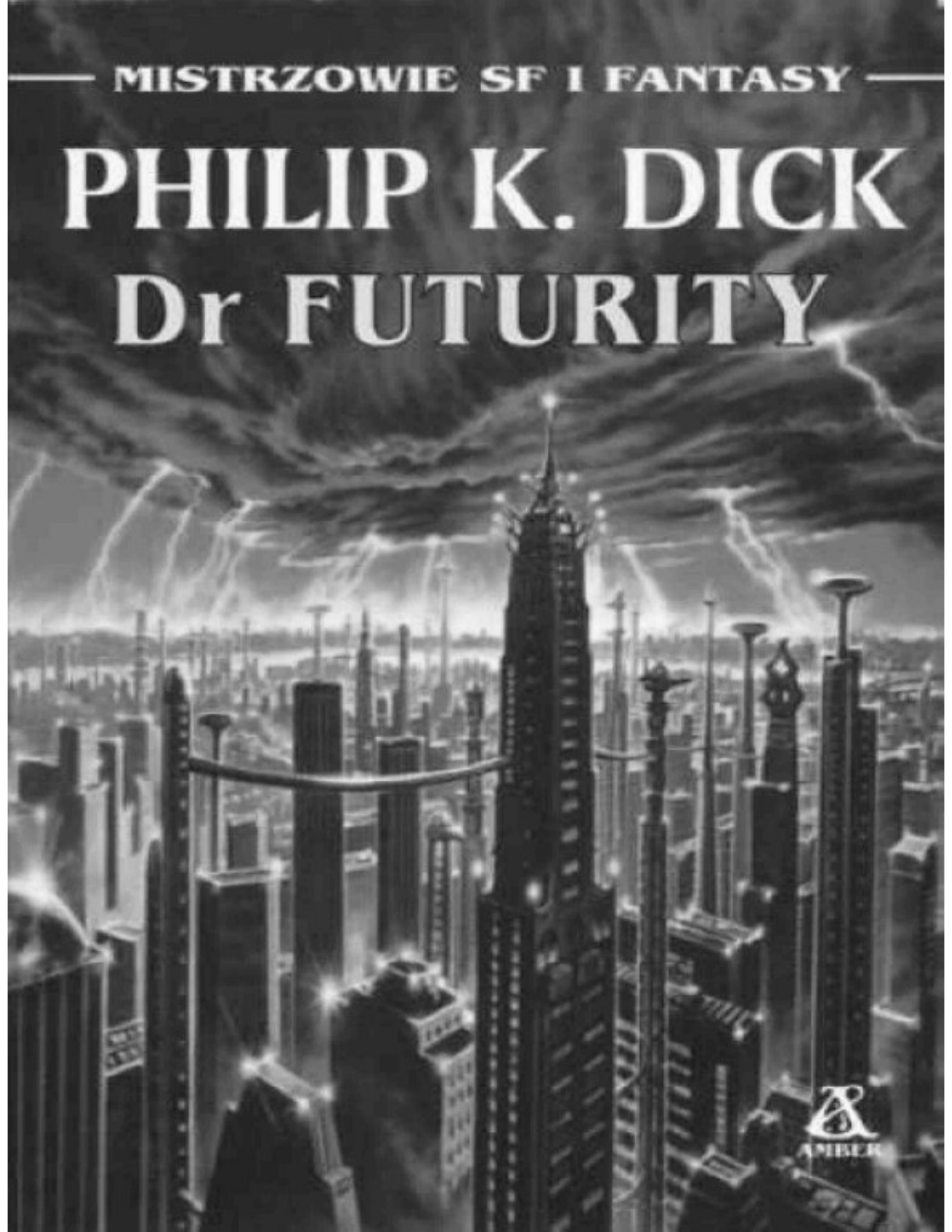


— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

PHILIP K. DICK

Dr FUTURITY




AMBER

PHILIP K. DICK

Dr Futurity

(PRZEKŁAD MACIEJ PINTARA)

SCAN-DAL

1

Strzeliste budowle wyglądały obco. Kolory również. Przez moment czuł przygniatające go, obezwładniające przerażenie... Po chwili uspokoił się. Wziął głęboki oddech, wciągając zimne nocne powietrze, i zaczął analizować sytuację.

Wyglądało na to, że znajduje się na jakimś stoku porośniętym jeżynami i winoroślą. Żył. I wciąż miał ze sobą swoją szarą, metalową walizeczkę. Wyrwał pęd winorośli i ostrożnie przesunął się do przodu, zaledwie o kilka cali. W górze błyszczały gwiazdy. Dzięki Ci, Boże. Znajome gwiazdy...

Nie, nieznajome.

Zamknął oczy i trwał tak, dopóki z wolna nie wróciła mu zdolność trzeźwego rozumowania. Potem zsunął się w dół zbocza w kierunku oświetlonych wież oddalonych może o milę, tłukąc się boleśnie, ale wciąż ściskając mocno w ręce swoją walizeczkę.

Gdzie jest? I dlaczego się tu znalazł? Czy ktoś go tu przywiózł i wysadził w tym miejscu nie wiadomo z jakiego powodu?

Barwy iglic zmieniały się i zaczął dostrzegać niewyraźne kształty budowli. Gdy był w połowie drogi, udało mu się określić ich usytuowanie. Z jakiegoś powodu poczuł się lepiej. Było tu coś, co mógł przewidzieć. Punkt zaczepienia. Ponad strzelistymi wieżami wirowały i śmigwały statki powietrzne, całe ich roje, chwytając przesuwane się światła. Jakież to piękne...

Widok nie był mu znany, ale przyjemny. To było coś, co się nie zmieniło. Rozum, piękno, zimne, nocne powietrze... Przyśpieszył kroku, potknął się, a potem, przedzierając się między drzewami, wyszedł na gładką nawierzchnię szosy.

Przyśpieszył jeszcze bardziej, pozwalając myślom błądzić bez celu, przywołując z pamięci ostatnie fragmenty, dźwięki i obrazy, kawałki świata, który nagle odszedł. Zastanawiał się spokojnie i bez emocji, co się właściwie wydarzyło.

Jim Parsons wybierał się do pracy. Był jasny, słoneczny poranek. Zanim wsiadł do samochodu, zatrzymał się na chwilę, by pomachać ręką żonie.

–Nie potrzebujesz czegoś z miasta? – zawołał.

Mary stała na frontowym ganku z rękawami w kieszeniach fartucha.

–Nic mi nie przychodzi do głowy, kochanie... Gdyby coś mi się przypomniało, znajdę cię w Instytucie przez wideo-telefon.

W ciepłym blasku słońca włosy Mary lśniły jak świeżo wyluskane kasztany, jak płomienny obłok. Ten kolor był w tym tygodniu ostatnim krzykiem mody wśród gospodyń domowych. Stała tak, drobna i szczupła, w zielonych spodniach i mieniącym się, obcisłym sweterku. Pomachał do niej, objął po raz ostatni wzrokiem swoją piękną żonę, ich parterowy dom ozdobiony sztukaterią, ogród, ścieżkę wyłożoną płytami chodnikowymi i wzgórze Kalifornii, wznoszące się w oddali, po czym wskoczył do samochodu.

Zakręcił i wyjechał na drogę, pozwalając, by automatyczne sterowanie samo poprowadziło samochód na północ, w kierunku San Francisco. Tak było bezpieczniej, zwłaszcza na autostradzie międzystanowej 101. I o wiele szybciej. Nie miał nic przeciwko temu, by jego samochód był zdalnie sterowany z odległości wielu setek mil. Wszystkie samochody pędzące szesnastopasmową autostradą były tak sterowane. I te jadące w tym samym kierunku co on, i te, które podążały równolegle w przeciwną stronę. Na południe, do Los Angeles. Taki system prawie całkowicie eliminował niebezpieczeństwo wypadku. Również dzięki temu Parsons mógł cieszyć oczy obwieszczeniami o treści edukacyjnej, umieszczanymi zwyczajowo wzdłuż drogi przez różne uniwersytety. I podziwiać krajobraz.

Okolica była czysta i uporządkowana. Atrakcyjna, odkąd prezydent Cantelli znacjonalizował przemysł kosmetyczny, gumowy i hotelarstwo. Zniknęły reklamy szpecące wzgórze i doliny. Wkrótce cały przemysł miał się znaleźć w rękach dziesięcioosobowej Izby Planowania Ekonomicznego, działającej pod auspicjami uniwersyteckich ośrodków badawczych Westinghouse. Oczywiście lekarzom to nie groziło.

Poklepał swoją walizeczkę z instrumentami, leżącą na siedzeniu obok. Przemysł to jedno, wolne zawody co innego. Nikt nie zamierzał nacjonalizować lekarzy, prawników, malarzy, muzyków. Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci technokraci i ludzie wolnych zawodów stopniowo przejmowali kontrolę nad społeczeństwem. Od roku 1998, w miejsce ludzi interesu i polityków, to naukowcy, dysponujący praktyczną wiedzą...

Coś poderwało samochód i zrzuciło go z szosy.

Parsons krzyknął, gdy auto z oszalałą szybkością przekreśliło się do góry kołami i przechylone wpadło w zarośla i tablice edukacyjne. Zawiodło sterowanie! – taka była jego ostatnia myśl. Zakłócenia! Zamajaczyły przed nim drzewa i kamienie, nacierające na niego. Trzask pękającego plastyku i metalu i jego własny krzyk zlały się w jeden chaotyczny łoskot. Dźwięk i ruch. A potem przyprawiające o mdłości uderzenie, które zgmiotło samochód jak plastikowe pudełko. Jak przez mgłę dotarło

do jego świadomości, że urządzenia zabezpieczające włączyły się z opóźnieniem. Otoczyły go, tłumiąc uderzenie. Poczł zapach wytryskującego płynu gaśniczego...

Został bezpiecznie wyrzucony w szarą, falującą pustkę. Opadał powoli, zbliżając się do ziemi jak drobinka kurzu unosząca się w powietrzu, niczym na zwolnionym filmie. Nie czuł bólu. Nic nie czuł. Wydawało mu się, że otacza go bezkresna, bezkształtna mgła.

Obszar radiacji. Jakiś promień, moc, która zakłóciła sterowanie. Wiedział, że to była jego ostatnia przytomna myśl. Potem wokół zapadła ciemność.

Wciąż ścisł w ręce swoją szarą walizeczkę z instrumentami.

Szosa przed nim stała się szersza.

Wokół migotały światła, jakby włączono je specjalnie dla niego. Rozwijający się parasol żółtych i zielonych punktów, który wskazywał mu drogę. Szosa łączyła się i krzyżowała z pogmatwaną siecią odgałęzień, niknących w ciemności. Mógł tylko zgadywać, dokąd prowadzą.

Zatrzymał się pośrodku tej gmatwaniny, oglądając drogowskaz, który natychmiast ożył, najwyraźniej na jego użytek. Odczytał głośno nie znane symbole:

DIR 30c N, ATR 46c N, BAR 100c S, CRP 205s S, EGL 67c N.

"N" i "S" bez wątpienia oznaczały pomoc i południe. Ale reszta nic mu nie mówiła. "C" było jednostką miary. To się zmieniło – widocznie mila wyszła z użycia. Nadal posługiwano się biegunem magnetycznym jako punktem odniesienia, ale nie było to zbyt pocieszające.

Jakieś pojazdy poruszały się po drogach wznoszących się nad nim. Punkty świetlne podobnie jak wieże miasta zmieniały barwy, gdy przemieszczały się w przestrzeni względem niego. W końcu dał sobie spokój z drogowskazem. Dowiedział się tylko tego, co i tak już wiedział. Nic ponadto. Ruszył przed siebie. Dokonał się poważny postęę -język, system miar... jak bardzo zmieniło się społeczeństwo!

Z niżej położonej drogi wspiał się po schodach pochylni na wyższy poziom, potem wzniósł się na trzeci i czwarty. Mógł teraz bez przeszkód zobaczyć miasto.

To było naprawdę coś! Wielkie i piękne. Bez całej konstelacji otaczających go urządzeń przemysłowych, bez skupisk kominów, które potrafiły zeszpecić nawet San Francisco.

Parsonswi zapało dech. Gdy stał tak na pochylni w zimnej ciemności nocy, w poszumie wiatru, z gwiazdami nad głową, widząc poruszające się. światła pojazdów,

ogarnęło go wzruszenie. Widok miasta chwycił za serce, dodawał sił. Parsons ruszył, podniesiony na duchu. Co tam znajdzie? Jaki świat? Zresztą obojętne, i tak potrafi w nim funkcjonować. W jego umyśle dźwięczało tryumfalne: jestem lekarzem. Cholernie dobrym lekarzem. Gdyby to był ktoś inny...

Lekarze zawsze będą potrzebni. Opanuje język – całe życie miał zdolności w tym kierunku... I przyswoi sobie miejscowe zwyczaje. Znajdzie dla siebie miejsce, przetrwa, dopóki nie dowie się, jak się tu znalazł. Może też, oczywiście, wrócić do żony. Tak, pomyślał. Mary byłaby zachwycona... Może uda mu się ponownie wykorzystać moce, które go tu przywiodły i przenieść tu rodzinę...

Parsons ścisnął swoją walizeczkę i przyśpieszył. A kiedy gnał bez tchu w dół opadającej drogi, od wstęgi szosy poniżej oderwał się bezdźwięcznie kolorowy punkt i rósł, kierując się wprost na niego. Bez wątpienia celował właśnie w Parsonsa, który miał tylko tyle czasu, by znieruchomieć. Coś barwnego zbliżało się, pędziło w jego stronę... Zdał sobie sprawę, że to coś nie ma zamiaru go ominąć.

–Stop! – krzyknął.

Odruchowo wyrzucił w górę ramiona. Machał nimi szaleńczo, a kolor pęczniał i był już tak blisko, że wypełnił mu oczy oślepiającym blaskiem...

A jednak to coś minęło go, owiewając falą gorąca. Dostrzegł tylko wpatrującą się w niego twarz, na której malowały się jednocześnie rozbawienie i zdumienie.

Parsonsowi wydawało się – choć trudno było w to uwierzyć, ale przecież widział na własne oczy – że kierowca pojazdu był zaskoczony jego reakcją w obliczu grożącej mu śmierci.

Pojazd zawrócił, tym razem poruszając się o wiele wolniej. Wychylony z niego kierowca wpatrywał się w Parsonsa. Podjechał do niego i zatrzymał się. Silnik samochodu mruczał cicho.

–Hin? – zapytał kierowca.

Parsons pomyślał bezsensownie: "Przecież nawet nie wystawiłem do góry kciuka..." Głośno powiedział:

–Dlaczego próbowałeś mnie przejechać? – Głos mu

drżał.

Kierowca zmarszczył brwi. W blasku zmieniających się barw jego twarz wydawała się najpierw granatowa, potem pomarańczowa. Porażony światłem Parsons przymknął oczy. Człowiek za kierownicą był zdumiewająco młody. Wyglądał raczej na

chłopca niż na mężczyznę. Cała ta sytuacja przypominała senny koszmar. Ten chłopak, który nigdy wcześniej nie widział Parsonsa na oczy, najpierw próbuje go przejechać, a potem spokojnie proponuje podwiezienie...

Drzwi pojazdu odsunęły się.

–Hin – powtórzył chłopiec. Jego głos nie brzmiał rozkazująco, był uprzejmy.

W końcu Parsons niemal odruchowo wszedł do środka. Trząsnął się. Drzwi zatrzasnęły się i pojazd ruszył tak gwałtownie, że przyśpieszenie wbiło Parsonsa w głąb siedzenia.

Chłopiec obok powiedział coś, czego Parsons nie zrozumiał, ale ton głosu sugerował, że wciąż jest zdumiony, wręcz zaszokowany i że chce przeprosić. Jego oczy wpatrywały się w Parsonsa.

To nie była zabawa, zdał sobie sprawę Parsons. Ten chłopak naprawdę miał zamiar mnie przejechać. Zabić mnie... Gdybym nie zamachał rękami...

A gdy tylko zacząłem machać, zatrzymał się...

Ten chłopak myślał, że ja chcę być przejechany!

Chłopak prowadził pewnie. Samochód skręcił w kierunku miasta. Kierowca wyciągnął się na siedzeniu i puścił urządzenie sterownicze. Najwyraźniej był coraz bardziej zaintrygowany osobą Parsonsa. Obrócił siedzenie tak, by znaleźć się na wprost swego pasażera i uważnie mu się przyglądał. Sięgnął do góry i włączył oświetlenie wewnętrzne pojazdu. Obaj byli teraz lepiej widoczni.

Parsons po raz pierwszy mógł się chłopcu dobrze przyjrzeć. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim.

Ciemne włosy, długie i lśniące. Skóra koloru kawy. Płaskie, szerokie kości policzkowe. Migdałowe oczy, błyszczące, wilgotne, odbijające światło. Wydatny nos. Rzymianin? Nie, pomyślał Parsons. Te czarne włosy... Niemal jak... Mężczyzna był z pewnością mieszanelem wielu ras. Kości policzkowe wskazywały na Mongoła. Oczy na mieszkańca basenu Morza Śródziemnego. Włosy miał jak Murzyn. I ten czerwonawobrazowy odcień skóry... Może Polinezyjczyk?

Chłopak ubrany był w dwuczęściową szatę ciemnoczerwonej barwy i pantofle. Uwagę Parsonsa przykuł wyhaftowany na jego koszuli herb. Stylizowany orzeł.

Orzeł... EGL przypominało angielskie "eagle"... A reszta? DIR to "deer" -jeleń. BAR to "bear" – niedźwiedź. Innych nie mógł odgadnąć. Co oznaczała ta "zwierzęca" terminologia? Zaczął mówić, ale młodzieniec przerwał mu.

–Whur venis a tardus? – zapytał nie całkiem jeszcze dorosłym głosem.

Parsonsa zamurowało. Ten język, choć nie znany, nie był mu całkiem obcy. Miał zaskakująco naturalne brzmienie. Coś prawie zrozumiałego, choć nie całkiem...

–Słucham? – zapytał. Młodzieniec inaczej sformułował pytanie:

–Ye kleidis novae en sagis novate. Whur iccidi hist? Parsons zaczął pojmować, w czym rzecz. Podobnie jak wygląd chłopca, jego język był rodzajem mieszanki wielu języków. W oczywisty sposób oparty na łacinie, niewykluczone, że sztuczny. Lingua franca. "Wspólny język", złożony z możliwie najbardziej popularnych wyrazów. Analizując to, co usłyszał, Parsons doszedł do wniosku, że chłopak chce się dowiedzieć, co robił za miastem o tak późnej porze, dlaczego jest tak dziwnie ubrany i tak dziwnie mówi. Ale w tej chwili nie miał ochoty mu odpowiadać. Wolał zadawać pytania.

–Chciałbym wiedzieć – powiedział wolno i wyraźnie – dlaczego chciałeś mnie przejechać?

Chłopiec zamrugał i rzekł z wahaniem:

–Whur ik... – po czym zamilkł. Było jasne, że nie rozumiał słów Parsonsa. A może rozumiał słowa, lecz nie pojął sensu pytania? Parsons wzdrygnął się. Pomyślał, że chłopak chyba uważa za zrozumiałe samo przez się, że próbował go zabić. A co z innymi? W ponownym przypiływie niepokoju uświadomił sobie, że musi przełamać barierę językową. On powinien mnie zrozumieć, i to jak najszybciej, pomyślał.

–Powiedz coś – zwrócił się do chłopca.

–Sag? – zapytał chłopak. – Ik sag yer, ye meinst? Parsons przytaknął.

–Otóż to – odrzekł. Miasto było coraz bliżej.

–Zrozumiałeś – przekazał chłopcu.

Robimy postępy, pomyślał ponuro, i z najwyższą uwagą

zaczął się wsłuchiwać w niepewną paplaninę chłopaka. Robimy postępy. Ciekaw jestem tylko, czy starczy nam czasu. Domyślał.

czasu, pomyślał.

Samochód pokonał szeroki most przerzucony nad fosą otaczającą miasto. Jeden rzut oka wystarczył Parsonsowi do stwierdzenia, że fosa miała wyłącznie znaczenie dekoracyjne. W polu widzenia pojawiało się coraz więcej poruszających się wolno samochodów. Dostrzegł również przechodniów. Przyglądał się dumom ludzi przemieszczających się po pochylniach, wchodzących do wież i opuszczających je, tłoczących się na chodnikach. Wszyscy wyglądali młodo, jak chłopiec obok niego. I jak on mieli ciemną skórę i płaskie kości policzkowe. Ubrani byli w togi, na których widniały różne emblematy, przedstawiające zwierzęta, ryby i ptaki.

Skąd się wzięły te wzory? Społeczeństwo zorganizowane w totemiczne plemiona? Różnice rasowe? A może trwa jakiś festiwal? Lecz wszyscy byli do siebie podobni i to wykluczało teorię, że każdy emblemat oznacza inną rasę. Czyżby to był arbitralny podział populacji? A może to z powodu zawodów sportowych?

Wszyscy nosili długie, splecione włosy, zawiązane z tyłu – zarówno kobiety, jak i mężczyźni, przy czym ci ostatni odznaczali się masywniejszą budową. Ale wszyscy mieli szpiczaste nosy i podbródki. Kobiety śpieszyły dokądś, śmiejąc się i gawędząc. Miały świetliste oczy i błyszczące, pełne, kuszące wargi. Były tak młode, że wyglądały raczej na dziewczynki. Mężczyźni również przypominali chłopców. Wesole, roześmiane dzieci.

Na skrzyżowaniu, po raz pierwszy w tym świecie, dostrzegł wiszące, czysto białe

światło. W jego silnym blasku ujrzał, że usta mężczyzn i kobiet wcale nie są czerwone, lecz czarne. I to nie z powodu oświetlenia. Co prawda mogły być umalowane. Mary miała zwyczaj pokazywania mu się z włosami ufarbowanymi na różne modne kolory.

W tym obnażającym prawdę świetle chłopak siedzący obok Parsonsa spojrzął na niego z dziwną miną. Zatrzymał samochód.

–Agh... – z trudem wciągnął powietrze, a wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Odsunął się i skurczył przy drzwiach samochodu.

–Ye... – zająknął się, szukając słów i w końcu dławiąc się, wybuchnął tak głośno, że kilku przechodniów obejrzało się:

–Ye hist sick!

Ostatnie słowo pochodziło z ojczystego języka Parsonsa.

O pomyłce nie mogło być mowy. Ton głosu chłopaka

i wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, co chciał przekazać.

–Dlaczego chory? – zapytał Parsons dotknięty do żywego. Zamierzał się bronić. – Mogę cię zapewnić...

Chłopak przerwał mu, wyrzucając z siebie potok oskarżeń z szybkością karabinu maszynowego. Niektóre słowa były wystarczająco zrozumiałe, żeby pojąć sens całej przemowy. Zdał sobie sprawę z tego, że teraz, gdy chłopak po raz pierwszy ujrzał go w jasnym świetle, jego wygląd wzbudził w nim niechęć i odrazę. Siedział, bezradnie słuchając historycznej tyrady, a obok samochodu zbierali się gapie.

Drzwi od strony Parsonsa odsunęły się i stanęły otworem, uruchomione szturchniętym przez chłopaka przyciskiem na pulpicie sterowniczym. Wyrzucił mnie, uświadomił sobie Parsons. Spróbował zaprotestować, starając się przerwać tyradę chłopaka.

–Zaczekaj... – zaczął i urwał. Ludzie stojący na chodniku widząc go, przybrali ten sam wyraz twarzy co chłopak. To samo przerażenie. To samo obrzydzenie. Szeptali między sobą. Dostrzegł kobietę, która uniesioną ręką wskazywała coś tym, którzy stali dalej. Ona pokazywała im jego twarz!

Mam białą skórę, uświadomił sobie nagle.

–Masz zamiar wysadzić mnie tutaj? – zwrócił się do chłopaka, wskazując pomrukując tłum.

Chłopiec zawahał się. Jeśli nawet nie całkiem zrozumiał słowa Parsonsa, to na pewno odgadł jego intencje. Zauważył wrogość ludzi pchających się, by obejrzeć sobie Parsonsa. Obaj słyszeli wściekłe głosy, widzieli poruszenie i odgadywali zamiary skłębionej ciżby.

Drzwi przy Parsonsie zasunęły się z furkotem, zamykając go we wnętrzu pojazdu. Chłopak pochylił się do przodu i uruchomił urządzenia sterownicze. Samochód momentalnie wystrzelił do przodu.

–Dzięki... – powiedział Parsons.

Chłopiec milczał. Nie zwracając najmniejszej uwagi na Parsonsa, zwiększył prędkość. Wpadli na pochylnię i po chwili pojazd znalazł się na jej szczycie. Chłopak rozejrzał się i zwolnił. Samochód ledwo się teraz poruszał. Po lewej Parsons dostrzegł słabiej oświetloną aleję. Pojazd skręcił w jej kierunku i zamarł w półmroku. Okoliczne budowle były skromniejsze, mniej okazałe. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Drzwi pojazdu rozsunęły się.

–Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś... – bąknął Parsons i niepewnie opuścił samochód. Chłopak zasunął drzwi i po chwili pojazd zniknął mu z oczu.

Parsons został sam, żałując, że nie zdążył zadać jeszcze jakiegoś pytania... chociaż nawet nie wiedział, jakiego. Nagle samochód pojawił się ponownie. Nie zwalniając, przeniknął obok, owiewając go gorącym oddechem układu wylotowego i zmuszając do odwrócenia wzroku od jaskrawych świateł. Coś oderwało się od pojazdu, poszybowało w powietrzu i trzasnęło o ziemię u stóp Parsonsa.

Jego walizeczka z instrumentami. Zostawił ją przecież w samochodzie...

Usadowiwszy się w mroku, sprawdził jej zawartość. Nic nie zostało uszkodzone ani zniszczone. Dzięki Bogu...

Chłopak litościwie wysadził go w dzielnicę zajętej przez magazyny. Masywne budynki miały ogromne, podwójne drzwi, najwyraźniej przeznaczone nie dla ruchu pieszego, lecz dla

jakichś wielkich pojazdów. Wokół nich, na chodniku, dostrzegł rozsypane śmieci.

Podniósł kawałek zadrukowanego papieru. Bez wątpienia był to pamflet polityczny na jakąś osobę czy partię. Tu i tam rozpoznawał pojedyncze słowa. Składnia nie wydawała się trudna. Język był fleksyjny. Niektóre fragmenty napisano wyłącznie po hiszpańsku lub włosku, lecz zdarzały się także angielskie słowa. W piśmie tekst zdawał się łatwiejszy do zrozumienia. Przypomnił sobie artykuły o tematyce

medycznej, napisane po rosyjsku i chińsku, zamieszczane w dwumiesięczniku wydawanym w sześciu językach, który musiał czytać. Było to nieodzowne w pracy lekarza. Na uniwersytecie La Jolla zmuszony był czytać nie tylko po niemiecku, rosyjsku i chińsku, lecz również po francusku. Ten ostatni język nie miał obecnie większego znaczenia, ale jego używanie wymuszała tradycja. A na przykład jego żona, jako osoba kulturalna, uczyła się klasycznej greki.

Tak czy inaczej, stwierdził, mają tu swój własny, syntetyczny język. Sprawa się wyjaśniła. Ja natomiast potrzebuję kryjówki, pomyślał. Bezpiecznego miejsca i chwili wytchnienia, dopóki się nie zorientuję w sytuacji...

Ciche i ciemne budynki wokół wyglądały na opustoszałe. Na końcu ulicy dostrzegł światła. W oddali majaczyły ludzkie sylwetki. Musiała się tam znajdować dzielnica handlowa, w której nawet nocą załatwiano interesy.

W przyćmionym świetle ulicznej latarni ruszył ostrożnie przed siebie pomiędzy stosami kartonów ustawionymi obok rampy załadunkowej. Nagle potknął się o rząd pojemników na śmiecie, które zaczęły wydawać z siebie ledwo słyszalny szum. Przepelnione śmietniki zaczęły działać – odkrył, że uderzając o nie uruchomił popsuty mechanizm. Bez wątpienia powinien on pracować automatycznie, włączając się natychmiast, gdy tylko wrzucano do pojemników śmiecie, ale najwidoczniej nikt nie dbał o stan techniczny urządzenia.

Kondygnacja betonowych schodów prowadziła w dół, do jakichś drzwi. Zszedł ku nim i chwycił zardzewiałą klamkę.

Oczywiście zamknięte. To pewnie jakiś magazyn, pomyślał. Przyklęknął w półmroku, otworzył swoją walizeczkę i wydobył z niej zestaw chirurgiczny z własnym zasilaniem. Włączył je i podstawowe narzędzia zaczęły świecić. Zapewniały dostateczne oświetlenie, by w nagłych wypadkach można było przy nim operować. Z wprawą umieścił ostrze tnące w tulejce mechanizmu napędowego i docisnął je. Zanurzyło się w zamku z cichym zgrzytem. Stał bliżej, by stłumić ten dźwięk.

Rozległ się chrzęst, a ostrze odskoczyło. Zamek był wycięty. Pośpiesznie złożył narzędzia chirurgiczne i wpakował je z powrotem do walizeczki. Obiema rękami pociągnął delikatnie drzwi.

Otworzyły się ze skrzypieniem zawiasów.

Oto kryjówka, pomyślał. W walizeczce miał kilka preparatów dermatologicznych używanych przy leczeniu oparzeń. Wymyślił kilka kombinacji sprayów aseptycznych, które mogły zabarwić skórę i uczynić ją tak ciemną, by była nie do odróżnienia od...

Nagły blask jasnego światła zmusił go do zmrużenia oczu. Magazyn bynajmniej nie był opuszczony. Przywitał go ciepłem i wonią potraw. Ujrzał mężczyznę z karafką w

dłoni, który znieruchomiał w trakcie nalewania drinka kobiecie.

Przed sobą naliczył siedem czy osiem osób. Niektórzy siedzieli na krzesłach, inni stali. Przypatrywali mu się spokojnie, bez zdziwienia. Najwyraźniej odgłos wycinania zamka uprzedził o jego przybyciu.

Mężczyzna dokończył nalewanie drinka. Do uszu Parsonsa dotarł przytłumiony szmer rozmów. Jego obecność i sposób, w jaki się tu dostał, najwyraźniej nie wywierały na tych ludziach żadnego wrażenia,

Kobieta siedząca najbliżej odezwała się do niego melodyjnie. Powtarzała coś kilkakrotnie, ale Parsons nie mógł uchwycić znaczenia. Kobieta spojrzała na niego bez urazy i uśmiechnęła się, a potem znów przemówiła, tym razem wolniej. Złowił uchem jedno, drugie słowo... Kazała mu uprzejmie, lecz stanowczo wstawić zamek z powrotem.

–...i proszę je zamknąć – zakończyła. – Drzwi, oczywiście.

Poczuł się głupio. Sięgnął za siebie i zamknął drzwi. Elegancki młodzieniec nachylił się ku niemu.

–Wiemy, kim jesteś – powiedział. Tak przynajmniej zinterpretował jego wypowiedź Parsons.

–Tak – zgodził się inny mężczyzna. Pozostali skinęli głowami.

Kobieta przy drzwiach powiedziała:

–Jesteś... – Tu padło słowo, którego sensu nie mógł pojąć. Miało całkiem sztuczne brzmienie, jak wyrażenie gwarowe.

–Zgadza się – zawtórował ktoś. – Tym właśnie jesteś. – Ale to nas nie obchodzi – dodał chłopak. Wszyscy się z tym zgodzili.

–Ponieważ – ciągnął chłopak, ukazując białe, lśniące zęby – nas tu nie ma. – Pozostali zawtórowali chórem: – Nie, wcale nas tu nie ma!

–To złudzenie – odezwała się szczupła kobieta.

–Iluzja – potwierdzili dwaj mężczyźni.

–Powiedzieliście, że kim jestem...? – zapytał niepewnie Parsons.

–Więc się nie obawiamy... – ciągnął jeden z nich. Lub przynajmniej tak to zrozumiał Parsons.

–Nie obawiacie się? – zapytał Parsons. To słowo od razu zwróciło jego uwagę.

–Przyszedłeś, żeby nas schwytać – powiedziała dziewczyna.

–Tak – zgodzili się wszyscy, kiwając głowami z wyraźną uciechą. – Ale nie jesteś w stanie.

Biorą mnie za kogoś innego, pomyślał Parsons.

–Dotknij mnie – zaproponowała kobieta przy drzwiach. Odstawiła drinka i wstała z krzesła. – W rzeczywistości mnie tu nie ma.

–Nikogo z nas – potwierdziło kilka osób. – Dotknij jej. Spróbuj.

Parsons stał w miejscu, niezdolny do wykonania żadnego ruchu. Nie rozumiem tego, pomyślał. Po prostu nie rozumiem.

–W porządku – odezwała się kobieta. – Ja dotknę ciebie. Moja ręka przeniknie przez twoją.

–Jak powietrze – dodał uradowany mężczyzna. Kobieta wyciągnęła przed siebie szczupłą, ciemną dłoń. Jej

palce zbliżały się coraz bardziej do Parsonsa. Uśmiechając się, z radością w oczach, dotknęła jego ramienia. Ale jej palce nie przeszły na wylot. Zaszokowana otworzyła usta.

–Och... – wyszeptała.

W pokoju zaległa cisza. Wszyscy patrzyli na niego. W końcu odezwał się jeden z mężczyzn.

–On rzeczywiście nas znalazł – powiedział słabym głosem.

–Naprawdę tu jest – szeptała kobieta. W jej oczach malował się dziki strach. – Tu, gdzie my. W podziemiu.

Wpatrywali się w Parsonsa odrętwieli. Również on nie mógł nic zrobić, tylko patrzeć na nich.

Po chwili martwej ciszy jedna z kobiet osunęła się na krzesło i jęknęła:

–Myśleliśmy, że jesteś na Fingal Street. Projekcję mamy na Fingal Street.

–Jak nas znalazłeś? – zapytał mężczyzna.

Ich młodzieńcze głosy zlały się w jeden chór, ale z gmatwaniny rozmów zdołał sporo zrozumieć. Zebranie. Potajemne. Tu, w dzielnicy magazynów. Byli tak pewni zakonspirowania tego miejsca, że nadejście Parsonsa nie zostało zarejestrowane.

"Snupo". Tak go określili.

Parsons ostrożnie zaprzeczył.

–Nie jestem "shupo", cokolwiek to oznacza. Natychmiast odzyskali pewność siebie. Duże, czarne, młodzieńcze oczy wszystkich obecnych znów zwróciły się na niego.

–A któż inny rozwalalby drzwi? – powiedział cierpko mężczyzna.

–Nie tylko to – odezwała się dziewczyna. – On jest zamaskowany. – Wszyscy potakująco skinęli głowami. Ich lęk zabarwiony był oburzeniem.

–Taka nieprawdopodobnie biała maska... – dodała dziewczyna.

–My też mieliśmy maski ostatnim razem – powiedział mężczyzna.

–Często nosimy maski, kiedy wychodzimy – dorzucił inny.

Najwyraźniej Parsons natknął się na jakąś marginalną, tajną organizację, działającą poza prawem. Zapewne politycznych konspiratorów, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Z całą pewnością nie są w stanie mu zagrozić. Mam szczęście, stwierdził.

–Pokaż swoją prawdziwą twarz – rozkazał mężczyzna. Jego słowom towarzyszyła narastająca, pełna oburzenia wrzawa.

–To jest moja prawdziwa twarz – odparł Parsons.

–Całkiem biała?!

–A posłuchajcie tylko, jak on mówi – dorzucił ktoś. – Zacina się.

–I jest częściowo głuchy – dodała dziewczyna. – Dlatego nie rozumie połowy tego,

co się mówi.

–Prawdziwy quivak – powiedział zjadliwie chłopak. Niski młodzieniec o bystrej twarzy zbliżył się zuchwale do

Parsonsa. Podniósł do góry prawy kciuk i przysuwając się blisko, wycedził z pogardą:

–Załatwmy to od razu.

–Odetnij mu go – poleciła dziewczyna. Jej oczy błyszczały. Ona również wysunęła prawy kciuk. – No... Odcinaj! Ale już!

Więc to tak, pomyślał Parsons. W tym społeczeństwie przestępcy polityczni są okaleczani. Starożytna kara. Poczł nagle głęboką niechęć. Barbarzyńcy! I te zwierzęce totemy... Powrót do wspólnoty plemiennej...

A ten chłopak na szosie, który myślał, że chcę zginąć? Który próbował mnie przejechać i był zdumiony, że próbuję uciec? I pomyśleć, że to miasto wydawało mi się takie piękne...

W kącie, osamotniony, stał milczący mężczyzna. Sączył drinka i obserwował. Jego twarz, ciemna, o mocnych rysach, miała ironiczny wyraz. Spośród wszystkich obecnych on jeden wydawał się panować nad swoimi emocjami. Ruszył w kierunku Parsonsa i po raz pierwszy przemówił:

–Spodziewałeś się, że nikogo tu nie będzie? Myślałeś, że to pusty magazyn?

Parsons przytaknął skinieniem głowy.

–Twoja wyjątkowa cera – ciągnął mężczyzna – jest, według mojego doświadczenia, skutkiem wysoce zaraźliwej choroby. Chód wyglądasz na zdrowego... Zauważyłem również, że masz oczy pozbawione pigmentu...

–Niebieskie – poprawiła dziewczyna.

–To znaczy bez pigmentu – powtórzył krępy mężczyzna. – To, co mnie najbardziej interesuje – ciągnął – to twoje ubranie. Powiedziałbym, że to rok 1910.

–Raczej 2010 – odparł ostrożnie Parsons. Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

–Gdyby nawet... Niewielka różnica.

–Co to znaczy? – zapytał Parsons. Mężczyzna zamrugł czarnymi oczami.

–Ach... – Odwrócił się do swojej grupy i powiedział: – To jest mniej groźne, amid,

niż sobie wyobrażacie. Mamy tu jeszcze jeden okaz, przykład partactwa specjalistów od czasu. Proponuję, żebyśmy zamknęli dobrze drzwi, a potem usiedli i ochłonęli. – Zwrócił się do Parsonsa: – Jest rok 2405. Jesteś pierwszą osobą z twoich czasów, którą zdarzyło mi się poznać. Do tej pory widywałem tylko rzeczy przeniesione stamtąd. Uważa się je za normalne, ale trochę dziwaczne. Guziki znalezione w rynsztoku, wymarłe gatunki – oto zdobycze naszych uczonych mężów. Kamienie, gruzy, bezwartościowe graty. Rozumiesz?

–Tak... – odparł z wahaniem Parsons. Mężczyzna wzruszył ramionami.

–Ale kto może wiedzieć, dlaczego... – Uśmiechnął się do Parsonsa. – Nazywani się Wadę. A ty?

–Parsons.

–Witaj – rzekł Wadę, unosząc otwartą dłoń. – Czy tak się to robi? A może ociera się nosami? Nieważne... Masz ochotę wstąpić do naszej partii? Nie zbieramy się dla zabawy, mamy inne cele.

–Polityczne – spróbował zgadnąć Parsons.

–Tak. Chcemy odmienić społeczeństwo, a nie tylko zrozumieć je. Jestem przywódcą tej... jak się to określało w twojej epoce? Kometki? Komódki?

–Komórki – podpowiedział Parsons.

–O, właśnie! – ucieszył się Wadę. – Jak u pszczół... Plaster miodu... Chcesz posłuchać naszego programu? Co prawda to nie ma chyba dla ciebie żadnego znaczenia. Proponuję więc, żebyś wyszedł. Zagraża nam niebezpieczeństwo.

–Na zewnątrz też miałem kłopoty – odrzekł Parsons. – Zagraża mi niebezpieczeństwo, jeśli stąd wyjdę. – Wskazał swoją twarz. – Daj mi przynajmniej trochę czasu, żebym mógł zmienić kolor skóry.

–Rasa kaukaska – orzekł Wadę, patrząc spode łba.

–Daj mi pół godziny – poprosił Parsons z naciskiem. Wadę wykonał wielkoduszny gest.

–Proszę bardzo – rzekł, wpatrując się w Parsonsa. – My... oni, jeśli wolisz, mają surowe normy. Może uda nam się do nich dostosować. Niestety, nie istnieje rozwiązanie pośrednie. Taka jest zasada: albo, albo... Coś w tym rodzaju.

–Innymi słowy – zaczął Parsons, czując rosnącą niechęć i napięcie swego rozmówcy – wygląda to tak, jak we wszystkich prymitywnych społecznościach. Obcy nie zasługuje na miano człowieka. Zabić, kiedy się pojawi, tak? Nic nowego...

Trzęsły mu się ręce, kiedy wyciągał papierosa i zapalał go, próbując się uspokoić.

–Te wasze totemy i godła – ciągnął, gestykulując. – Orzeł... Przejęliście jego cechy – bezwzględność i porywczość?

–To niezupełnie tak – tłumaczył Wadę. – Wszystkie plemiona są zjednoczone i mają identyczne poglądy. Nic nie wiemy o orłach. Nazwy naszych szczepów pochodzą z Ery Ciemności, która nastąpiła po wojnie jądrowej.

Parsons przyklęknął i otworzył swoją walizeczkę. W pośpiechu wyjął z niej różne leki dermatologiczne. Wadę i reszta przyglądali mu się przez kilka chwil, ale szybko stracili

zainteresowanie i powrócili do przerwanych rozmów. Nie potrafią się dłużej skoncentrować, pomyślał Parsons. Jak dzieci...

Nie, nie, jak dzieci". Oni po prostu są dziećmi. Nie zauważył tu nikogo powyżej dwudziestki. Z nich wszystkich Wadę miał najbardziej dorosły sposób bycia – nadętą powagę lewicującego studenta drugiego roku college'u. A przecież nie mógł zetknąć się z kimś takim "na żywo". Ta grupka, chłopak na szosie...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazała się w nich kobieta. Na widok Parsonsa stanęła jak wryta. Zatkąło ją, a jej ciemne oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

–Kto to taki? – zapytała.

Wadę przywitał się z nią i zaczął uspokajać:

–Icaro, to nie choroba. To jeden z tych okazów przeniesionych stamtąd. Nazywa się Parsons. – Następnie zwrócił się do Parsonsa: – To moja... nałożnica? Nierządnica? No... Wielka i dobra przyjaciółka. Słowem, puella.

Kobieta przytaknęła nerwowo. Postawiła na podłodze stertę pakunków, które inni natychmiast zabrali.

–Dlaczego twoja skóra ma kolor kredy? – zapytała, pochylając się nad Parsonsem; oddychała szybko, a jej czarne wargi drżały ze zdenerwowania.

–W moich czasach – wyjaśniał z trudem Parsons – byliśmy podzieleni na rasy. Białą, żółtą, brązową, czarną. Każda z ras miała jeszcze całe mnóstwo odmian. Wygląda na to, że później musiały się wszystkie wymieszać.

Icara zmarszczyła subtelnie zarysowany nosek.

–Podzieleni? To okropne. Bardzo źle mówisz naszym językiem. Robisz dużo błędów. Dlaczego drzwi są otwarte?

–Parsons wyciął zamek – westchnął Wade.

–Więc powinien go naprawić – odparła kobieta bez chwili wahania. Wciąż nachylona nad Parsonsem pilnie obserwowała jego czynności. Wreszcie zapytała: – Co to za szara skrzyneczka? Dlaczego otwierasz te tubki? Zamierzasz przenieść się z powrotem w czasie? Będziemy mogli to zobaczyć?

–Przyciemnia sobie skórę – wyjaśnił Wade.

Parsons poczuł muśnięcie ciemnych, lśniących włosów dziewczyny, gdy pochyliła się jeszcze bardziej i delikatnie pociągnęła nosem.

–Powinieneś też coś zrobić z twoim zapachem – powiedziała szeptem.

–Słucham? – zapytał wstrząśnięty.

–Brzydko pachniesz – orzekła, przyglądając mu się. – Pleśnią.

Jej towarzysze, którzy przysłuchiwali się rozmowie, podeszli bliżej, by wtrącić swoje opinie.

–Raczej warzywami – powiedział jeden z mężczyzn. – Może to jego ubranie tak pachnie? To chyba włókno roślinne.

–My się kąpiemy – poinformowała go Icara.

–My też – odparł Parsons ze złością.

–Codziennie? – zdziwiła się. – Wiec to może twoje ubranie tak pachnie, nie ty.

Przypatrywała się, gdy farbował skórę.

–Tak jest o wiele lepiej – zdecydowała. – Boże... Wyglądałeś jak larwa, nie jak...

–Człowiek – dokończył ironicznie Parsons.

–Nie widzę, żeby... – powiedziała Icara do Wade'a, podnosząc się. – To znaczy... Uważam, że będzie problem. Dowie się o Sześcianie Życia. A jak przystosować go do Źródła? Różni się tak bardzo, a my nie mamy na to czasu... Musimy zająć się zebraniem. A przy otwartych drzwiach...

–Czy to coś złego? – chciał wiedzieć Parsons.

–Co? Że drzwi są otwarte? – spytała.

–Nie. Że człowiek się różni od innych.

–Ależ oczywiście. Jeśli jesteś inny, to odstajesz. Ale możesz się przystosować. Wadę da ci odpowiednie ubranie, nauczysz się mówić poprawnie... Spójrz, te twoje farby dają całkiem dobry efekt – uśmiechnęła się do niego pogodnie.

–Prawdziwy problem – odezwał się Wadę – to orientacja. Może on nie potrafi się uczyć? Brak mu podstawowych

pojęć, które my poznajemy od dziecka. Ile masz lat? – • zapytał Parsons, unosząc brwi.

–Trzydzieści dwa – odrzekł Parsons. Prawie skończył malowanie twarzy, szyi, rąk i ramion. Zaczął zdejmować koszulę.

Wadę i Icara wymienili spojrzenia.

–O Boże... – westchnęła Icara. – Mówisz poważnie? Trzydzieści dwa?

Zapytała go, najwyraźniej po to, by zmienić temat:

–Co to za mała, zmyślna, szara skrzyneczka? A te rzeczy, które w niej masz?

–To moje instrumenty – odrzekł Parsons, już bez koszuli.

–A co ze Spisami? – Wadę mówił jakby do siebie. – Rządowi to się nie spodoba – potrząsnął głową. – Nie można go będzie wcielić do żadnego plemienia. Wyliczenie nie będzie się zgadzać, zostanie odrzucony.

Parsons podsunął Wade'owi otwartą walizeczkę z instrumentami.

–Spójrz – powiedział szorstko. – Nic mnie nie obchodzą wasze plemiona. Widzisz to? Patrzysz na najlepsze narzędzia chirurgiczne wymyślone w ciągu dwudziestu sześciu stuleci. Nie wiem, na jakim poziomie jest wasza wiedza medyczna, jak bardzo jest rozwinięta, ale ja pozostanę przy mojej. W każdej kulturze, przeszłej czy przyszłej, z tą wiedzą, którą posiadam i z moimi kwalifikacjami, wszędzie będę doceniony. Jestem tego pewien. Zawsze znajdę sobie miejsce w społeczeństwie.

Icara i Wadę patrzyli na niego, jakby nie rozumiejąc.

–Wiedza medyczna? – zapytała niepewnie Icara. – Co to takiego?

–Jestem lekarzem – wyjaśnił Parsons. Zaczynał się bać.

–Jesteś... – Icara szukała właściwego słowa. – Czytałam o czymś takim na historycznych taśmach. Alchemik? Nie, to było wcześniej. Czarnoksiężnik? Czy lekarz to czarnoksiężnik? Przepowiada przyszłe zdarzenia, obserwując ruch gwiazd, naradzając się z duchami i tak dalej...?

–Głupia jesteś – mruknął Wadę. – Duchy nie istnieją.

Parsons zabrał się do przyciemniania swojej klatki piersiowej, ramion i pleców. Potem, jak mógł najszybciej, włożył i zapiął koszulę, mając nadzieję, że warstwa farby już wyschła. Ubrał się w marynarkę, wrzucił przybory do walizeczki i ruszył ku na wpół otwartym drzwiom.

–Salvay, amicus – rzucił za nim Wadę. Zabrzmiało to ponuro.

Parsons przystanął przy drzwiach i odwrócił się, by coś powiedzieć", gdy nagle drzwi same się przed nim otworzyły. Omal nie upadł. Zachwiał się, potknął i... spojrzawszy w dół, ujrzał sardonicznie uśmiechniętą małą twarzyczkę, wpatrującą się w niego wesoło. Dziecko, pomyślał. Upiorna karykatura dziecka. Było ich więcej. Wszystkie ubrane w jednakowe zgrabne, zielone czapeczki. Kostiumy z przedstawienia w szkole podstawowej...

–Shupo!

Pierwsze dziecko wykrzyczało to słowo przeraźliwym głosem, celując w Parsonsa z metalowej rury. Parsonswi udało się wymierzyć mu kopniaka. Trafił go mocno czubkiem stopy, aż dzieciak podskoczył do góry. Shupo wrzeszczał ciągle, nawet kiedy trzasnął o betonową ścianę przy wejściu. Chmara innych pojawiła się nagle wokół: otoczyły Parsonsa, tłocząc się między jego nogami, drapiąc gdzie popadło i pchając się do sali, w której odbywało się zebranie. Osłaniając twarz rękami, Parsons przedarł się schodami w górę i dotarł do ulicy.

Przy drzwiach shupo zbiły się w gromadę jak rój jadowitych, zielonych os. Nie mógł się zorientować, co dzieje się w środku. Widział tylko plecy dzieciaków i słyszał ich okrzyki. Grupa spiskowców znalazła się w potrzasku. Shupo nie chodziło o niego, a jeśli nawet, to najwidoczniej nie starczyło im czasu, żeby go łąpać. Kilka pojazdów, którymi przyjechali, blokowało ulicę. Mogło być tak, że światło przedostające się zza uchylonych drzwi zwabiło uliczny patrol, ale niewykluczone, że przyszli tropem Icary. Tego nie wiedział. Może nawet od

początku śledzili jego samego? Tamci chyba stracą palce, i to na pewno nie dobrowolnie. Nie wyglądało na to, żeby grupa miała się poddać. Wrzawa przybierała na sile. Jeśli to ja przywiodłem tu shupo, jestem za to odpowiedzialny, nie mogę uciec, pomyślał i zawrócił niechętnie.

Z tłumy karłów falującego w mroku u podnóża schodów wyłoniły się nagle dwie dorosłe sylwetki. Mężczyzna i kobieta, dysząc ciężko, przepychali się z trudem do góry. Z przerażeniem zobaczył spływającą im po twarzach krew. Nie oddali palców, pomyślał. Walczą. To jeszcze nie koniec. Ale jeżeli nie poświęcą palców, czy przyjdzie im poświęcić życie?

–Parsons! – krzyknął chrapliwie mężczyzna. Był to Wadę. Usiłował podsadzić wyżej trzymaną w ramionach dziewczynę. Shupo oblepili każdą część jego ciała. – Błagam! – zawołał, a w jego gasnących oczach odmalowało się cierpienie.

Parsons wrócił na miejsce. Ciężkim krokiem zszedł w dół po schodach i chwycił dziewczynę. Wadę ściągnięty w dół przez shupo ponownie zanurzył się w tłumie, ciemności i chaosie. Zielone sylwetki migwały tu i tam, wrzeszcząc tryumfalnie. Krew, pomyślał Parsons. Chcą krwi. Przyciskając dziewczynę do siebie, uTORował sobie drogę na górę. Ledwo dyszał. Wyszedł na ulicę słaniając się na nogach. Krew dziewczyny spływała mu po rękach. Ruszył przed siebie, a ciepłe, wiotkie ciało przysunęło się bliżej. Głowa dziewczyny opadła, a lśniące, rozpuszczone włosy rozsypały się. Icara. Nic dziwnego, pomyślał posepnie. Najpierw miłość, potem polityka...

Wędrował teraz ciemną ulicą, zdyszany, w podartym ubraniu, dźwigając dziewczynę Wadę – kochankę, przyjaciółkę czy kimkolwiek była. Czy oni mają nazwiska? – zadał sobie pytanie.

Odgłosy awantury zwróciły uwagę przechodniów. Zaczęli zbijać si? w gromadki, wołając coś w podnieceniu. Kilka osób spojrzało na Parsonsa niosącego nieprzytomną dziewczynę. A może martwą? Nie – czuł bicie jej serca. Gapie rzucili się w przeciwnym kierunku, w stronę trwającej rozróby.

Zatrzymał się wyczerpany, by umieścić sobie dziewczynę wygodniej na ramieniu. Musnął twarzą jej policzek. Cudowna, gładka skóra... Gorące i wilgotne wargi... Co za piękna kobieta, pomyślał. Nie ma więcej niż dwadzieścia lat.

Skręcił za róg. Szedł z najwyższym trudem. W płucach czuł ból, a w oczach mu wirowało. Wyszedł na jasno oświetloną ulicę. Zobaczył ludzi na chodniku, sklepy, znaki drogowe, zaparkowane pojazdy. Ożywione miasto w miłej atmosferze wolnego czasu. Z drzwi sklepu – sądząc po wystawach – odzieżowego dochodziły dźwięki muzyki. Rozpoznał "Trio dla Arcyksięcia" Beethovena. Zdziwiał, pomyślał.

Przed sobą ujrzał coś, co wyglądało jak hotel – wielki, wielopiętrowy budynek, otoczony drzewami, z poręczami z kutego żelaza. Stał przed nim rząd zaparkowanych pojazdów. Dotarł do schodów i wszedł do holu pełnego kręcących się beładnie ludzi. Jeszcze nie wiedział, co zamierza zrobić, ale poczuł, że serce dziewczyny, tuż przy jego sercu, zaczyna bić niespokojnie i nieregularnie. Czy ma

jeszcze swoją walizczkę? Ależ tak, udało mu się ją zatrzymać... Położył dziewczynę i otworzył neseserek. Wokół tłoczyli się ludzie.

–Trzeba wezwać hotelowego eutanora – usłyszał czyjś głos.

–Ma własnego – odparł ktoś inny. – Ma swojego własnego eutanora.

–Nie ma czasu – rzucił Parsons: zabrał się do pracy.

Potrzebuje pan pomocy? – usłyszał tuż obok ucha. Pytanie wypowiedziano uprzejmym, acz władczym tonem.

–Nie – odrzekł Parsons. – Chyba żeby...

Na moment oderwał wzrok od dziewczyny i spojrzał w górę. Do jej piersi zdążył już podłączyć pompę Dixona, która czasowo przejęła funkcję pracującego nierówno serca.

Obok niego stał mężczyzna w nieprawdopodobnie białej todze, bez żadnego emblematu. Jak inni, miał nieco ponad dwadzieścia lat, lecz wyróżniał się sposobem bycia. W rękę trzymał płaski identyfikator w czarnej obwódce.

–Proszę kazać ludziom się cofnąć – poprosił Parsons i wrócił do przerwanej czynności. Pulsowanie samoczynnej pompy dodawało mu pewności siebie. Była doskonale podłączona i odciążała krwiobiegi dziewczyny.

Jej zranione prawe ramię pokrył warstwą sztucznej skóry w sprayu. Zasklepiła otwarte rany, wstrzymywała krwawienie i zapobiegała infekcji. Największemu uszkodzeniu uległa jej tchawica. Skierował wylot pojemnika na odsłoniętą część żeber, zastanawiając się, jakim narzędziem posługiwali się shupo. Cokolwiek to było, rozcięło dziewczynę bardzo skutecznie. Wreszcie zajął się tchawicą.

Stojący obok funkcjonariusz schował kartę identyfikacyjną i zapytał uprzejmie:

–Czy na pewno pan wiet co robi? – Ale przynajmniej

usunął ludzi. Najwyraźniej podziałała na nich jego ranga. Hol opustoszał całkowicie.

–Może powinniśmy wezwać eutanora tego budynku? – zapytał znowu.

Do diabła z nim, pomyślał Parsons.

–Daję sobie radę – oświadczył głośno. Robota paliła mu się w rękach. Palce poruszały się sprawnie, tnąc, rozpylając spray, otwierając plastikowe tubki z tkanką służącą do przeszczepów, nanosząc ją na miejsca, gdzie była potrzebna.

–Owszem, widzę – powiedział urzędnik. – Jest pan ekspertem. Przy okazji... Nazywam się Al Stenog.

Przynajmniej jeden, co ma nazwisko, pomyślał Parsons. Nareszcie.

–Ta bruzda – wskazał linię przecinającą brzuch dziewczyny, pokrytą już warstwą

plastyku nie dopuszczającą powietrza – wygląda źle, ale to tylko przecięcie tkanki tłuszczowej, które nie zagraża jamie brzusznej. – Wskazał teraz Stenogowi uszkodzoną tchawicę. – To jest najgorsze – powiedział.

–Zdaje się, że widzę eutanora tego budynku – zawiadomił go uprzejmie Stenog. – Ktoś musiał go wezwać. Czy chce pan, żeby panu pomógł?

–Nie – zdecydował Parsons.

–Jak pan sobie życzy – zgodził się Stenog. – Nie będę się wtrącał. – Popatrzył na Parsonsa ze zdumieniem.

Dziwi go mój język, pomyślał Parsons. Ale teraz nie będzie zawracał sobie tym głowy. Przynajmniej zmienił kolor skóry... Oczy! – uświadomił sobie nagle. Jak powiedział Wadę: pozbawione pigmentu. Najpierw muszę ocalić życie tej dziewczyny, postanowił. Pod okiem urzędnika, zagląającego mu przez ramię, Parsons zajął się znowu przywracaniem dziewczyny do zdrowia.

–Umknęło mi pańskie nazwisko – powiedział Stenog tonem sugerującym, że nie chce być natarczywy.

–Parsons.

–Dziwne nazwisko – uznał Stenog. – A co oznacza?

–Nic – odparł Parsons.

–O...? – mruknął Stenog. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – To ciekawe...

Obok Parsonsa pojawiła się druga sylwetka. Rzucił okiem w górę i ujrzał wypielęgowanego, przystojnego mężczyznę, który trzymał coś pod pachą. Wyglądało to jak zestaw narzędzi. Eutanor.

–Już po wszystkim – odezwał się Parsons. – Zająłem się nią.

–Trochę się spóźniłem – przyznał eutanor. – Nie było mnie w budynku.

Uciekł wzrokiem w bok, gdy dostrzegł dziewczynę.

–Czy to zdarzyło się tutaj? – zapytał. – W hotelu?

–Nie – odrzekł Stenog. – Parsons przyniósł ją z ulicy. Odwrócił się do Parsonsa i zapytał swym łagodnym

głosem:

–Wypadek drogowy? A może napad? Nie wyjaśnił nam pan tego.

Parsons po prostu nie odpowiedział. Był zbyt pochłonięty przeprowadzaniem końcowych zabiegów.

Dziewczyna będzie żyła. Jeszcze pół minuty, a przez rany w jej gardle i piersi uszłaby resztką życia i nic już nie mogłoby jej pomóc. To jego umiejętności i wiedza uratowały jej życie. A ci dwaj mężczyźni, bez wątpienia cieszący się poważaniem w tym społeczeństwie, byli tego świadkami.

–Nie rozumiem pańskich czynności – przyznał się eutanor. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Kim pan jest? Skąd pan przybył? Gdzie pan się nauczył takich technik? – Odwrócił się do Stenoga. – Jestem zupełnie zdezorientowany. Nigdy nie widziałem takich akcesoriów.

–Może Parsons nam to wyjaśni – zaproponował Stenog miękko. – Teraz oczywiście nie pora na to, ale może później...

–Czy to ważne – przerwał Parsons – skąd i kim jestem?

–Dostałem informację o akcji policyjnej, przeprowadzonej tuż za rogiem – powiedział Stenog. – Możliwe, że ta

dziewczyna jest stamtąd. Przechodził pan obok, znalazł na ulicy ranną i przyniósł ją tutaj.

W jego głosie brzmiał pytający ton, ale Parsons nie odpowiedział. Icara zaczęła odzyskiwać przytomność. Wydała cichy okrzyk i poruszyła ramionami.

Przez chwilę panowała absolutna cisza. W końcu odezwał się eutanor.

–Co się z nią dzieje? – zażądał wyjaśnień.

–Udało mi się – odparł Parsons z rozdrażnieniem. – Lepiej położyć ja do łóżka. Takie uszkodzenie ciała wymaga kilkutygodniowego leczenia...

Czyżby oczekiwali cudu?

–...ale nie ma już zagrożenia – dokończył.

–Nie ma zagrożenia? – upewnił się Stenog.

–Zgadza się – odrzekł zdziwiony Parsons. – Wyzdrowieje, rozumiecie?

–Wiec co to znaczy, że się panu udało? – zapytał ostrożnie Stenog.

Parsons zagapił się na niego. Stenog odwzajemnił spojrzenie. W jego wzroku czaiła się lekka pogarda. Oglądając dziewczynę, eutanor zadrżał.

–Rozumiem... – wykrztusił. – Ty zdegenerowany maniaku!

Stenog sprawiał wrażenie, jakby bawiła go ta sytuacja.

–Parsons – powiedział wesoło – przecież ty po prostu uzdrowiłeś dziewczynę, prawda? Twoje przybory służą do leczenia! Nie mogę w to uwierzyć!

Omam nie wybuchnął śmiechem.

–Cóż – stwierdził – zdajesz sobie chyba sprawę, że jesteś aresztowany.

Zdecydowanym ruchem odsunął eutanora, na którego twarzy malowała się wściekłość.

–Ja się tym zajmę – powiedział. – To moja sprawa, nie pańska. Jeśli okaże się pan potrzebny jako świadek, moje biuro skontaktuje się z panem.

Kiedy eutanor oddalił się niechętnie, Parsons znalazł się

sam na sam ze Stenogiem, który leniwym ruchem wyciągnął coś, co w oczach Parsonsa wyglądało na trzepaczkę do ubijania piany. Nacisnąwszy wystającą część rączki, Stenog wprowadził łopatkę wirnika w ruch obrotowy, tak szybki, że po chwili nie było ich widać. Rozległ się ostry, jękliwy dźwięk. Niewątpliwie była to jakaś broń.

–Jesteś aresztowany – oznajmił Stenog – za poważne przestępstwo przeciw Plemionom Zjednoczonym. Przeciwno Ludowi.

Słowa brzmiały oficjalnie, czego nie można było powiedzieć

o tonie jego głosu. Wypowiedział formułkę w taki sposób, jakby nie miała najmniejszego znaczenia. Zwykły rytuał.

–Pójdiesz ze mną – dodał.

–Mówi pan poważnie? – zdziwił się Parsons.

Stenog uniósł czarną brew i wykonał ruch swoją trzepaczką do piany. Jednak mówił poważnie.

–Masz szczęście – odezwał się do Parsonsa, gdy przekraczali próg hotelowych drzwi. – Gdybyś wyleczył ją tam, na oczach ludzi z plemienia – znów spojrzał na Parsonsa z politowaniem – rozerwaliby cię na strzępy. Ale, oczywiście, musiałeś o tym wiedzieć.

To społeczeństwo jest chore, pomyślał Parsons. Ten facet

1 cała reszta. Wszyscy. Ja się ich po prostu boję.

W skąpo oświetlonym pokoju dwie postacie chciwie chłonęły wzrokiem przesuwające się, rozżarzone litery. Skoncentrowane, wysokie sylwetki tkwiły schylone na krzesłach.

–Za późno!

Mężczyzna o mocnych rysach zaklął z goryczą.

–Wszystko stało się poza fazą – powiedział. – Nie ma dokładnego zespolenia ze statkiem. Został uwięziony na obszarze niedzipleniennym. – Naciskając urządzenie sterujące przyspieszył przepływ słów. – A teraz jeszcze ktoś z rządu...

–Co się dzieje z zespołem ratunkowym? – wyszeptała siedząca obok kobieta. – Dlaczego ich tam nie ma? Powinni

do niego dotrzeć na ulicy. Pierwszy sygnał został wysłany, gdy tylko...

–Na to potrzeba czasu – odrzekł mężczyzna, spacerując nerwowo tam i z powrotem. Jego stopy tonery w grubym dywanie pokrywającym podłogę. – Niestety, nie mogliśmy wyjść z ukrycia.

–Nie dotrą wystarczająco szybko – kobieta zrobiła gwałtowny ruch ręką i podświetlone słowa zgasły. – Zanim się tam dostaną, będzie martwy. Albo jeszcze gorzej. Na razie nie powiodło się nam, Helmar. Wszystko poszło nie tak.

Hałas, światła i ruch wokół. Na moment otworzył oczy. Ze wszystkich stron zalał go bezlitośnie porażający blask bieli. Ponownie zamknął oczy. Nic się nie zmieniło.

–Proszę powtórzyć nazwisko – usłyszał głos. – Nazwisko, proszę!

Nie odpowiedział.

–James Parsons – powiedział inny głos. Znajomy głos. Gdy go usłyszał, zaczął się tępo zastanawiać, do kogo należy. Prawie go zidentyfikował. Prawie.

–Wiek?

–Trzydzieści dwa lata – odrzekł ten sam głos. Tym razem go rozpoznał – to był jego własny głos. Odpowiadał na pytania jakby nie z własnej woli. Skądś dochodził szum jakiejś maszynerii.

–Urodzony? – padło pytanie.

Jeszcze raz z wysiłkiem otworzył oczy. Podniósł rękę, by je osłonić przed blaskiem i przez moment mógł dostrzec rozmazane kształty przedmiotów i ludzi. Przy maszynie rejestrującej siedział znudzony urzędnik o twarzy bez wyrazu i zapisywał odpowiedzi. Biurokrata. Funkcjonariusz od czystej roboty. Bez użycia siły, bez przemocy. Wyłącznie pytania.

Dlaczego im odpowiadam?

–Chicago, Illinois – jego głos dochodził jakby z innej części pokoju. – Hrabstwo Cook.

–Data, miesiąc? – zapytał teraz urzędnik.

–Szesnasty października – odpowiedział jego głos. – Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt.

Twarz urzędnika nie zmieniła wyrazu.

–Bracia, siostry?

–Nie.

Wciąż padały pytania; odpowiadał na każde.

–W porządku, panie Parsons – powiedział wreszcie urzędnik.

–Doktorze Parsons – poprawił odruchowo jego głos. Urzędnik nie zwrócił na to uwagi.

–Skończyliśmy – powiedział, zdejmując szpulę z maszyny rejestrującej. – Zechce pan przejść przez hol do pokoju numer trzydzieści cztery – wskazał kierunek ruchem brody. – Tam się panem zajmą.

Parsons wstał sztywno. Odkrył, że siedział na stole, mając na sobie tylko spodenki. Jak w szpitalu. Aseptycznie, białe, profesjonalnie. Gdy zaczął iść, zobaczył, że jego nogi są zupełnie białe, nie pokryte sprayem, dziwnie kontrastujące z pomalowanymi ramionami i resztą ciała. A więc wiedzą, pomyślał, ale szedł dalej. Nie miał ochoty na stawianie oporu, ale nie pogodził się z tym, co może go czekać. Po prostu wyszedł z pokoju przesłuchań, przeszedł przez jasno oświetlony hol i zbliżył się do pokoju numer trzydzieści cztery.

Drzwi otworzyły się, kiedy się do nich zbliżył. Znalazł się w pomieszczeniu wyglądającym na prywatne mieszkanie. Ze zdumieniem spostrzegł klawikord, a także poduszki na sofie pod oknem. Okno wychodziło na miasto. Sądząc po słońcu, musiało być południe. W kilku miejscach pokoju zobaczył książki, a na ścianie

reprodukcję Picassa.

Gdy tak stał, pojawił się nagle Stenog, przeglądający plik papierów spiętych spinaczem.

–Leczyłeś także oszpeconych? – zapytał, wpatrując się w Parsonsa. – Kalekich od urodzenia?

–Jasne – odrzekł Parsons. Z wolna zaczął odzyskiwać

panowanie nad sobą. – Ja... – rozpoczął z wahaniem, ale Stenog mu przerwał.

–Czytałem o twojej epoce na taśmach historycznych – powiedział. – Jesteś lekarzem. W porządku, wiem, co to znaczy. Rozumiem funkcję, jaką wykonywałeś. Ale nie mogę pojąć, jakiej ideologii to służyło. Po co to robiłeś?

Na jego ożywionej twarzy odbijały się zmienne emocje.

–Ta dziewczyna, Icara, umierała – ciągnął – ty mimo to zrobiłeś wszystko, żeby utrzymać ją przy życiu. I to bardzo zręcznie.

–Zgadza się – odrzekł z wysiłkiem Parsons. Dostrzegł, że oprócz Stenoga znalazło się w pokoju kilka

innych osób. Ustawily się z tyłu, czyniąc niejako Stenoga swoim rzecznikiem.

–W twojej cywilizacji było to oceniane pozytywnie i oficjalnie aprobowane? – zapytał Stenog.

Ktoś ze stojących z tyłu rzucił pytanie:

–Czy twój zawód cieszył się poważaniem i odgrywał znaczącą rolę społeczną?

–Po prostu nie mogę uwierzyć, by całe społeczeństwo aprobowало takie postępowanie – powiedział Stenog. – Ten zawód istniał zapewne na użytek jakiejś małej grupy.

Parsons słyszał słowa, ale nie rozumiał ich sensu. Wszystko było niewyraźne, nieostre, wykoślawione. Jakby odbite w krzywym zwierciadle.

–Leczenie było zajęciem chwalebnyim – zdobył się na odpowiedź. – Ale wy, zdaje się, uważacie to za rzecz godną potępienia...

Przez krąg słuchających przetoczył się złowrogi pomruk,

–Potępienia?! – parsknął Stenog. – To czyste szaleństwo! Nie rozumiesz, co by się

stało, gdyby wyleczono wszystkich chorych, rannych i starych?!

–Nic dziwnego, że jego społeczeństwo upadło – odezwała się dziewczyna o surowym spojrzeniu. – Zdumiewające, że przetrwało tak długo, opierając się na takim przewrotnym systemie wartości.

–To dowodzi – zastanawiał się Stenog – istnienia niemal nieograniczonej różnorodności formacji kulturowych. To, że całe społeczeństwo mogło istnieć uznając takie praktyki, nam wydaje się nie do uwierzenia. Jednak z rekonstrukcji historycznych wiemy, że tak naprawdę było. Ten człowiek nie uciekł z domu wariatów. W swojej epoce był wartościową jednostką, a jego profesja nie tylko cieszyła się uznaniem, ale zapewniała mu wysoki prestiż.

–Rozumowo jestem w stanie to przyjąć – powiedziała dziewczyna – ale nie emocjonalnie.

Stenog zrobił chytrą minę.

–Parsons – zagadnął – pozwól, że coś ci powiem. Przypomniało mi się coś, co chyba ma związek z tą sprawą. Wasza nauka pracowała również nad zapobieganiem powstawaniu nowego życia. Mieliście środki antykoncepcyjne – mechaniczne i chemiczne czynniki uniemożliwiające formowanie się zygoty w jajowodzie.

–My... – zaczął Parsons.

–Rassmort! – warknęła dziewczyna, blada z wściekłości.

Parsons zamrugał. Co to znaczy? Nie potrafił przełożyć tego na własny język.

–Czy pamiętasz przeciętny wiek waszej populacji? – zapytał Stenog.

–Nie... – mruknął Parsons. – Zdaje się, że około czterdziestki...

Pokój wypełnił się nagle szyderczym śmiechem zebranych.

–Czterdzieści lat?! – zdziwił się Stenog z niesmakiem. – Nasza przeciętna wieku to piętnaście!

Dla Parsonsa nie miało to znaczenia, chociaż rzeczywiście zdążył zauważyć, że starszych osób właściwie się tu nie spotyka.

–Uważacie to za powód do dumy? – zapytał z niedowierzaniem.

W otaczającym go kręgu odezwały się okrzyki oburzenia.

–Wystarczy – zarządził Stenog. – Wyjdźcie wszyscy. Uniemożliwiacie mi

wykonywanie mojej pracy.

Wyszli niechętnie. Kiedy ostatni człowiek opuścił pokój, Stenog podszedł do okna i zatrzymał się przy nim przez chwilę.

–Nie mieliśmy pojęcia... – rzucił w końcu przez ramię w stronę Parsonsa. – Przywiozłem cię tu tylko na rutynowe przesłuchanie... – Po chwili milczenia zapytał: – Dlaczego nie pomalowałaś całego ciała?

–Z braku czasu – odrzekł Parsons.

–Aha, nie zdążyłeś... – Stenog spojrzał znad pliku papierów. – Wydaje mi się, że nie masz pojęcia, w jaki sposób przeniosłeś się ze swojej epoki do naszej. Interesujące...

Parsons milczał. Skoro wszystko jest w tych papierach, nie ma sensu niczego wyjaśniać. Za sylwetką Stenoga widać było miasto. Zainteresowały go strzeliste budowle.

–Co mnie dręczy – powiedział Stenog – to fakt, że zaprzestaliśmy eksperymentów z przenoszeniem się w czasie jakieś osiem lat temu. To znaczy rząd wydał prawo, które wykazywało, że poruszanie się w czasie jest ograniczonym zastosowaniem nieustannego ruchu, a zatem zaprzeczeniem własnych zasad działania. Czyli, gdyby ktoś chciał wynaleźć wehikuł czasu, to musiałby tylko przysiąc, że uruchamiając go po raz pierwszy, użyje go po to, by wrócić w czasie do momentu, w którym zainteresował go ten pomysł, ofiarować sobie samemu z wcześniejszego okresu działający, wykończony mechanizm. To się nigdy nie zdarzyło. Oczywiście nie można podróżować w czasie. Z definicji wynika, że gdyby przenoszenie się w czasie mogło być wynalezione, to już by się to dokonało. Może upraszczam zbytnio ten wywód, ale co do istoty rzeczy...

–To nasuwa wniosek – przerwał mu Parsons – że gdyby już dokonano tego odkrycia, byłoby ono powszechnie znane. Jednak nikt nie zauważył, że opuściłem mój świat. Myśli pan, że moi bliscy zdają sobie sprawę z tego, co się stało? Wiedzą tylko, że zniknąłem bez śladu... – Parsons

pomyślał o żonie. – Nie wiedzą nic. Nie było żadnego ostrzeżenia.

Podał Stenogowi wszystkie szczegóły swojego zniknięcia. Młodszy mężczyzna słuchał uważnie.

–Pole mocy – powiedział po chwili i aż zatrzęsł się ze złości. Ciągnął: – Nie powinniśmy byli zrezygnować z eksperymentów. Wykonaliśmy wiele podstawowych badań, zbudowaliśmy urządzenia... – zamyślił się. – Bóg raczy wiedzieć, co z nich zostało. Te badania nigdy nie były tajne. Przypuszczam, że konstrukcje posprzedawano, a przecież zawierały mnóstwo cennych elementów. To było jakiś rok

temu. Wydawało nam się oczywiste, że podróż w czasie, w ogromną przestrzeń historii, jest realna. Będzie można przeszkodzić w upadku greckich państw-miast, pomóc Napoleonowi w zrealizowaniu jego wizji Europy i tym samym zapobiec wojnom, które potem nastąpiły... Ale w twoim przypadku wygląda na to, że odbyłeś tajemniczą podróż w czasie z przyczyn osobistych, a nie ze względów urzędowych czy społecznych.

Chłopięca twarz Stenoga przybrała gniewny wyraz.

–Jeśli orientuje się pan, że jestem z innej epoki – odrzekł Parsons – i z innej kultury, to dlaczego uwięził mnie pan za to, co zrobiłem?

–Oczywiście nie miałeś koniecznej wiedzy – zgodził się Stenog. – Ale nasze prawo nie zawiera klauzuli wykluczającej "osoby z innej kultury". Nie istnieją takie rozróżnienia. Świadomie czy nie, musisz stanąć przed sądem i otrzymać wyrok. Zawsze uważaliśmy, że nieznanostwo prawa nie jest usprawiedliwieniem. Wy tak nie twierdzicie?

Parsons był wstrząśnięty. Co za okropna niesprawiedliwość! Z tonu Stenoga wciąż jednak nie mógł wywnioskować, na ile tamten mówi serio. Nie potrafił zinterpretować lekko ironicznego, niedbałego sposobu mówienia. Czy Stenog udaje?

–A nie mógłby pan kierować się własnym rozsądkiem? – zapytał sztywno Parsons.

–Należy stosować się do zasad obowiązujących w społeczności, w której się przebywa – pouczył go Stenog. – Nie ma znaczenia, czy przybyłeś tu z własnej woli, czy nie. Ale może uda ci się uzyskać odroczenie. – Wydał się nagle szczerze zatroskany. – Sąd mógłby uwzględnić twoją prośbę. – Ironia zniknęła z jego głosu.

Wyszedł z pokoju, zostawiając Parsonsa samego. Wrócił niebawem, niosąc elegancką dębową skrzyneczkę zaopatrzoną w zamek. Usiadł, wydobył z togi klucz i otworzył szkatułkę. Wyciągnął z niej ciężką, białą perukę i z namaszczeniem włożył ją na głowę. Gdy ukrył pod nią ciemne włosy, a po obu stronach twarzy spływały mu ciężkie loki, natychmiast stracił swój młodzieńczy wygląd i nabrał dostojnej powagi.

–Jako Dyrektor Źródła jestem upoważniony do wydania na ciebie wyroku – powiedział, przyglądając się badawczo Parsonsovi spod peruki. – Muszę wobec tego rozważyć formalną procedurę zesłania.

–Zesłania?! – powtórzył jak echo Parsons.

–Nie utrzymujemy tu kolonii karnych. Zapomniałem, jaki system stosowaliście w waszej cywilizacji. Obozy pracy? Obozy koncentracyjne w azjatyckiej części Związku Radzieckiego?

–Nie ma już obozów koncentracyjnych ani obozów niewolniczej pracy w Rosji – odrzekł Parsons po chwili milczenia.

–Nie próbujemy rehabilitować przestępców – wyjaśnił Stenog. – To byłoby pogwałceniem ich praw. A z praktycznego punktu widzenia to nie ma sensu. Nie chcemy w naszym społeczeństwie jednostek nieprzystosowanych.

–Czy w karnych koloniach są shupo! – spytał zaniepokojony Parsons.

–Shupo są zbyt cenni, by pozbywać się ich z Ziemi – odparł Stenog. – Większość z nich to nasza młodzież, rozumiesz... Aktywna młodzież. Organizacja shupo prowadzi schroniska młodzieżowe i szkoły z dala od społeczeństwa, a obowiązują w nich spartańskie zasady. Dzieci rozwijają się tam umysłowo i fizycznie. Twardnieją. Akcja, którą widziałeś – nalot na nielegalną organizację opozycyjną – to był drobiazg, rodzaj ćwiczeń w terenie. Chłopcy ze schronisk to absolutni fanatycy. Na ulicach mają prawo osobiście zatrzymać każdego, kto w ich odczuciu nie zachowuje się właściwie.

–Jak wyglądają te kolonie karne?

–Jak miasta. Będziesz zwalniany do pracy, dostaniesz oddzielne mieszkanie, właściwie apartament, gdzie będziesz mógł zajmować się twoim hobby lub pracą twórczą. Klimat, oczywiście, nie jest sprzyjający. Ogromnie skraca życie. Wiele zależy od indywidualnej wytrzymałości człowieka.

–I nie ma możliwości apelacji? – zapytał Parsons. – Decyzja sądu jest nieodwołalna? Co to za system, w którym rząd wnosi oskarżenie i potem występuje w roli sędziego, wkładając po prostu średniowieczną perukę?

–Mamy skargę podpisaną przez dziewczynę – odparł Stenog.

Parsons spojrzał na niego. Nie mógł w to uwierzyć.

–A tak – potwierdził Stenog. – Chodź" ze mną. Wstał i otworzył boczne drzwi, wskazując gestem, by

Parsons poszedł za nim. Wyglądał groźnie i uroczyście w białej peruce.

–To może powiedzieć ci o nas więcej niż wszystko, co do tej pory widziałeś – uprzedził.

Mijali drzwi jedno po drugim. Oszołomiony Parsons ledwo mógł nadążyć za sprężystym krokiem młodszego mężczyzny w peruce. W końcu zatrzymali się przy jakichś drzwiach. Stenog otworzył zamek i odsunął się na bok, by przepuścić Parsonsa.

Na pierwszej z kilku małych platform leżało ciało, częściowo przykryte białym prześcieradłem. Parsons podszedł bliżej i zobaczył lcarę. Oczy miała zamknięte, leżała nieruchomo, a jej skóra przybrała wyblakłą, jakby spraną barwę.

–Wypełniła formularz pozwu – przemówił Stenog – tuż przed śmiercią.

Zapalił światło. Patrząc w dół, Parsons stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że dziewczyna nie żyje od kilku godzin.

–Ależ ona dochodziła do siebie – wybuchnął. – Jej stan się poprawiał!

Stenog sięgnął w dół i odsłonił prześcieradło. Wzdłuż szyi dziewczyny biegło dokładne, precyzyjne ciecie. Główna tętnica szyjna została przecięta. I to fachowo.

–Oskarżyła cię o umyślne wstrzymanie naturalnego procesu jej zejścia z tego świata – poinformował Stenog. – Jak tylko wypełniła formularz, wezwała swojego domowego eutanora i poddała się Ostatniemu Obrządkowi.

–Wiec zrobiła to sama – rzekł wstrząśnięty Parsons.

–To była dla niej przyjemność. Z własnej woli naprawiła szkodę, jaką usiłowałeś wyrządzić.

Stenog zgasił światło.

Stenog zabrał go własnym samochodem do domu na kolację. Gdy tak jechali w popołudniowym ruchu, Parsons starał się możliwie najdokładniej przyjrzeć miastu. Raz, gdy samochód stanął, by przepuścić trypoziomowy autobus, opuścił szybę w oknie i wychylił się. Stenog nie wykonał żadnego ruchu, by go powstrzymać.

–Oto gdzie pracuję – powiedział w pewnym momencie Stenog. Zwolnił i wskazał na płaski budynek, leżący po ich prawej stronie, większy od wszystkich innych, które Parsons dotąd widział.

–To tam byliśmy, w moim biurze w Źródle. Może dla ciebie to bez znaczenia, ale byłeś w najlepiej strzeżonym miejscu, jakim dysponujemy. Przez cały czas przejeżdżamy przez punkty kontrolne.

W samochodzie siedzieli już prawie od pół godziny.

–Codziennie muszę tędy przejeżdżać – pożalił się Stenog. – Jestem dyrektorem Źródła, ale mnie też sprawdzają.

Ostatni umundurowany strażnik zatrzymał samochód. Wziął od Stenoga jego płaską czarną legitymację i po chwili samochód wjechał na pochylnię wyjazdową. Miasto leżało pod nimi.

–Sześcian Życia znajduje się w Źródle – powiedział Stenog tonem wyjaśnienia. – Ale dla ciebie to także nie ma sensu, prawda?

–Owszem – przyznał Parsons. Myśłami wciąż był przy śmierci dziewczyny.

–Kręgi koncentryczne – ciągnął Stenog. – Ważne strefy. Teraz, rzecz jasna, jesteśmy poza nimi, na obszarach plemion.

Jaskrawe, kolorowe punkty, które Parsons widział poprzednio, wyprzedzały ich teraz z wielką szybkością. Stenog nie był zbyt brawurowym kierowcą. W świetle dziennym Parsons dostrzegł, że każdy przejeżdżający obok samochód ma jeden z plemiennych symboli zwierząt wymalowany na drzwiach, na masce silnika zaś – metalowe i plastikowe ornamenty, które mogły być totemami, lecz pojazdy mknęły zbyt szybko, by mógł się co do tego upewnić.

–Zamieszkas u mnie do czasu emigracji na Marsa – powiedział Stenog. – To potrwa mniej więcej dzień. Zorganizowanie transportu zabiera trochę czasu. Te wszystkie rządowe formularze... Biurokracja.

Mały dom stał pośród wielu innych ustawionych wzdłuż równej linii i przypominał

Parsonswi jego własny. Zatrzymał się na chwilę na frontowych schodach.

–Wchodź – ponaglił Stenog. – Samochód sam się zaparkuje.

Położył rękę na ramieniu Parsonsa i skierował go w górę schodów, na ganek. Z otwartych drzwi dochodziły dźwięki muzyki.

–W twojej epoce nie było jeszcze radia, prawda? – zapytał Stenog, gdy weszli do środka.

–Nieprawda – odrzekł Parsons. – Mieliśmy radio.

–Rozumiem – powiedział Stenog. Teraz, u schyłku dnia, wyglądał na zmęczonego. – Kolacja powinna być gotowa... – mruknął.

Usiadł na długiej, niskiej sofie i zdjął sandały. Spacerując po salonie, Parsons zauważył w pewnej chwili, że Stenog dziwnie mu się przygląda.

–Masz na nogach buty – usłyszał. – Nie zdejmowaliście butów, wchodząc do domu?

Parsons posłusznie zdjął buty. Stenog klasnął w dłonie i niemal natychmiast pojawiła się kobieta w zwiewnej, jaskrawej todze. Była boso. Nie zwróciła na Parsonsa najmniejszej uwagi. Z niskiego kredensu stojącego pod ścianą wyjęła tacę; stał na niej ceramiczny dzbanuszek i mała, glazurowana filiżanka. Postawiła tacę na stoliku obok sofy, na której siedział Stenog. Parsons poczuł zapach herbaty. Stenog bez słowa nalał sobie i zaczął pić.

Mnie nie częstuje, pomyślał Parsons. Czy dlatego, że jestem przestępcą? A może wszyscy goście traktowani są w ten sposób? Osobliwe zwyczaje. Nie przedstawił mi tej kobiety... Jest jego żoną? Służącą?

Ostrożnie usiadł na skraju sofy. Ani Stenog, ani kobieta nie zareagowali, nie wiedział więc, czy zachował się właściwie. Czarne oczy kobiety utkwione były w popijającym herbatę Stenogu. Ona również, jak wszyscy inni tutaj, miała ciemne, długie, błyszczące włosy. Czymś się jednak różniła, wydawała się mniej delikatna, mocniej zbudowana.

–To moja puella – poinformował Stenog, dopijając herbatę. Odprężył się i ziewnął, najwyraźniej zadowolony, że jest już we własnym domu, a nie w biurze. – Widzisz – zaczął – nie jestem pewien, czy potrafię ci to wyjaśnić w przystępny sposób... Nasz związek jest legalny, urzędowo zarejestrowany i dobrowolny. Ja mogę go zerwać, ona nie... Ma na imię Amy – dodał.

Kobieta wyciągnęła rękę do Parsonsa. Uścisnęli sobie dłonie. Ten zwyczaj się nie zmienił. To drobne poczucie ciągłości podniosło go trochę na duchu. Przyłapał się

na tym, że jest spokojniejszy.

–Herbata dla doktora Parsonsa – polecił Stenog.

Gdy tak razem popijali herbatę, Amy poszła przygotować kolację za lekkim parawanem, który Parsons rozpoznał bez trudu jako orientalny. Tu również, tak jak w biurze Stenoga, stał klawikord. Parsons dostrzegł na nim stos płyt. Niektóre wyglądały na bardzo stare.

Po kolacji Stenog wstał.

–Przejdźmy się do Źródła – zaproponował Parson-sowi. – Chcę, żebyś zrozumiał nasz punkt widzenia.

Samochód Stenoga roztopił się w ciemnościach. Parsons czuł na twarzy zimny, świeży powiew; młody mężczyzna jechał z opuszczonymi szybami, najwidoczniej z przyzwyczajenia. Wydawał się zamknięty w sobie, więc Parsons nie próbował nawiązywać rozmowy.

Kiedy znów przejeżdżali przez posterunki kontrolne, Stenog niespodziewanie wybuchnął:

–A więc uważasz to społeczeństwo za chore?

–Ktoś z zewnątrz może tak to odebrać – odparł ostrożnie Parsons. – To podkreślanie spraw dotyczących śmierci...

–Chyba masz na myśli życie.

–Kiedy tylko tu trafiłem, pierwsza napotkana osoba próbowała mnie przejechać, najwyraźniej uważając, że chcę zostać zabity.

A lara? – pomyślał.

–Prawdopodobnie ta osoba zobaczyła, że wałęsasz się; samotnie nocą po drodze publicznej.

–To prawda – przyznał Parsons.

–To jedna z ulubionych gierki rozmaitych typów z fantazją, lubiących teatralne gesty. Wychodzą za miasto, na szosę, wiedząc, że jest taki zwyczaj, iż kierowcy, którzy ich dostrzegą, przejeżdżają po nich. To stało się już tradycją. Czy w twoich czasach ludzie nie rzucali się nocą z mostów do wody?

–Ale to była znikoma mniejszość bez znaczenia, ludzie z zaburzeniami umysłowymi – zaprotestował Parsons.

–Mimo to społeczeństwo ich rozumiało i uznawało ich prawa. Jeśli ktoś chciał się zabić, przyjmowano to za właściwy sposób. – Stenog podniecał się coraz bardziej. – W rzeczywistości nic o naszym społeczeństwie nie wiesz! Za krótko tu jesteś. Popatrz na to...

Wysiedli z samochodu w wielkiej hali. Parsons zatrzymał się pod wrażeniem tego, co zobaczył. We wszystkich kierunkach rozchodziła się sieć korytarzy. Pomimo nocy wrzała tu praca. W jasno oświetlonych korytarzach panował ruch.

Jedna ze ścian hali przylegała do krawędzi sześcianu. Idąc w tamtym kierunku, Parsons doznał szoku. Uświadomił sobie, że widzi tylko fragment tego urządzenia, bo całość jest ukryta pod ziemią. Nie potrafił dokładnie sobie wyobrazić jego wielkości.

Sześcian żył!

Spod podłogi dochodziło nieprzerwane dudnienie. Czuł je w całym ciele. Czy było to złudzenie stworzone przez niezliczoną rzeszę techników, śpieszących korytarzami tam i z powrotem? Samoczynne windy towarowe wywoziły na gór? puste pojemniki, ładowały same świeży materiał i zjeżdżały z powrotem na dół. Uzbrojeni wartownicy spacerowali tam i z powrotem, mając oko na wszystko. Zauważył, że obserwują nawet Stenoga.

A jednak czuło się tu życie i nie było to złudzeniem. Kipiało pod powierzchnią sześcianu. Regulowany, odmierzany metabolizm, w którym jednak wyczuwało się szczególny niepokój. Nie była to cicha, niezmacona egzystencja, lecz falujące morze. Przyływy i odpływy. Wprawiało to w zdenerwowanie nie tylko Parsonsa, ale również pozostałych. Na ich twarzach widniało takie samo zmęczenie i napięcie, jak na twarzy Stenoga.

Z Sześcianu emanował chłód.

Zastanawiające, pomyślał. Żyje, a jest zimny. Odwrotnie niż ludzkie ciepłe życie. Zauważył, że wszyscy – i ludzie w korytarzach, i on sam, i Stenog – przy każdym oddechu chuchają białą mgiełką – parą.

–Co tam jest? – zapytał Stenoga, wskazując sześcian.

–My – padła odpowiedź.

Z początku nie zrozumiał, uznał, że Stenog użył metafory. Potem, stopniowo, zaczął pojmować...

–Zygoty – tłumaczył Stenog. – Uwięzione i zamrożone w opakowaniach. Po sto miliardów w każdym. Całe nasze potomstwo. Horda potomków. Tam się mieści rasa

ludzka.

My, którzy istniejemy teraz – wykonał lekceważący ruch ręką – to tylko drobny ułamek zamkniętych tam przyszłych generacji.

A zatem oni nie dbają o terażniejszość, pomyślał Parsons. Koncentrują się na przyszłości. Ci jeszcze nie narodzeni są w pewnym sensie ważniejsi od tych, którzy dziś chodzą po ulicach...

–Jak to jest regulowane? – zapytał Stenoga.

–Utrzymujemy stałą populację, z grubsza licząc dwa i trzy czwarte miliarda. Każdy zgon automatycznie uwalnia z zamrożenia nową zygotę i kieruje ją na drogę prawidłowego rozwoju. Każda śmierć owocuje natychmiast nowym życiem. Są splecione ze sobą.

Więc ze śmierci powstaje życie, pomyślał Parsons. Z ich punktu widzenia śmierć jest przyczyną życia.

–Skąd pochodzą zygoty? – zainteresował się.

–Pozyskujemy je według ściśle określonego, bardzo złożonego wzoru. Co roku organizujemy spisy, przy których plemiona współzawodniczą ze sobą. Testy kontrolne obejmują wszystkie dziedziny. Sprawdzają zdolności umysłowe, sprawność fizyczną, talenty i możliwość intuicyjnego działania na każdej płaszczyźnie i wobec każdego zjawiska – od najbardziej abstrakcyjnych pojęć do przedmiotowych współzależności. Także umiejętność orientacji i zdolności manualne.

–Rozumiem – powiedział Parsons. – Wkład gamet jest proporcjonalny do wyników testów każdego plemienia.

Stenog przytaknął.

–Podczas ostatnich Spisów Plemię Wilków odniosło sześćdziesiąt zwycięstw na dwieście możliwych, a zatem wniosło trzydzieści procent zygot na przyszłość. Więcej niż plemiona, które zajęły trzy kolejne miejsca. Bierze się możliwie najwięcej gamet od mężczyzn i kobiet, którzy mają najlepsze wyniki. Oczywiście zygoty formowane są zawsze tutaj. Formowanie zygot bez upoważnienia jest nielegalne... ale nie chciałbym urazić twojej wrażliwości. Wyjątkowo utalentowane osobniki wykorzystujemy maksymalnie, nawet jeśli ich plemię

uzyskało niski wynik. Wyszukujemy jednostki szczerze obdarowane przez naturę i dokładamy wszelkich starań, by pozyskać od nich cały zapas gamet. Na przykład Matka Przełożona Plemienia Wilków, Loris. Żadna z jej gamet się nie zmarnowała.

Każdą umieszcza się tutaj i natychmiast zapładnia w Źródle, gdy tylko jest wystarczająco uformowana. Gorsze gamety i nasienie tych, którzy uzyskują słabe wyniki, są niepotrzebne, więc pozwala im się zginąć.

Po raz pierwszy Parsons pojął jasno podstawowy porządek tego świata.

–Zatem wasza rasa wciąż się doskonali – orzekł.

–Przecież to oczywiste! – zdziwił się Stenog.

–Ta dziewczyna, Icara, chciała umrzeć, ponieważ została okaleczona i zniekształcona... Wiedziała, że nie miałyby żadnych szans w Spisach.

–Byłaby po prostu czynnikiem negatywnym jako osoba, jak my to nazywamy, niepewnowartościowa. Jej plemię uzyskałoby przez nią gorsze wyniki. Natomiast gdy tylko umarła, uwolniona została zygota najwyższego gatunku, pochodząca z późniejszego zapasu niż jej własna. Jednocześnie wyjęto dziewięciomiesięczny embriion i odłączono go od Sześcianu Życia. Icara była z plemienia Bobrów, dlatego to nowo narodzone dziecko będzie nosiło emblemat tego plemienia. Zajmie miejsce Icary.

Parsons dał znak, że rozumie.

–Więc to jest nieśmiertelność...

Uświadomił sobie nagle, że tutaj śmierć ma pozytywne znaczenie. Nie oznacza końca życia, zresztą nie tylko dlatego, że ci ludzie chcą w to wierzyć. To są fakty, ich świat jest tak skonstruowany. Zdał sobie sprawę, że to nie ma nic wspólnego z mistycyzmem. To jest nauka.

Podczas drogi powrotnej do domu Stenoga Parsons przypatrywał się mężczyznom i kobietom o bystrych oczach, mocno zarysowanych nosach i podbródkach, gładkiej skórze. Piękna

rasa. Wspaniali mężczyźni i młode kobiety o pełnych piersiach. Wszyscy w najlepszym okresie młodości. Wędrują zadowoleni po swoim wspaniałym mieście.

W pewnym momencie zauważył mężczyznę i kobietę na lśniącej wstędze metalowego wiszącego mostu, łączącego dwie strzeliste budowle. Żadne z nich nie miało więcej niż dwadzieścia lat. Idąc szybkim krokiem, trzymali się za ręce, rozmawiali wesoło. Dziewczyna miała drobną twarzyczkę

0 ostrych rysach, szczupłe ramiona i małe stopy obute w sandały. Ta pełna życia twarzyczka tryskała szczęściem

1 zdrowiem.

A jednak było to społeczeństwo zbudowane na śmierci. Śmierć była częścią ich codziennego życia. Jednostki umierały i nie wzbudzało to niczyjej trwogi, nawet samych ofiar. Umierały szczęśliwe i radosne. A przecież nie powinno tak być, to wbrew naturze. Człowiek instynktownie powinien bronić własnego życia, jako najwyższej wartości. Ci ludzie tutaj zaprzeczali podstawowemu dążeniu wszelkich form życia. Próbując wyrazić się jasno, Parsons powiedział:

–Zachęćcie śmierć. Gdy ktoś umiera, cieszy się.

–Śmierć – odparł Stenog -jest częścią cyklu istnienia, tak samo jak narodziny. Widziałeś Sześcian Życia. Śmierć człowieka jest tak samo ważna jak jego życie.

Przerwał swoje dość chaotyczne wywody, bo duży ruch zmusił go do skupienia uwagi na prowadzeniu samochodu. A jednak, pomyślał Parsons, ten człowiek robi wszystko, by uniknąć kraksy. Jeździ ostrożnie. Jest w tym jakaś sprzeczność.

W społeczeństwie Parsonsa każdy odsuwał od siebie myśl o śmierci... System, w którym się urodził i wychował* nie znajdował dla niej wytłumaczenia. Człowiek po prostu przeżywał swoje życie, próbując udawać, że nigdy nie umrze.

Co jest normalniejsze – taka integracja ludzi ze śmiercią czy też neurotyczne odrzucanie wszelkich rozważań o śmierci, przyjęte w moim społeczeństwie? Byliśmy jak dzieci, pomyślał, niezdolne do tego, aby wyobrazić sobie własną śmierć.

Oto jak działał mój świat, dopóki nie spotkała nas masowa zagłada, co najwidoczniej nastąpiło.

–Twoi przodkowie – zaczął znowu Stenog – mam tu na myśli pierwszych chrześcijan, rzucali się pod koła rydwanów. Szukali śmierci, a jednak z ich wiary powstało twoje społeczeństwo.

–Możemy lekceważyć śmierć – powiedział wolno Parsons – możemy nawet, co jest objawem niedojrzałości, zaprzeczać jej istnieniu, ale chyba nie powinniśmy jej nadskakiwać.

–Ale pośrednio to robiliście – zwrócił mu uwagę Stenog. – Lekceważąc potężną, realnie istniejącą siłę, podkopaliście racjonalne podstawy waszego świata. Nie potrafiliście stawić czoła takim problemom, jak wojny, głód i przeludnienie, bo nie mogliście się zdobyć na przemyslenia. Wojna zdarzała się wam jak klęska żywiołowa, nie wywołana przez człowieka, jak siła sama w sobie. My panujemy nad społeczeństwem. Przyglądamy się uważnie wszystkim aspektom naszej egzystencji, nie tylko tym przyjemnym.

Resztę podróży odbyli w milczeniu.

Gdy już wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku frontowych schodów domu, Stenog zatrzymał się przy krzewie rosnącym obok ganku. W świetle padającym z okna zwrócił uwagę Parsonsa na ten krzew.

–Co tu widzisz? – zapytał, podnosząc ciężką gałązkę.

–Pąk.

Stenog ujął inny pęd.

–A to jest kwiat w pełnym rozkwicie – powiedział. – Tu obok masz więdnący kwiat. Zaraz przekwitnie.

Wyciągnął zza pasa nóż; jednym szybkim, czystym cięciem oddzielił przywędły kwiat od krzewu i przerzucił przez poręcz.

–Zobaczyłeś trzy rzeczy równocześnie – rzekł, – Pąk, czyli przyszłe życie. Kwiat, a więc życie, które trwa. I martwy kwiat, który odciąłem, by mogły się ukształtować następne pąki.

Parsons zamyślił się głęboko.

–Jednak gdzieś na świecie istnieją ludzie, którzy rozumują inaczej niż wy – oznajmił. – Dlatego się tu znalazłem. Prędzej czy później...

–...pojawią się? – dokończył Stenog z ożywieniem. Nagle Parsons pojął, dlaczego nawet nie próbowano trzymać

go pod ścisłą strażą; dlaczego Stenog tak chętnie i bez eskorty woził go po mieście, zaprosił do własnego domu, pokazał mu samo Źródło.

Oni chcieli nawiązać kontakt!

Gdy weszli do saloniku, Amy siedziała przy klawikordzie. Z początku muzyka wydała się Parsonsowi obca, ale niebawem zorientował się, że słyszy utwór Jelly Roll Mortona, choć wykonywany w jakimś dziwnym, jakby fałszywym rytmie.

–Szukałam czegoś z twoich czasów – wyjaśniła Amy, przerywając grę. – Nie znałeś Mortona osobiście, prawda? My traktujemy go na równi z Dowlandem, Schubertem i Brahmssem.

–Morton żył przed moim urodzeniem – odparł Parsons.

–Co ci się nie podoba w mojej grze? – zapytała, widząc wyraz jego twarzy. – Zawsze

byłam zakochana w muzyce z tamtego okresu. Prawdę mówiąc, w szkole zrobiłam z tego dyplom.

–Szkoda, że nie umiem grać – powiedział Parsons. – W naszych czasach liczyła się głównie telewizja. Umiejętność gry na instrumentach muzycznych właściwie straciła znaczenie w życiu towarzyskim i kulturalnym.

Tak naprawdę to nigdy nie grał na żadnym instrumencie. Klawikord rozpoznał tylko dlatego, że widział go w muzeum. Ta formacja społeczna wskrzesiła przedmioty pochodzące z czasów o tyle wcześniejszych niż własna epoka, a w dodatku uczyniła je częścią swojego świata. Parsons lubił muzykę, ale ta, którą znał, pochodziła z nagrań, a w najlepszym wypadku była wykonywana na koncertach. Pomysł, by grać na jakimś

instrumencie we własnym domu, wydawał się tak samo nieprawdopodobny, jak posiadanie własnego teleskopu.

–Dziwię się, że nie umiesz grad – powiedział Stenog, wyciągając butelkę i szklanki. – A co powiesz na to? Napój alkoholowy otrzymywany z fermentacji ziarna.

–Wydaje mi się, że go sobie przypominam – odrzekł rozbawiony Parsons.

Stenog był jednak śmiertelnie poważny.

–Jeżeli dobrze rozumiem – powiedział – alkohol wprowadzono, by zastąpił narkotyki, rozpowszechnione w twojej epoce. Jest mniej toksyczny i powoduje mniej efektów ubocznych. Zresztą ty się na pewno lepiej w tym orientujesz.

Otworzył butelkę i zaczął napełniać szklanki. Po kolorze i zapachu Parsons odgadł, że Stenog częstuje go bourbonem. Siedzieli sobie popijając, Amy zaś grała swoją dziwną wersję jazzu tradycyjnego na klawikordzie. W pokoju zapanowała atmosfera głębokiego spokoju i Parsons poczuł się trochę lepiej. Zastanawiał się, czy rzeczywiście jest to aż tak nikczemne społeczeństwo.

Czy w ogóle może je osądzać człowiek będący wytworem innej cywilizacji? Doszedł do wniosku, że nie byłaby to ocena obiektywna. Po prostu porównuję ten świat do mojego, pomyślał, zamiast do jakiegoś neutralnego.

Bourbon, sądząc po smaku, nie osiągnął jeszcze odpowiedniego wieku. Wypił go bardzo niewiele. Siedzący naprzeciw Stenog powtórnie napełnił swoją szklankę. Przez pokój przeszła Amy, podeszła do kredensu i wyjęła szklankę. Stenog przedtem podał tylko dwie. Status kobiety... Pamiętał, że w towarzystwie Wade'a i Icary nie wyczuwał tej nierówności płci.

–Ta nielegalna grupa polityczna... – zagadnął. – Czego oni się domagali?

–Prawa wyborczego dla kobiet – zachnął się Stenog, oburzony. Mimo że Amy naląła sobie drinka, nie przyłączyła się do nich. Siedziała sama w rogu pokoju, cicha i zamyślona.

Przecież wspominała, że chodziła do szkoły, przypomniał sobie Parsons. A zatem kobiety nie są pozbawione możliwości

kształcenia się, chociaż pewnie wykształcenie nie zapewnia im tu żadnego statusu społecznego. Szczególnie gdy nie prowadzi do zdobycia stopnia naukowego, na przykład z historii... Staje się wtedy zwykłym hobby, w sam raz odpowiednim dla kobiet.

–Podoba ci się moja puella? – zapytał nagle Stenog, wpatrując się w swoją szklankę.

–Cóż... – zaczął z zakłopotaniem Parsons. Przyłapał się, że nie potrafi się powstrzymać od zerkania na Amy, choć ona wydawała się tym nie przejmować.

–Zostaniesz tu na noc – poinformował go Stenog. – Możesz z nią spać, jeśli chcesz.

Parsons nie odpowiedział. Spojrzał na Stenoga, a potem ostrożnie przeniósł wzrok na Amy, starając się odgadnąć, o co ni właściwie chodzi. Może coś źle zrozumiał? Bariera językowa czy różnica obyczajów?

–W moich czasach byłoby to nie do przyjęcia... – bąknął w końcu.

–No to co? Teraz jesteś tutaj – odparł Stenog z nutką irytacji w głosie.

Fakt, przyznał w duchu Parsons.

–Powiniennem chyba wziąć pod uwagę – powiedział po namyśle – że wprowadzenie tego pomysłu w życie mogłoby wyrzucić do góry nogami waszą teorię starannej kontroli formowania zygot.

Stenog i Amy zareagowali natychmiast.

–Tak, to prawda – zaczęła Amy. Zwróciła się do Stenoga: – Pamiętaj, że on nie przeszedł Inicjacji... Dobrze, że o tym przypomniał. Mogłaby powstać bardzo niebezpieczna sytuacja. Dziwne, że żadne z nas o tym nie pomyślało – dodała. Stenog wyprostował się dumnie.

–Parsons, przygotuj się na to, że cię trochę zgorszę.

–Nie o to chodzi – wtrąciła się Amy. – Myślę o sytuacji, w jakiej mógłby się znaleźć.

Nie zwracając na nią uwagi, Stenog zwrócił się do Parsonsa:

–Wszyscy mężczyźni poddają się sterylizacji u progu

okresu dojrzewania płciowego – powiedział z satysfakcją. – Mówię również o sobie.

–Teraz rozumiesz – odezwała się Amy – dlaczego ten zwyczaj nie stwarza nam żadnych problemów. Ale w twoim wypadku...

–Niestety – zdecydował Stenog, – nie możesz się z nią przespać, Parsons. Prawdę mówiąc, nie możesz w ogóle sypiać z kobietami. – Zmieszał się. – Uważam, że powinieneś jak najszybciej dotrzeć na Marsa. Twoja sytuacja mogłaby się stać kłopotliwa.

–Napijesz się jeszcze? – spytała Amy, podchodząc do Parsonsa. Nie zaprotestował, gdy napełniała mu szklankę.

Życzenie Stenoga stało się faktem już o czwartej nad ranem następnego dnia. Nagle Jim Parsons zdał sobie sprawę, że już nie śpi, że stoi na własnych nogach, a ktoś wręcza mu jego ubranie. Zanim zdążył się ubrać, choćby do połowy, kilku ludzi w jakichś rządowych uniformach wyprowadziło go z domu do zaparkowanego samochodu. Nikt się do niego nie odzywał. Mężczyźni wykonywali swoją robotę szybko i sprawnie. W chwilę później samochód pędził pustą szosą, aby zaraz znaleźć się poza miastem.

Nie zobaczył już Stenoga ani Amy.

Kiedy dotarli do lądowiska, zdumiał go jego rozmiar. Nie było większe od podwórka przy domku typowego przedstawiciela wyższej klasy średniej. Nie zostało nawet porządnie wyrównane. Stojący na lądowisku statek kosmiczny w kształcie bomby lotniczej był pewnie kiedyś pomalowany na niebiesko. Teraz wyraźnie zardzewiał, co świadczyło o braku należytej konserwacji. Szykowano go właśnie do odlotu; w świetle reflektorów krzatali się przy nim mechanicy. Parsons domyślił się, że trwa ostatni przegląd techniczny.

Niemal natychmiast popchnięto go w górę po pochylni wiodącej do wejścia na pokład statku. Gdy znalazł się w jego wnętrzu, stanowiącym jednoosobowy przedział, posadzono go w fotelu i przymocowano tak, że nie mógł się ruszyć. Mężczyźni odeszli.

W kabinie, oprócz fotela, znajdował się tylko jeden przedmiot. Nigdy przedtem nie widział takiego urządzenia. Patrząc na nie, czuł porażający strach.

Maszyna, wysoka niemal jak człowiek, była zbudowana z metalu i plastyku. W górnej części za przezroczystą osłoną dostrzegł coś, co wyglądało jak kawałek miękkiej, szarej organicznej substancji zanurzonej w cieczy. Z wierzchołka maszyny sterczało kilka niedużych wybrzuszeń, przypominających wyglądem powierzchnię dolnej części grzyba. Gmatwanina włókien była tak drobno tkana, że niemal niewidoczna.

Jeden z wychodzących właśnie mężczyzn zatrzymał się i odwrócił.

–To nie jest żywe – pouczył Parsonsa. – To, co tam się unosi u góry, to wycinek mózgu szczura. Rozrasta się w tym środowisku, ale nie ma świadomości. To upraszcza budowę statków.

–Łatwiej wyciąć kawałek mózgu szczura, niż zbudować urządzenie sterownicze – dorzucił drugi, po czym obaj zniknęli z pola widzenia.

Kłapa zasunęła się, uszczelniając powłokę statku. Z maszyny naprzeciwko Parsonsa dobiegły jakieś szумы i trzaski, a potem rozległ się chłodny, wyraźny ludzki głos.

–Podróż do kolonii na Marsie potrwa około siedemdziesięciu pięciu minut. Zapewnia się odpowiednią temperaturę, lecz zaopatrzenie w żywność możliwe jest wyłącznie w wyjątkowych wypadkach.

Wypowiedziawszy swoją formułkę, maszyna wyłączyła się.

Statek zadrżał i zaczął się wznosić. Parsons zamknął oczy. Start odbywał się bardzo wolno, lecz potem nagle obiekt latający wystrzelił w przestrzeń z niesamowitą prędkością. W ścianie naprzeciwko widniał spory otwór przeznaczony do celów obserwacyjnych. Parsons ujrzał Ziemię, oddalającą się w zawrotnym tempie. Gwiazdy zawirowały, gdy statek zmienił kurs. Ładnie z ich strony, że pozwolili mi to oglądać, pomyślał w oszołomieniu.

Maszyna odezwała się znowu.

–Statek został skonstruowany w taki sposób, że każda próba manipulowania przy którejkolwiek jego części spowoduje detonację, która zniszczy pojazd i pasażera. Trajektoria lotu została zaprogramowana, a jakakolwiek próba zmiany programu automatycznym sterowaniem wywoła taką samą detonację.

Po przerwie informację powtórzono. Wirowanie gwiazd powoli ustawało. Tylko jeden świetlny punkt zaczął rosnać w oczach. Rozpoznał Marsa.

–Po twojej lewej ręce znajdziesz przycisk alarmowy – oznajmiła nagle maszyna. – Jeśli poczujesz jakieś zakłócenia wentylacji lub ogrzewania, przyciśnij go.

Przed innymi sytuacjami zapewne nie przewidzieli żadnych zabezpieczeń, pomyślał Parsons. Statek dostarczy mnie na Marsa, a gdybym chciał się wtrącić, eksploduje. W podróży musi zapewnić tlen i ciepło i na tym kończy się jego zadanie.

Wnętrze statku, podobnie jak zewnętrzna powłoka, było wyeksploatowane i zniszczone. Pewnie już wiele razy odbywał taką podróż, pomyślał Parsons. Przewiózł całkiem sporo ludzi z Ziemi do kolonii na Marsie i z powrotem. Wahadłowiec, odlatujący o dziwnych godzinach.

Mars był już blisko. Parsons zastanawiał się, ile czasu mogło upłynąć od startu. Wyliczył, że jakieś pół godziny. Dobra prędkość. Wręcz doskonała.

Nagle Mars zniknął.

Gwiazdy fiknęły koziołka. Poczował w sobie próżnię, jakby spadał. Gwiazdy wróciły na miejsce i uczucie próżni zniknęło niemal tak nagle, jak się pojawiło.

Ale za szybko nie widział już miejsca swojego przeznaczenia, tylko czarną pustkę i dalekie gwiazdy. Statek podróżował dalej, ale brakowało punktu odniesienia.

Maszyna naprzeciw niego ożyła. Nagrany ludzki głos powiedział:

–Minęła mniej więcej połowa podróży.

Coś poszło nie tak, uświadomił sobie Parsons. Ten statek

nie zmierza już w kierunku Marsa. Ale nie widać, żeby to niepokoiło jego automatycznego pilota.

Dlaczego nie widać Marsa? – zastanawiał się z przerażeniem.

Niewiele ponad pół godziny później maszyna zakomunikowała:

–Podchodzimy do lądowania. Przygotuj się na serię wstrząsów, gdy statek będzie się samoczynnie ustawiał.

Wokół statku nie było nic prócz pustki.

O to im chodziło, pomyślał Parsons. Stenog i jego ludzie nie mieli zamiaru wysłać mnie do żadnej "kolonii karnej". Ten prom kosmiczny ma wyrzucić mnie w przestrzeń, bym w niej zginął.

–Wylądowaliśmy – oznajmiła maszyna, lecz w chwilę później poprawiła się: – Podchodzimy do lądowania.

Potem parę razy mruknęła i choć w jej głosie brzmiała nadal pewność siebie, Parsons wyczuł, że nawet maszyna jest zbита z tropu. Może ta sytuacja nie była zamierzona? A przynajmniej przez konstruktorów statku,

Ona też nie wie, co ma robić, uświadomił sobie Parsons. Jest zakłopotana.

–To nie jest Mars – powiedział głośno, ale przypomniał sobie, że maszyna nie może go usłyszeć. To tylko automat, a nie żywa istota. – Jesteśmy w próżni – dokończył jednak.

–Zostaniesz teraz przekazany w ręce lokalnych władz – zakomunikowała maszyna. – Podróż skończona.

Wreszcie zamilkła. Jej wirujące wnętrze zamarło w bezruchu. Wykonała swoją robotę, albo przynajmniej tak jej się wydawało...

Kłapa wjazdu odsunęła się i Parsons spojrział w nicość. Wypełniająca kabinę statku powietrze zaczęło uchodzić z szumem przez otwór wejściowy. Nagle z fotela, do

którego był przypięty pasami, wyskoczyło coś na kształt hełmu i upadło mu na kolana. Jednocześnie maszyna ponownie ożyła.

–Stan alarmowy – ogłosiła. – Natychmiast włoż na siebie ekwipunek ochronny, który masz w zasięgu ręki. Nie zwlekaj!

Parsons zastosował się do polecenia. Ciasno zaciągnięte pasy bardzo mu utrudniały wkładanie hełmu, ale zanim resztką powietrza uszła z wnętrza statku, miał go na głowie. Urządzenie w hełmie natychmiast podjęło pracę. Pompowane przez nie powietrze było zimne i stęchłe.

Ściany statku rozjarzyły się na czerwono. Niewątpliwie urządzenia awaryjne starały się przywrócić wewnątrz utracone ciepło.

Drzwi statku pozostawały otwarte, jak później ocenił, przez jakieś piętnaście minut. Potem nagle zasunęły się z powrotem. W maszynie naprzeciw niego coś pstryknęło, a czuła tkanka zawirowała w swym płynnym środowisku, ale maszyna nie miała już nic do powiedzenia. Kurs powrotny bez pasażerów na pokładzie, domyślił się. Statek zadrżał i przez szczelinę iluminatora Parsons zobaczył błysk. Silniki odrzutowe podjęły pracę. Z przerażeniem stwierdził, że jeszcze raz przyjdzie mu przemierzyć przestrzeń kosmiczną. Od jednego punktu w pustce do drugiego. A potem? De jeszcze razy? Czy ta bezsensowna wahadłowa podróż będzie tak trwać i trwać?

Gwiazdy zmieniły swe położenie, gdy statek ustawił się do kursu powrotnego. W Parsonsa wstąpiła nadzieja. Może na końcu tej podróży odnajdzie tym razem Ziemię? Z powodu jakiegoś uszkodzenia mechanizmów statek nie zabrał go na Marsa, lecz dostarczył do jakiegoś przypadkowego, nie zaplanowanego celu. Aby naprawić błąd, musi znów znaleźć się w miejscu, z którego rozpoczął podróż.

Po upływie kolejnych siedemdziesięciu pięciu minut – tak mu się przynajmniej zdawało – statek znów zadrżał i wejście na pokład zostało jeszcze raz odblokowane. Parsons ponownie spojrzął w pustkę. O Boże, pomyślał, nie czuje nawet ruchu w sensie fizycznym, została tylko świadomość, że podróżuję między punktami oddalonymi o miliony mil...

Drzwi zasunęły się. Znowu, pomyślał. Koszmar. Upiorny

sen o ruchu. Gdybym zamknął oczy, nie wyglądał na zewnątrz i jeszcze potrafił wyłączyć umysł.

Chyba bym wtedy oszalał, stwierdził.

Jakież by to było proste... Uciec w obłąd, nie ruszając się z tego fotela... Zignorować wszelkie fakty...

Ale wiedział, że za kilka godzin poczuje głód. Usta już miał wyschnięte. No tak, prędzej umiera się z pragnienia niż z głodu. Dużo prędzej...

Maszyna zagadała spokojnym, tak dobrze mu już znanym głosem:

–Podróż do kolonii na Marsie potrwa około siedemdziesięciu pięciu minut. Zapewnia się odpowiednią temperaturę, lecz zaopatrzenie w żywność możliwe jest wyłącznie w wyjątkowych wypadkach.

Czyżby mój przypadek nie był wyjątkowy? – zdenerwował się Parsons. Czy chcą czekać, aż zacznę konać z pragnienia, a wtedy maszyna tryśnie na mnie wodą z kranów ukrytych gdzieś w ścianach statku?

Parsons spojrzał na unoszącą się w cieczy szarą, szczurzą tkankę.

–Jesteś martwa – powiedział do niej. – Nie cierpisz. Z niczego sobie nie zdajesz sprawy.

Przypomniawszy sobie o Stenogu. Nie mógł uwierzyć, że on to zaplanował. To jakiś okropny, nieszczęśliwy wypadek. Nikli nie mógł go przewidzieć. Ktoś skasował Marsa i Ziemię, pomyślał, ale zapomniał o mnie. Zabierz mnie ze sobą, chcę lecieć dalej i dalej...

Maszyna włączyła się,

–Statek został skonstruowany w taki sposób, że każda próba manipulowania przy którejkolwiek jego części spowoduje detonację – wyrecytowała.

Paradoksalnie poczuł nagle przyływ nadziei. Niech lepiej wszystko wyleci w powietrze, niż żeby miało trwać tak jak teraz. A nuż by go to uwolniło... Tak, to byłoby lepsze.

W szparze iluminatora widział tylko odległe gwiazdy. Nie było tam nic, co mogłoby dostrzec jego.

Gdy tak się w nie wpatrywał, jedna z nich oderwała się od pozostałych. Zaraz, zaraz, to nie była gwiazda... To był obiekt latający! Zbliży się, pomyślał Parsons. Ale chociaż nie odrywał od niego wzroku przez nieznośnie długi czas, obiekt pozornie nie zmienił swej wielkości. Ani nie urósł w oczach, ani nie zmałał. Parsons nie potrafił określić, co to takiego. Meteor? Kawałek kosmicznej zwietrzliny skalnej? Statek utrzymujący stały dystans...?

–Podchodzimy do lądowania. Przygotuj się na serię wstrząsów, gdy statek będzie się samoczynnie ustawiał – usłyszał głos maszyny.

Tym razem na zewnątrz coś jest, pomyślał Parsons. Nie Mars ani żadna inna planeta, ale... coś.

–Łądujemy – powiedziała maszyna i podobnie jak przedtem wydała z siebie szereg nieartykułowanych dźwięków. – Wylądowaliśmy – oznajmiła w końcu.

Właz otworzył się i... znowu pustka.

–Gdzie jest to, co widziałem? – zapytał szeptem Parsons. – Zniknęło?

Nie mógł nic zrobić, przypięty do fotela.

–Błagam... Nie odlatuj! – zaklinał.

W otworze włazu pojawił się nieprzezroczysty kształt, zasłaniając widok gwiazd.

–Na pomoc! – krzyknął Parsons. Jego głos zadudnił ogłuszająco we wnętrzu hełmu.

Nagle kształt przeistoczył się w człowieka w hełmie, który upodabniał go do olbrzymiej żaby. Przybysz bez chwili zastanowienia rzucił się w kierunku Parsonsa, a tuż za nim pojawił się jego towarzysz. Z dużą wprawą, najwidoczniej wiedząc dokładnie, co mają robić, obaj mężczyźni przystąpili do przecinania pasów krępujących Parsonsa. Wnętrze statku wypełniły snopy iskier z rozpalonego metalu. Po chwili był wolny.

–Szybko! – krzyknął jeden z mężczyzn, dotykając hełmem hełmu Parsonsa, by lepiej go było słychać. – Właz zamknie się za kilka minut!

–Coś poszło nie tak? – zapytał Parsons, niezdarnie usiłując wstać.

–Nic się nie stało – odparł człowiek, pomagając mu. Drugi z mężczyzn, trzymając w rękę coś, co Parsons uznał

za broń, rozglądał się czujnie po statku.

–Nie mogliśmy pój a w id się na Ziemi – powiedział pierwszy z mężczyzn, ruszając wraz z Parsonsem ku wyjściu. – Shupo na nas czekali. Są sprytni, więc cofnęliśmy ten statek w czasie.

Na jego twarzy Parsons dostrzegł uśmiech tryumfu. Zabrali się do pokonywania włazu. W odległości nie większej niż sto stóp, z otwartą klapą i zapalonymi światłami, wisiał w przestrzeni większy statek, podobny w kształcie do ołówka. Oba obiekty latające łączyła lina.

Towarzysz Parsonsowi mężczyzna obejrzał się za kolegą.

–Uważaj – ostrzegł Parsons. – Nie masz doświadczenia w przechodzeniu. Pamiętaj o braku grawitacji. Mógłbyś odlecieć w przestrzeń.

Przyczepił się do przewodu, kiwając na kolegę. Drugi mężczyzna postąpił krok w kierunku wjazdu. Nagle ze ściany statku wyłoniła się lufa broni. Jej wylot rozbłysnął pomarańczowym blaskiem i mężczyzna runął twarzą w dół. Towarzyszowi Parsonsa zaparło dech. Kiedy ich oczy spotkały się, Parsons dostrzegł na jego twarzy przerażenie, ale także zrozumienie sytuacji. Sięgnął po broń i wypalił wprost w ślepią ścianę, celując w miejsce, w którym pojawiła się lufa.

Odrzut oślepiającego wystrzału przewrócił Parsonsa na plecy. Hełm mężczyzny obok rozerwał się, a jego kawałki poleciały na głowę Parsonsa. Jednocześnie przeciwległa ściana statku pękła i rozprysła się we wszystkich kierunkach, tworząc szczelinę.

Oczom Parsonsa ukazał się zdemaskowany, ciężko ranny shupo. Karłowata postać poruszała się powoli, w niemal rytualnych konwulsjach. Po chwili shupo wybałuszył oczy i zmarł. Jego poranione ciało unosiło się bezwładnie w kabinie, wśród tysięcy odłamków, by wreszcie zatrzymać się pod

sufitem. Głowa shupo opadła, ramiona zwisały groteskowo. Krew z poranionej piersi utworzyła wydłużoną, błyszczącą, jasnoszkarłatną kroplę, która zastygła, nabrzmiała i w końcu rozprysnęła się, trafiając w nogę shupo.

W odrętwiałym mózgu Parsonsa zadźwięczały nagle słowa, które usłyszał tak niedawno: "Shupo czekali na nas. Są sprytni". Tak, pomyślał. Bardzo sprytni. Shupo przez cały czas tkwił na pokładzie, a przecież nie wydał żadnego dźwięku. Nie poruszył się. Czekał. Czy umarłby tu, w tej ścianie, gdyby nikt się nie pojawił?

Obaj mężczyźni leżeli martwi. Shupo zabił ich obu.

Niedaleko statku-więźniarki wciąż dryfował w przestrzeni statek-ołówek, uwięziony na licie. Jego światła rytmicznie błyskały. Parsons uświadomił sobie, że tamten statek jest teraz pusty. Przybyli tu po mnie, pomyślał, ale za wcześnie. Nie mogli uniknąć pułapki. Ciekaw jestem, kim byli... Czy kiedyś się tego dowiem?

Przyklęknął, żeby przyjrzeć się zwłokom mężczyzny leżącego bliżej niego. Nagle przypomniał sobie o włączaniu. Mógł się zamknąć w każdej chwili, a wtedy on zostałby tu uwięziony, podczas gdy statek kontynuowałby swą podróż. Pozostawiając zwłoki w kabinie, wyskoczył przez otwór wjazdu, chwytając się liny. Ten skok zaniósł go dalej, niż mógł przewidzieć. Obracał się przez moment w pustce, oddalając się od obu statków, patrząc, jak nikną mu w oczach. Uderzył w niego ostry oddech zimnego otoczenia. Czuł, jak przenika mu ciało. Szarpnął się, wyciągnął ręce, rozpostarł szeroko palce...

Stopniowo zaczął zbliżać się do statku, aż podłużna sylwetka wyrosła nagle tuż przed nim. Uderzył w kadłub i przylgnął do niego płasko. Gdy doszedł do siebie po mocnym zderzeniu z powłoką statku, zaczął cał po cał przesuwając się w kierunku otworu włazu.

Palce Parsonsa dotknęły w końcu liny. Kiedy zagłębił się we wnętrzu statku, poczuł przyjemne ciepło. Chłód zaczął ustępować. Na drugim końcu liny właz pojazdu, w którym przedtem był uwięziony, zasunął się.

Parsons przyklęknął i odnalazł początek liny. Jak mocno jest przywiązany? Silniki rakietowe tamtego statku już działały. Był gotów do drogi powrotnej. Lina naprężyła się, pociągnięta przez statek wracający na Ziemię.

Parsons wpadł w panikę. Czy ja chcę tam wracać, zapytał sam siebie, czy też powinienem odciąć linę?

Ale decyzja już nie należała do niego. Gdy rakiety zionęły pełnym ogniem, lina trzasnęła. Statek-więzienie wystrzelił przed siebie z niesamowitą szybkością. Miał w oczach, aż zniknął z pola widzenia.

Poleciał z powrotem na Ziemię, z trzema ciałami na pokładzie. A dokąd trafił on, Parsons?

Ręcznie zaniknął drzwi, co wymagało nie lada wysiłku. Gdy już tego dokonał, rozpoczął oględziny statku, na którym się znalazł. Statku, który miał go uratować, choć jego misja nie całkiem się powiodła.

Wokół siebie miał rozmaite wskaźniki i urządzenia sterownicze. Centralny panel wyświetlał jakieś dane.

Parsons usadowił się na jednym z siedzeń naprzeciw panelu. W popielniczce dostrzegł tłący się niedopałek papierosa. No tak, przecież zaledwie kilka minut temu dwaj ludzie wyszli stąd, aby przedostać się do statku, który był jego więzieniem. Teraz leżeli martwi, a on znalazł się na ich miejscu.

Czy jestem teraz w dużo lepszej sytuacji? – zastanowił się.

Panel sterowniczy zabuczał. Odczyt na tarczach instrumentów nieznacznie się zmienił.

Tamten mężczyzna powiedział Parsonsowi: "Comęliśmy statek w czasie". Jak daleko? Ale pojazd musiał się poruszać również w przestrzeni. W obu wymiarach.

Skoncentrował się na przyrządach. Co do czego służy? Zauważył, że tablica rozdzielcza jest podzielona na dwie półokrągłe części. Ktoś starał się do mnie dotrzeć, uświadomił sobie, i dlatego przeniósł mnie o setki lat w przyszłość. Z mojego społeczeństwa do tego tutaj. Zapewne miał w tym jakiś cel, ale czy będzie mi dane go poznać?

No cóż, stanąłem z nimi twarzą w twarz, choć tylko na moment. Dobry Boże... teraz jestem zagubiony w przestrzeni i w czasie, w obu wymiarach.

Przez szum panelu dosłyszał przerywane trzaski zakłóceń. Zauważył kratkę osłony głośnika. System łączności? Ale z kim? A może: z czym?

Wyciągnął rękę i na próbę pokręcił gałką. Żadnych dostrzegalnych zmian. Wcisnął przycisk umieszczony przy krawędzi tablicy rozdzielczej.

Raptem wszystkie odczyty zmieniły się.

Statek zadygotał. Parsons poczuł przytłumioną wibrację silników odrzutowych. Jesteśmy w ruchu, pomyślał. Wskazówki omiotły tarcze zegarów, liczniki zniknęły. Nie pokazywały już żadnych liczb. Zamigotało czerwone światelko i nagle wskaźniki zaczęły się wolno przesuwać.

Najwyraźniej włączył się jakiś mechanizm zabezpieczający.

W iluminatorze ponad urządzeniami sterowniczymi widać było gwiazdy. Nagle jeden z jasnych punktów zaczął się szybko powiększać. Parsons dostrzegł, że ma on

wyraźnie czerwony odcień. Czerwona Planeta? Mars?

Wziął głęboki, niezbyt równy oddech i znów zaczął eksperymentować przy urządzeniach sterowniczych.

Pod nim rozciągała się wyschnięta, czerwona równina. Nie rozpoznawał jej.

Daleko z prawej strony widać było góry. Ostrożnie spróbował ustawić dysze. Statek opadł gwałtownie, ale udało mu się wyrównać jego położenie. Zawisł nad spękany od słońca gruntem. Ujrzał ciągnące się bez końca bruzdy wyżłobione w wypalanej przez słońce glinie. Żadnego ruchu. Żadnych oznak życia.

Zrobił sporo błędów, ale udało mu się w końcu wylądować. Ostrożnie odrygłował klapę wjazdu wejściowego.

Owiął go drażniący nozdrza podmuch, który wdarł się do statku. Poczł zapach zerodowanej gliny. Rozrzedzone powietrze było dość ciepłe. Kiedy Parsons wyskoczył ze statku, stopy zatonęły mu w sypkim podłożu, aż stracił równowagę.

Po raz pierwszy w życiu stał na obcej planecie.

Przyglądając się niebu dostrzegł na horyzoncie nikłe obłoki. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście pośród nich zauważył

ptaka? Nie mógł tego potwierdzić, bo czarna plamka szybko zniknęła.

Otaczała go przerażająca cisza.

Zaczął iść. Zwietrzałe kamienie rozpadały się w pył pod jego stopami. Było kompletnie sucho, ani śladu wody. Schylił się i podniósł garść piasku. Był szorstki w dotyku.

Na prawo od siebie ujrzał stos usypany ze żwiru i głazów. W chłodnym cieniu wyrosły na nim szare liszaje, wyglądające jak wykwity kamieni. Wdrapał się na największy z głazów. W oddali zobaczył coś, co mogłoby być sztuczną konstrukcją – jakby szczątki masywnego szanca zagłębionego w pustynię. Ruszył w tamtym kierunku, przypomniał sobie jednak o statku. Lepiej było nie tracić go z oczu.

Idąc przed siebie, natknął się na jeszcze inną oznakę życia – na nadgarstku dostrzegł muchę. Pokręciła się i zniknęła. Pomyślał, że woli obecność nawet tego szkodliwego owada niż otaczającą go martwą pustkę. Nawet tak nikła forma życia dodawała otuchy w tym przerażającym otoczeniu.

Skoro jednak mogła tu się pojawić mucha, to musi też istnieć jakaś forma substancji organicznej. Możliwe, że w innej części planety istnieją jakieś osiedla,

kolonie karne... chyba że przybył tu na długo przed ich istnieniem, lub długo po nim. Skoro opanował sztukę sterowania statkiem...

Wtem coś zaiskrzyło w oddali.

Skierował się w tamtą stronę. Zbliżając się, rozróżnił kształt pionowej płyty. Tablica pamiątkowa? Zdyszany wdrapał się na pochyłość, zapadając się w sypkim piasku.

W słabym, czerwonym blasku słońca ujrzał przed sobą granitowy blok osadzony bezpośrednio w piasku. Pokrywająca go zielona patyna niemal całkowicie przysłaniała to, czego błysk zobaczył z daleka. Na środku kamiennego obelisku widniała metalowa płytka.

Dostrzegł na niej napis, niegdyś zapewne wyryty głęboko, lecz teraz niemal całkowicie zatarty. Przykucnął, usiłując go

odczytać. Większość liter była nie do odcyfrowania, lecz na samej górze, tam, gdzie były one większe i wyraźniejsze, odczytał słowo:

PARSONS

Jego własne nazwisko! Przypadek? Przyjrzał mu się z niedowierzaniem, ściągnął koszulę i zaczął nią wycierać nagromadzony piasek i brud. Przed swoim nazwiskiem odsłonił jeszcze jedno słowo:

JIM

Nie ulegało wątpliwości, że płytka, umieszczona na tym pustkowiu, była poświęcona jemu. Do głowy przyszła mu nagle dziwaczna, szalona myśl, że może stał się wielką postacią historyczną, znaną na wszystkich planetach. Legendarnym bohaterem, upamiętnionym pomnikiem. Jak bóstwo.

Gorączkowo zaczął wycierać koszulą mniejsze litery pod spodem. Kiedy mógł je już odczytać, przekonał się, że tabliczka nie jest poświęcona jemu, tylko do niego adresowana. Poczul się głupio. Przysiadł na piasku i oczyścił napis do końca.

Dowiedział się z niego, w jaki sposób sterować statkiem. Była to instrukcja obsługi.

Każde zdanie powtórzono, najwidoczniej w trosce o to, by napis łatwiej oparł się niszczycielskiemu działaniu czasu. Zastanowił się, kto mógł przewidzieć, że ten kamienny blok będzie tu stał przez setki, a może przez tysiące lat. Dopóki ja się nie zjawię, przyszło mu do głowy.

Cienie wśród dalekiego łańcucha gór wydłużyły się. Na niebie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Dzień dobiegał końca. Z powietrza wyparowało ciepło. Wzdrygnął się. Spojrzał do góry i dostrzegł jakiś kształt, przysłonięty lekką mgłą. Srebrzysty dysk żeglujący ponad chmurami. Patrzył na niego długo, czując mocne bicie serca. Księżyc przemierzający

niebo tego świata. O wiele bliższy niż ten, który znał. Mógł zresztą wydawać się większy dlatego, że Mars był o wiele mniejszy od Ziemi. Przysłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, uważnie przyglądał się tarczy księżyca, jego pooranej bruzdami powierzchni.

To był jego Księżyc. Luna. Nic w nim się nie zmieniło; płaszczyzna, którą tyle razy oglądał, pozostała ta sama. Nie był na Marsie. Był na Ziemi.

Wylądował na własnej planecie. Na starej, umierającej Ziemi, pozbawionej wody, dożywającej kresu. Konała zmęczona, jak przedtem Mars, na skutek suszy. Zostały tylko pustynne, czarne muchy i liszaje na kamieniach. I skały. Trwało to chyba bardzo długo, wystarczająco, by zniknęły niemal wszystkie pozostałości po ludzkiej cywilizacji z dawnych wieków. Została tylko ta płyta, wzniesiona przez podróżników poruszających się w czasie, jak on sam. Przez ludzi, którzy go poszukiwali, podążali

jego tropem, by ponownie nawiązać zerwany kontakt. Możliwe, że zostawili wiele takich wskazówek jak ta płyta.

Jego nazwisko. Ostatnie słowo, napisane, by uratować człowieka, gdy wszystko inne zginęło.

O zachodzie słońca wrócił na statek. Zanim wszedł do środka, zatrzymał się, by po raz ostatni spojrzeć za siebie. Zapadająca noc już prawie przykryła dolinę. Wyobraził sobie wyruszające na łowy zwierzęta, przelatujące nocne owady. W końcu zamknął właz i włączył światło. Kabinę zalała blada poświata, panel sterowniczy rozjarzył się na czerwono. Głośnik pod sufitem trzeszczał cicho, stwarzając przynajmniej pozory, że coś w nim działa.

Na progu kabiny ujrzał stworzenie, które wpełzło do wnętrza statku podczas jego nieobecności. Trudną do zniszczenia formę życia – stonogę.

Takie coś jest zdolne przeżyć wszystkie inne gatunki, pomyślał. Zginie na końcu. Obserwował, jak osobliwa stonoga

wpełza pod szafkę. Przyszło mu do głowy, że parę tych insektów na pewno pozostanie przy życiu, gdy płyta z jego nazwiskiem dawno obróci się w pył.

Usadowiwszy się za sterami, zajął się przyciskami opisanymi w instrukcji. Potem, według podanej kombinacji, wyper-forował taśmę i uruchomił zasilanie.

Tarcze wskaźników zmieniły wygląd.

Ustawił stery w kierunku, w którym spodziewał się znaleźć tych, co go poszukiwali. Siedział nieruchomo, czując ten sam dziwny dreszcz, gdy znikająca widoczna w iluminatorze nocna sceneria. Powrócił dzień, a w jego świetle stopniowo pojawiała się zieleń i błękit w miejsce krajobrazu o barwie spalonej czerwieni. Ziemia odżyła, pomyślał z radością. Pustynia znów stała się urodzajną glebą. Sceneria zmieniała się coraz szybciej, aż obrazy traciły ostrość. Umykały w tył tysiące lat, może nawet miliony. Ledwo mógł to opanować. Podczas prób sterowania statkiem przemierzył przecież te lata w drugą stronę, zapuszczając się w przyszłość na tyle, na ile starczyło możliwości statku.

Nagle zegary zamarły w bezruchu.

Wróciłem, pomyślał Parsons. Wyciągnął rękę i nacisnął odpowiedni przycisk na tablicy sterowniczej, wyłączając maszynię. Wstał i podszedł do włazu. Wahał się przez moment, wreszcie odblokował wyjście i pchnął klapę, otwierając ją szeroko. Ujrzał dwoje ludzi – mężczyznę i kobietki z wycelowaną w niego bronią. Uchwycił wzrokiem soczystą zieleń krajobrazu, drzewa, budowle, kwiaty. I złociste, gorące promienie słońca.

–Parsons? – zapytał mężczyzna.

–Tak – odrzekł.

–Witaj – odezwała się kobieta donośnym, gardłowym głosem.

Ale żadne nie opuściło broni.

–Wyjdź ze statku, doktorze – dodała. Zastosował się do jej polecenia.

–Znalazłeś sygnalizator – zapytał mężczyzna – z instrukcjami wysłanymi dla ciebie w przyszłość?

–Wyglądało na to, że był tam od dość dawna – powiedział Parsons.

Kobieta ominęła go i weszła do wnętrza statku. Sprawdziła odczyty liczników umieszczonych na panelu.

–Nawet bardzo długo – powiedziała. Odwróciła się do swojego towarzysza:

–Helmar, on przebył całą drogę.

–Miałeś szczęście, że statek był w dobrym stanie – rzekł mężczyzna.

–Długo jeszcze będziecie do mnie celować? – chciał wiedzieć Parsons.

Za plecami usłyszał głos kobiety, stojącej w drzwiach statku.

–Nie widzę shupo. Myślę, że wszystko w porządku. Zdążyła już schować broń. Mężczyzna uczynił to samo

i wyciągnął do Parsonsa rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

–Czy kobiety też to robią? – zapytała jego towarzyszka, również podając Parsonswi rękę. – Mam nadzieję, że nie jest to wbrew zwyczajom panującym w twojej epoce.

–Jakie wrażenie zrobiła na tobie odległa przyszłość? – zapytał mężczyzna nazywany przez kobietę Helmarem.

–Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobała – odrzekł Parsons.

–Jest strasznie przygnębiająca – zgodził się Helmar. – Ale pamiętaj, że bardzo długo potrwa, zanim ona nadejdzie i wszystko będzie się zmieniać stopniowo. Do tego czasu inne planety też już będą zamieszkałe.

Oboje przyglądali się Parsonsowi z wielkim wzruszeniem. On również czuł się głęboko poruszony.

–Napijesz się, doktorze? – zapytała kobieta.

–Nie, dziękuję – odrzekł.

Zobaczył pszczoły uwijające się wśród winorośli, a dalej rząd drzew cyprysowych. Gdy ruszył w ich kierunku, mężczyzna i kobieta podążyli za nim. Zatrzymał się w połowie drogi, oddychając pełną piersią. Powietrze było przesycone kwiatowym pyłkiem. Pełnią lata. Zapachem kwitnących roślin.

–Podróże w czasie trudno skoordynować – odezwała się

kobieta. – Przynajmniej nam... Staraliśmy się być punktualni, ale mieliśmy pecha. Przepraszam.

–Nie szkodzi – odparł Parsons.

Uważnie przyjrzał się tym dwojgu, jakby dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z ich obecności.

Kobieta była wyjątkowo urodziwa, nawet w porównaniu z innymi, które do tej pory widział w tym świecie pełnym młodych i jędrnych ciał. Była inna niż wszystkie. Jej skóra koloru miedzi lśniła w promieniach południowego słońca. Miała znajome płaskie kości policzkowe i ciemne oczy, ale inny, ostrzej zarysowany kształt nosa. Zdecydowane rysy twarzy zrobiły na nim szczególne wrażenie. W dodatku nie była już taka młoda. Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Miała piękne ciało, a kaskady czarnych włosów opadały na ramiona, sięgając aż do pasa.

Przód jej togi, uniesiony wysoko na stromych piersiach, przyozdabiał herb. Skomplikowany deseń wpleciony w kosztowną tkaninę przedstawiał głowę wilka, która wznosiła się i opadała w rytm jej oddechu.

–Ty jesteś Loris – powiedział Parsons.

–Zgadza się – odpowiedziała kobieta.

Zrozumiał, dlaczego to właśnie ona została Matką Przełożoną swojej społeczności. I dlaczego jej wkład w Sześcian Życia miał pierwszorzędne znaczenie. Poznał to po jej oczach, jej jędrnym ciele, po wysokim czole.

Stojący obok mężczyzna był do niej w ogólnych zarysach podobny. Miał taką samą miedzianą skórę, ostro zarysowany nos i gęste, czarne włosy. Lecz były też między nimi subtelne, choć wyraźne różnice. On jest zwykłym śmiertelnikiem, pomyślał

Parsons, ale i tak sprawia imponujące wrażenie. Dwoje pięknych, wspaniałych ludzi. Spoglądali na niego z sympatią i zrozumieniem, gotowi spełnić jego życzenia. Oboje mają dużą klasę, uznał Parsons. Ich ciemne oczy uderzały nieopisaną głębią, w której Parsons dostrzegł odbicie własnej duszy. Siła ich osobowości wzbudzała w nim chęć dorównania im, osiągnięcia równie wysokiego stopnia wtajemniczenia...

–Wejźmy do środka – zaproponował Helmar, wskazując szarą, kamienną budowlę.
– Tam jest chłodniej i będziemy mogli usiąść.

–I bardziej kameralnie – dodała Loris, ruszając ścieżką. Merdając wspaniałym ogonem, podszedł do nich owczarek

szkocki, unosząc swój wydłużony pysk. Helmar przystanął, by poklepać psa. Gdy wyszli zza budynku, Parsons ujrzał opadający tarasami, dobrze utrzymany ogród, pełen drzew i dziko rosnących krzewów.

–Jesteśmy tu w zupełnym odosobnieniu – zapewniła Loris. – To nasza Kwatera. Istnieje od trzech stuleci.

Na środku otwartego pola Parsons zobaczył drugi statek czasu, przy którym krzątało się kilku ludzi.

–Może cię to zainteresuje – odezwała się Loris, ruszając przodem. Parsons poszedł za nią.

Podeszli do statku. Loris wzięła od jednego z techników błyszczącą, gładką kulę wielkości grejpfruta. Kula sama uniosła się z jej rąk, ale pochwyciła ją natychmiast

–Wszystko gotowe do podróży – orzekła. – Jesteśmy w trakcie przenoszenia ich w przyszłość – wskazała statek, którego wnętrze wypełnione było takimi samymi kulami.

–Jestem pewien, że gdybyś nie zbliżył się do jednej z tych kul, sprawy nie ułożyłyby się najlepiej – powiedział Helmar.

Parsons wziął kulę z rąk Loris.

–Nie mam pojęcia, co to jest – wyznał, przyglądając się jej.

Helmar i Loris wymienili spojrzenia.

–To sygnalizatory – wyjaśniła Loris. – Jeden z nich nawiązał z tobą kontakt w odległej przyszłości.

–To może nadawać na odległość setek mil – dodał Helmar. – Za pomocą radia.

Oboje spojrzeli na Parsonsa.

–Nie dostałeś instrukcji przez głośnik na statku? Czy jedna z tych kul nie wytłumaczyła ci, jak masz sterować statkiem, by sprowadzić go z powrotem tutaj?

–Nic podobnego – zdziwił się Parsons. – Znalazłem granitowy monument z metalową płytką. To na niej wyryta była instrukcja.

Zamilkli wszyscy troje. W końcu Loris odezwała się cicho:

–Nic na ten temat nie wiemy. Nigdy nie zbudowaliśmy czegoś takiego. I to urządzenie dostarczyło ci instrukcji? – zapytała z niedowierzaniem.

–Nauczyło cię kierować naszym statkiem czasu? – zawtórował jej Helmar.

–Tak było – odrzekł Parsons. – Instrukcję zaadresowano do mnie osobiście. Było na niej moje nazwisko.

–Wysłaliśmy setki naszych sygnalizatorów – powiedział zdumiony Helmar. – Nie spotkałeś ani jednego?!

–Z całą pewnością – odparł Parsons.

Piękna para wyglądała teraz niepewnie. Parsons też się zastanawiał. Co się stało z kulami? A jeżeli nie oni ustawili płytę, to kto?

Dlaczego przenieśliście mnie w wasze czasy? – zainteresował się Parsons.

–Mamy problem natury medycznej – odrzekła Loris po chwili milczenia. – Próbowaliśmy go rozwiązać, ale nam się nie udało. A ściślej mówiąc, udało się tylko do pewnego stopnia. Nasza wiedza medyczna okazała się niewystarczająca, a nikt tutaj nie zna się na tym lepiej od nas.

–Jak dużo was jest?

–Tylko my oboje i garstka życzliwych nam osób – uśmiechnęła się Loris.

–Z waszego plemienia? Przytaknęła.

–Co pomyśli rząd o moim zniknięciu? Wiedzą przecież, że coś się stało ze statkiem, w którym byłem uwięziony.

–Rakieta po prostu przepadła – odrzekł Helmar. – Zwyczajna rzecz. Dlatego więźniów wysyła się bez eskorty. Podczas podróży między planetami trudno wszystko dokładnie zestroić, podobnie jak podczas podróży w czasie. Przypomina to pierwsze podróże między Europą a Nowym Światem. Niewielkie statki, wysyłane w nieznane...

–Ale mogą coś podejrzewać – przerwał Parsons.

–Podejrzewać to nie to samo, co wiedzieć na pewno – wtrąciła się Loris. – Nie uzyskają przez to żadnych informacji na nasz temat. Nawet nie potwierdzi to naszego istnienia, nie

mówiąc już o tym, kim jesteśmy i co zamierzamy. Co najwyżej wiedzą tyle co przedtem.

–Wiec jednak już was podejrzewają – zastanowił się Parsons.

–Rząd przypuszcza, że ktoś wykorzystuje wyniki eksperymentów z podróжами w czasie, których zaniechano. Nasze pierwsze próby były godne pożałowania. Zostawialiśmy różne ważne dokumenty w takich miejscach, że mogli je odnaleźć i przebadać. Od pewnego czasu są na tropie... – Jej dzikie, zniewalające oczy zabłyśły. – Ale nie odważą się mnie oskarżyć. Nie mogą tu zresztą wejść. To święta ziemia. Nasza ziemia. Nasza Kwatera. – Jej piersi falowały pod togą ze wzburzenia.

–Czy ten medyczny problem komplikuje się coraz bardziej? – zapytał Parsons.

–Nie – odrzekł Helmar. – Udało nam się doprowadzić do zatrzymania sprawy. – Jego

spokój kontrastował z namiętnościami targającymi Loris. – Pamiętaj, doktorze, że przejęliśmy kontrolę nad czasem. Dopóki jesteśmy ostrożni, nikt nas nie pokona. Mamy jedyną w swoim rodzaju przewagę.

–Jeszcze nigdy na przestrzeni dziejów grupa ludzi nie miała takiej broni jak my, ani naszych możliwości – wybuch-nęła Loris.

Całą trójką wspięli się po szerokich schodach i weszli do wnętrza Kwatery Wilków. Istotą każdego odkrycia naukowego jest przecież wykazanie, że dana rzecz jest w ogóle możliwa. Gdy się tego dokaże, pomyślał Parsons, połowa pracy jest za nami. Ci ludzie udowodnili rządowi, że zbudowanie wehikułu czasu jest możliwe. Rząd już teraz wie, że zaprzestanie eksperymentów było błędem. Nie wie tylko, jak udało się pomyślnie je zakończyć i komu. Ale ma wszelkie podstawy, by uważać, że podróże w czasie są możliwe. A już samo to jest niezwykle ważnym odkryciem.

Loris i Helmar kroczyli przed siebie z taką determinacją,

i w takim tempie, że Parsons ledwo zdążył rzucić okiem na długi, wyłożony ciemną boazerią hol.

Przez podwójne rozsuwane drzwi wprowadzono Parsonsa do luksusowego pokoju. Helmar posadził go w obitym skórą fotelu, po czym szerokim gestem postawił obok niego popielniczkę i paczkę papierosów Lucky Strike.

–Z twojego stulecia. Zgadza się? – zapytał.

–Owszem – odrzekł Parsons z wdzięcznością.

–Napijesz się piwa? – zaproponował Helmar. – Mamy kilka gatunków z twojej epoki. Wszystkie zimne.

–Wspaniale – ucieszył się Parsons. Zapalił papierosa i zaciągnął się z lubością.

Loris usiadła naprzeciw niego.

–Przenieśliśmy również gazety. I ubrania. I różne przedmioty. Niektórych z nich nie potrafimy zidentyfikować. Jak się zapewne domyślasz, wybór był dość przypadkowy. Statek czasu zabiera przeszło trzy tony ładunku. Często trafiały nam się zwykłe śmiecie, szczególnie we wcześniejszych okresach.

Wzięła do ręki papierosa.

–Udało ci się zorientować w naszym świecie? – zapytał Helmar, siadając i krzyżując nogi.

–Dostojnik rządowy, na którego się natknąłem... – zaczął Parsons.

–Stenog – powiedziała Loris z wyrazem niechęci na twarzy. – Znamy go. Formalnie stoi na czele Źródła, ale mamy powody, by uważać, że jest powiązany z shupo. Oczywiście zaprzecza temu.

–Zatrudniają dzieci, które inaczej zeszyłyby na drogę przestępstwa – powiedział Helmar. – Rząd wykorzystuje dla swoich celów ich umiejętności i uzdolnienia, a także chęć walki, żądę zabijania i okaleczania. Szkołą młodzież tak, by wpoić w nich pogardę dla śmierci. Co, jak się już zdążyłeś zorientować, jest cenioną postawą w naszym społeczeństwie.

W jego oczach Parsons dostrzegł wyraz głębokiego smutku.

–Musisz zdać sobie sprawę z tego – tłumaczyła Lo-ris – że to społeczeństwo długo się kształtowało. Taki sposób życia jest przyjęty od lat. To nie jest chwilowa nieprawidłowość w historii. Życie ludzkie w przekroju dziejów to tani towar. Nasz statek dał nam możliwość panoramicznego spojrzenia na historię. Poruszanie się w czasie tam i z powrotem zmienia punkt widzenia. Oboje, ja i Helmar, rozumiemy – przynajmniej teoretycznie – plemienne pojęcie nieuchronności życia. Oni nie dbają

o życie tak bardzo jak o śmierć. Ograniczają na przykład liczbę urodzin, by utrzymać populację na niezmiennym poziomie.

–Gdyby nie ograniczali liczby urodzin – zauważył Helmar – to dziś mogłyby istnieć duże kolonie na Marsie

i Wenus. Ale teraz, jak ci wiadomo, Mars wykorzystywany jest tylko jako więzienie. Wenus to baza surowcowa. W dodatku uszczuplana z każdym rokiem, dzięki rabunkowej eksploatacji.

–Tak jak Nowy Świat był ograbiany przez Hiszpanów, Francuzów i Anglików – dodała Loris.

Wskazała w górę i Parsons zobaczył na jednej ze ścian pokoju rząd dużych portretów oprawionych w ramy. Rozpoznał twarze z zamierzchłych czasów. Cortez, Pizarro, Drake, Cabrillo... Innych nie był w stanie zidentyfikować. Ale wszyscy nosili szesnastowieczne kryzy, wszyscy byli w swojej epoce szlachcicami i odkrywcami.

W pokoju nie było innych obrazów.

–Dlaczego interesują was szesnastowieczni odkrywcy? – zapytał.

–Dowiedz się tego we właściwym czasie – odpowiedziała Loris. – Chcę tylko stanowczo podkreślić, że pomimo symptomów choroby toczącej to społeczeństwo,

nie ma powodu, by sądzić, że zginie ono przez swoje niezrów-noważenie. Patrząc w przyszłość można się przekonać, że czeka je jeszcze kilka stuleci istnienia. Podzielamy twoją niechęć do takiego sposobu rozwoju, ale... – wzruszyła

ramionami. – My podchodzimy do tego ze stoicyzmem. Ty w końcu też wyrobisz w sobie takie podejście.

Rzym nie upadł w ciągu jednego dnia, pomyślał Parsons.

–A co z moim społeczeństwem? – zapytał.

–To zależy, co uznasz za jego prawdziwe wartości. Niektóre oczywiście przetrwały, może nawet na zawsze. Dominacja białych demokracji, Rosji, Europy i Ameryki Północnej, trwała jeszcze około stu lat po twojej epoce. Potem przewagę zdobyły Azja i Afryka. Tak zwane "kolorowe" rasy odzyskały należne im prawnie dziedzictwo.

–Potem, podczas wojen w dwudziestym trzecim wieku, wszystkie rasy wymieszały się, rozumiesz... Od tamtej pory mówienie o istnieniu rasy "białej" lub "kolorowej" straciło swój sens – dodał Helmar.

–Rozumiem – odrzekł Parsons. – Ale pojawienie się Sześcianu Życia, powstanie plemion...

–To oczywiście nie miało związku z jakąkolwiek rasą – wyjaśniła Loris. – Podział na plemiona jest całkowicie sztuczny, jak się zapewne domyślasz. Wywodzi się z dwudziestego trzeciego wieku, kiedy to wprowadzono pewną innowację – wielkie, ogólnoswiatowe współzawodnictwo na wzór igrzysk olimpijskich. Ale w tym wypadku zwycięzcy stawali się kandydatami na stanowiska państwowe. W tym czasie istniały jeszcze państwa i początkowo uczestnicy przyjeżdżali jako reprezentacje narodowe.

–Jednym z historycznych źródeł tego zwyczaju – dodał Helmar – były festiwale młodzieży komunistycznej. I oczywiście średniowieczne turnieje rycerskie.

–Ale tak naprawdę początek Sześcianu Życia i planowego manipulowania zygotami jest zupełnie niewiadomego pochodzenia – powiedziała Loris, wpatrując się intensywnie w Parsonsa. – Musisz zrozumieć, że przez stulecia wmawiano kolorowym rasom, iż są gorszym gatunkiem ludzi i nie potrafią kierować własnym losem. Stąd wzięła się nieodparta, głęboko zakorzeniona chęć udowodnienia, że jesteśmy lepsi.

że jesteśmy w stanie stworzyć społeczeństwo daleko bardziej cywilizowane niż jakiegokolwiek inne w przeszłości.

–Takie były nasze zamiary, ale w rezultacie zbudowaliśmy społeczność schyłkową, spędzającą czas na medytacjach

0 śmierci. Bez planów, bez kierunków rozwoju, bez pragnień. Nasz dokuczliwy kompleks niższości zdradził nas. Wyczerpaliśmy wszystkie siły na odzyskanie naszej dumy, na udowodnienie naszym odwiecznym wrogom, że byli w błędzie. Jak u Egipcjan, śmierć i życie splotły się razem tak mocno, że świat stał się cmentarzem, a ludzie niczym więcej jak tylko opiekunami szczątków. Sami są zresztą wewnątrz martwi. Roztrwonili swoje wielkie dziedzictwo.

I pomyśleć, kim mogliby... kim moglibyśmy się stać -dokończył Helmar. Na jego twarzy malowały się sprzeczne emocje.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Pierwszy przerwał milczenie Parsons.

–Na czym polega wasz medyczny problem? – spytał, aby zmienić temat. Miał ochotę przejść do konkretów.

–Odwróć fotel – poleciła Loris, przestawiając własny tak, by znaleźć się twarzą na wprost przeciwległej ściany. To samo uczynił Helmar. Parsons poszedł w ich ślady.

Loris wpatrywała się w ścianę, zaciskając pięści i oddychając szybko rozchyłonymi ustami.

–Przyjrzyj się temu – powiedziała i nacisnęła przycisk.

Ściana rozmazała się, rozbłysła i zniknęła. Parsons ujrzał przed sobą wnętrze innego pomieszczenia. Znajome wnętrze. Miejsce, w którym już był. To było Źródło!

Chociaż niezupełnie. Wszystko było tu zminiaturyzowane. Pomieszczenie, replika tego, co widział w Źródle, zawierało takie same urządzenia, przewody zasilające, windy towarowe. W samym jego końcu lśniła gładka powierzchnia sześcianu. Zmniejszonego sześcianu, mającego może dziesięć stóp wysokości i trzy stopy szerokości.

–Co to takiego? – zapytał.

Loris zawahała się.

–Zrób to – nakazał jej Helmar.

Loris znów dotknęła przycisku. Przednia ściana sześcianu zbladła. Widzieli teraz jego wnętrze, zaglądali w głąb.

Sześcian wypełniony był wirującą w nim cieczą. Zanurzony w niej, tkwił w pozycji pionowej mężczyzna. Trwał w bezruchu, z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia, z zamkniętymi oczami. Zaszokowany Parsons uświadomił sobie, że ten człowiek jest martwy. Martwy i w jakiś sposób zakonserwowany w sześcianie. Był wysoki,

potężnie zbudowany, a jego tors lśnił wspaniale kolorem miedzi. Najwyraźniej jego ciało nie ulegało zepsuciu w tej miniaturnej Sześcianu Życia, w zmniejszonej wersji wielkiego, rządowego sześcianu znajdującego się w Źródle.

Zamiast stu miliardów zygot i rozwiniętych embrionów, ten mały sześcian zawierał zakonserwowane ciało pojedynczego mężczyzny, dojrzałego osobnika w wieku około trzydziestu lat.

–To twój mąż? – Parsons bez zastanowienia zwrócił się do Loris.

–My nie mamy mężów – wyjaśniła Loris, wpatrując się w postać mężczyzny z wyraźnym wzruszeniem. Najwyraźniej poddała się gwałtownemu przyływowi uczucia.

–Łączyła was miłość? – nie rezygnował Parsons. – Był twoim kochankiem?

Loris wzdrygnęła się, po czym nagle wybuchnęła śmiechem.

–Nie... Nie kochankiem – odparła. Ciągle jeszcze trzęsła się ze śmiechu. Potarła dłonią czoło. – Choć oczywiście miewamy kochanków. Nawet niekoniecznie jednego. Aktywność seksualna nie ma nic wspólnego z rozmnażaniem.

Teraz dla odmiany wyglądała jak w transie. Ciche słowa płynęły powoli z jej ust.

–Podejdź bliżej, doktorze – odezwał się Helmar z głębi swojego fotela. – Zobaczysz, jak umarł.

Parsons wstał i podszedł do ściany. To, co początkowo

wydawało się małą plamką na lewej piersi mężczyzny, okazało się czymś zupełnie innym. Tuf w dosłownym znaczeniu, tkwiła przyczyna śmierci. To jest zupełnie nie z tego świata, pomyślał Parsons. Wpatrywał się ze zdziwieniem, chociaż nie miał żadnych wątpliwości.

Z piersi martwego mężczyzny wystawał koniec zaopatrzonej w pierzaste lotki strzały.

Na sygnał dany przez Loris do Parsonsa podszedł służący. Skłonił się sztywno, po czym postawił u jego stóp przedmiot, który Parsons od razu rozpoznał – poplamioną, pogiętą, ale jakże dobrze mu znaną metalową, szarą walizeczkę z instrumentami.

–Nie byliśmy w stanie dotrzeć do ciebie wcześniej – powiedział Helmar – ale udało nam się to zdobyć. Zabraliśmy z holu hotelowego, podczas zamieszania, jakie powstało, gdy władze zauważyły, że dziewczyna wraca do zdrowia.

Oboje z napięciem obserwowali, jak Parsons otwiera walizeczkę i przegląda jej zawartość.

–Zbadaliśmy te przyrządy – odezwała się z za jego pleców Loris – ale żaden z naszych techników nie potrafił ich użyć. Brak nam podstaw teoretycznych i niezbędnych umiejętności. Jeśli okaże się, że czegoś ci brakuje, możemy poszukać w rzeczach wygrzebanych przez nas z przeszłości. Z początku wydawało się nam, że jeśli będziemy mieć przybory lekarskie i lekarstwa, sami damy sobie radę.

–Od jak dawna ten człowiek przebywa w sześcianie? – zapytał Parsons.

–Nie żyje od trzydziestu pięciu lat – odrzekła Loris rzeczowo.

–Będę wiedział coś więcej dopiero po zbadaniu go. Czy można wyjąć go stamtąd?

–Można – odpowiedział Helmar. – Aczkolwiek nie na dłużej niż pół godziny za każdym razem.

–To powinno wystarczyć – zdecydował Parsons. Helmar i Loris zapytali niemal jednocześnie:

–Wiec podejmiesz się tego?

–Spróbuje.

Oboje odetchnęli z ulgą i już odprężeni spojrzeli na niego z uśmiechem. Wyczuwalne przedtem w pokoju napięcie opadło.

–Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcesz mi powiedzieć, jakie stosunki łączyły cię z tym mężczyzną? – zapytał Parsons, spoglądając Loris prosto w oczy.

–To mój ojciec – odpowiedziała po namyśle.

Nie wiedział, czy zrozumiała, jakie to dla niego istotne. Potem przyszło mu do głowy: skąd ona właściwie może mieć tę pewność?

–Wolałabym nie mówić nic więcej – powiedziała Loris. – Przynajmniej nie teraz. Może za jakiś czas...

Wyglądała na wyczerpaną.

–Jeżeli pozwolisz, służący zaprowadzi cię teraz do twojego apartamentu. Potem może moglibyśmy... – spojrzała na mężczyznę w sześcianie. – Może mógłbyś zacząć go badać?

–Chciałbym najpierw trochę odpocząć – zdecydował Parsons. – Po dobrze przespanej nocy byłbym w lepszej formie.

Wprawdzie nie mogli ukryć rozczarowania, lecz Loris natychmiast skinęła ze zrozumieniem głową.

–Oczywiście... – powiedziała. Po chwili, z ociąganiem, zgodził się także Helmar.

Zjawił się służący, by zaprowadzić Parsonsa do apartamentu. Wziął szarą walizeczkę i ruszył przed nim w górę po szerokich schodach. Obejrzał się tylko raz, bez słowa. W milczeniu doszli do apartamentu. Służący przytrzymał otwarte drzwi, aby Parsons mógł wejść do środka.

Co za luksus, pomyślał. Bez wątpienia był honorowym gościem Kwatery. Teraz już wiedział dlaczego.

Podczas kolacji Loris i Helmar wyjaśnili mu, że Kwatera jest oddalona o nieco ponad dwadzieścia mil od miasta, które Parsons jako pierwsze spotkał na swej drodze. Tam właśnie, w stolicy, ulokowano Sześcian Życia i Źródło. Tu zaś, w Kwaterze, mieszka Loris – Matka Przełożona wraz ze swym otoczeniem. Jak wielka, bogata królowa pszczoł w roj-nym ulu, pomyślał Parsons. Na terenie, nad którym rząd nie ma władzy. Na świętej ziemi.

Kwatera, jak posiadłość w dawnym imperium rzymskim, była samowystarczalna, niezależna gospodarczo i materialnie. Pod budynkami mieściły się ogromne generatory mocy, reaktory jądrowe mające po sto lat. Obejrzał z daleka podziemny pejzaż, na który składały się zespoły napędowe i terkoczące, kuliste mechanizmy, pokryte tu i ówdzie rdzą, lecz – sądząc po odgłosach, jakie wydawały – nadal działające. Gdy próbował zapaść się głębiej, został odprawiony i zmuszony do odwrotu przez umundurowanych, uzbrojonych strażników, młodych ludzi ze znajomymi emblematami Wilków na ubraniach.

Żywność wytwarzano sztucznie w podziemnych zbiornikach z chemikaliami. Odzież i sprzęty domowe produkowały z tworzyw sztucznych roboty, pracujące gdzieś na terenach należących do Kwatery. Materiały budowlane, towary przemysłowe i wszystko potrzebne do życia powstawało lub było remontowane w granicach

Kwatera. Był to jakby zamknięty świat, którego jądrem, podobnie jak miasta, był sześcian. Miniaturowa "dusza", którą Parsons miał się wkrótce zająć. Nie musiano mu mówić, jak starannie ukrywano jej istnienie. Zapewne bardzo niewielu ludzi wiedziało o sześcianie – drobna część wszystkich mieszkających i pracujących w Kwaterze. A ilu spośród nich rozumiało sens i znało cel jej istnienia? Może tylko Loris i Helmar?

Gdy siedzieli przy stole, popijając kawę i brandy, Parsons zapytał Helmara bez ogródek:

–Jesteś spokrewniony z Loris?

–Dlaczego pytasz?

–Jesteś do niej trochę podobny. A jeszcze bardziej do jej ojca.

Helmar przecząco potrząsnął głową.

–Nie ma żadnego pokrewieństwa – skwitował. Poprzednie podniecenie i entuzjazm krył teraz pod maską

uprzejmości, ale niezbyt dokładnie. Parsons wciąż je wyczuwał.

Wielu rzeczy nadal nie rozumiał. Jak na jego gust za wiele przed nim ukrywano. Jedno wiedział na pewno: Loris i Helmar od dłuższego czasu działają nielegalnie. Samo posiadanie miniaturowego sześcianu było prawdopodobnie najcięższym z przestępstw. Utrzymywanie ciała w nienaruszonym stanie, aby spróbować przywrócić je do życia, stanowiło część starannie opracowanego i trzymanego w tajemnicy planu, o którym ani rząd, ani inne plemiona nie miały pojęcia.

Parsons rozumiał pragnienie Loris, by znów ujrzeć ojca żywego. To było naturalne uczucie, powszechne w każdym społeczeństwie, w jego własnym również. Wiedział, że kobieta nie cofnie się przed niczym, byle tylko zrealizować swój cel. Z jej wpływami i władzą mogło się to rzeczywiście udać, wbrew zasadom, jakie wyznawało to społeczeństwo. Ojciec Loris był zakonserwowany w nienaruszonym stanie od czasu narodzin córki. Przywróceniu mu życia miał służyć sześcian wraz ze skomplikowanymi urządzeniami konserwującymi, ale także cała Kwatera. Skonstruowany tutaj statek do podróży w czasie bez wątpienia również był wykorzystywany do tego celu. Skoro zrobiono już tyle, cała reszta również mogła się udać.

Jedno w tym wszystkim było dziwne i pozornie pozbawione sensu. Przecież rozmnażanie w tym społeczeństwie odbywało się w sposób całkowicie sztuczny. Wszystkie zygoty rozwijały się w Źródle, gdzie je przechowywano.

–Czy ten człowiek, twój ojciec – zaczął Parsons, ostrożnie dobierając słowa – urodził się w Źródle?

Loris i Helmar spojrzeli na niego surowo.

–Nikt nie rodzi się poza Źródłem – powiedziała cicho Loris.

–A co łąka informacja ma wspólnego z zadaniem, które cię czeka? – zapytał Helmar z irytacją. – Mamy kompletne dane dotyczące jego kondycji fizycznej w chwili zgonu. Powinna cię obchodzić tylko jego śmierć, a nie narodziny.

–Kto zbudował sześcian? – drążył nie zrażony Parsons.

–Dlaczego pytasz? – głos Loris był ledwo dosłyszalny. Zerknęła na Hę I mara.

–Jego konstrukcja jest taka sama jak rządowego Źródła – wyjaśnił Helmar. – Nie trzeba było nadzwyczajnych umiejętności, żeby wykonać w małej skali to, co gdzie indziej działa w normalnym wymiarze.

–Ktoś musiał dostarczyć plany i podjąć się ich realizacji – nie ustępował Parsons. – Skoro tak bardzo ryzykował, to chyba cel był tego wart.

–Jedynym celem było przechowanie zwłok mojego ojca – zapewniła go Loris.

Parsons drgnął. Z wrażenia szybciej uderzyło mu serce.

–Więc sześcian został zbudowany dopiero po jego śmierci?

Nie otrzymał odpowiedzi. Wreszcie odezwała się Loris:

–Nie rozumiem, co to ma wspólnego z twoim zadaniem, jak powiedział Helmar...

–Czyli jestem tylko wynajętym pracownikiem? – zdenerwował się Parsons. – Dlatego nie mogę z wami rozmawiać jak równy z równym?

Helmar przeszył go wściekłym spojrzeniem, ale Loris wyglądała raczej na zakłopotaną.

–To nie o to chodzi – powiedziała pojednawczo. – Po prostu chcemy zminimalizować ryzyko. A tak naprawdę to nie powinno cię to obchodzić, doktorze. Mam rację? Kiedy zajmujesz się swoim rannym czy chorym pacjentem, to też wnikasz w jego przeszłość, wypytyujesz go, w co wierzy, jaką ma życiową filozofię, jakie cele?

–No nie – przyzna! Parsons.

–Zostaniesz wynagrodzony za swoją pracę – ciągnęła Loris. – Umieścimy cię w tej epoce, którą sobie wybierzesz.

Uśmiechnęła się do niego przez stół pogodnie i przepaszająco.

–Mam żonę, którą kocham – powiedział Parsons – i jedyną rzeczą, której pragnę, jest powrót do niej.

–Zgadza się – potwierdził Helmar. – Widzieliśmy ją, przeprowadzając rozpoznanie.

–Ale nie przeszkodziło wam to w sprowadzeniu mnie tutaj – powiedział z pretensją Parsons – bez mojej wiedzy i zgody. Rozumiem, że moje uczucia nic was nie obchodzą... – zawahał się przez moment. – Dla was nie jestem lepszy od niewolnika!

–Nieprawda – zaprzeczyła Loris. Parsons dostrzegł w jej oczach łzy. – Nie musisz nam pomagać – mówiła dalej. – Możesz wrócić w swoje czasy, jeśli chcesz. Wybór należy do ciebie.

Nagle wstała od stołu.

–Wybaczcie mi – powiedziała zduszonym głosem i wybiegła z pokoju.

–Powinieneś jej współczuć – odezwał się Helmar, sącząc ze stoickim spokojem kawę. – Jesteś jej jedyną szansą. Nigdy przedtem takiej nie miała. Zgódźmy się, że ja cię specjalnie nie obchodzę, ale nie o mnie tu chodzi. Jeżeli to zrobisz, to nie dla mnie, a dla niej.

Miał rację.

Ale Loris także zwlekała, nie udzielała mu szczerych odpowiedzi. Wyczuwał tu atmosferę tajemniczości. Każdy coś ukrywał. Dlaczego obawiali się wyjawić swoje sekrety, skoro ufali mu na tyle, aby pokazać mężczyznę w sześcianie i ujawnić jego pochodzenie? Co jeszcze mieli do ukrycia? Czy spodziewali się, że dowiedziawszy się o nich czegoś więcej, odmówi współpracy?

Zastanawiając się nad swymi podejrzeniami. Parsons w milczeniu popijał dobrą kawę. Brandy też była doskonała. Prawdziwy koniak, stwierdził.

Helmar też się nie odzywał. Wreszcie odstawił filiżankę i wstał.

–Jesteś gotów, doktorze? – zapytał. – Możesz przystąpić do pierwszego badania pacjenta?

Parsons również się podniósł.

–Tak – odparł. – Chodźmy.

Wszyscy troje przyglądali się z napięciem, jak automatyczne urządzenie przesuwające sześcian w ich kierunku. Wreszcie bryła zatrzymała się przed nimi.

Pomieszczenie tonęło w jaskrawym świetle. W jego blasku Parsons zobaczył, jak sześcian stopniowo przechyla się do tyłu i nieruchomieje w pozycji poziomej. W jego głębi unosiła się spokojnie bezwładna postać. Ciało dryfowało swobodnie z zamkniętymi oczami. Martwe bóstwo, zawieszane pomiędzy światłami, czekające na szansę powrotu. A wokół – jego wyznawcy...

Pokój był zatłoczony. Ci, którzy dotychczas kryli się w cieniu, teraz podeszli bliżej. Parsons nie zdawał sobie do tej pory sprawy, ilu jest wtajemniczonych. Stał nieruchomo, przyglądając się tej grupie, rzeczywistym władcom Kwatery, których widział po raz pierwszy. Czy było to jego subiektywne odczucie, czy też naprawdę byli do siebie podobni? Oczywiście wszyscy członkowie tego społeczeństwa mieli jakieś wspólne cechy: kształt czaszki, gatunek włosów. Wszyscy w tej sali byli ubrani identycznie – w szare togi z emblematem Plemienia Wilków na piersi.

Ale łączyło ich coś więcej: czerwony odcień skóry, grube brwi, wypukłe czoła, szerokie nozdrza. Wyglądali jak członkowie jednej rodziny.

Parsons naliczył czterdziestu mężczyzn i szesnaście kobiet,

potem stracił rachubę. Mruczełi coś do siebie, ustawiając się tak, by mieć lepszy widok. Chcieli śledzić każdy jego ruch.

Personel techniczny Kwatery otworzył sześcian. Plastikowe rury odprowadzające zaczęły łączyć odsysać środek konserwujący. Lada moment ciało zostanie odkryte.

–Powinno się usunąć tych ludzi – powiedział rozdrażniony Parsons. – Będę musiał otworzyć jego klatkę piersiową i podłączyć pompę. Istnieje ogromne niebezpieczeństwo infekcji.

Nikt się nie cofnął, chociaż doskonale słyszeli jego słowa.

–Uważają, że mają prawo tu być – oznajmił Helmar.

–Ale przecież sami przyznaliście, że nic nie wiecie o medycynie ani o higienie...

–Icarę opatrywałeś publicznie – przypomniał Helmar. – Twoja walizeczka zawiera rozmaite środki do sterylizacji. Zidentyfikowaliśmy je.

Parsons zaklął pod nosem i odwróciwszy się plecami do Helmara, wciągnął plastikowe rękawiczki ochronne. Potem zaczął układać swoje instrumenty na podręcznym przenośnym stoliku. Kiedy resztki pyłu zostały usunięte, Parsons uruchomił pole wysokiej częstotliwości i umieścił elektrody po obu stronach sześcianu. Końcówki zahuczały i rozżarzyły się, w miarę jak pole się rozgrzewało. Bezwładne ciało znalazło się teraz w strefie promieniowania niszczącego bakterie. Parsons napromieniował też krótko swoje instrumenty i rękawiczki. Obserwujący go mężczyźni i kobiety nie odzywali się ani słowem. Ich twarze zastygły w wyrazie skupienia.

Nagle lodowata powłoka zniknęła. Ciało było odsłonięte. Parsons przystąpił do oględzin. Nie zauważył śladów rozkładu. Zwłoki znajdowały się w doskonałym stanie. Ujął zimny, martwy przegub. Przeszył go lodowaty dreszcz, więc prędko puścił nadgarstek. To był obcy chłód przestrzeni pozaziemskiej. Wzdrygnął się i zaczął zastanawiać, jak ma przystąpić do pracy, skoro...

–Ogrzeje się bardzo szybko – usłyszał irytujący głos

Helmara. – Nie znasz tej formy zamrażania. Prędkość molekularna nie została zredukowana, zmieniono tylko fazy.

Ciało szybko ogrzało się na tyle, by można go było dotknąć. Bez względu na stopień zmian wzoru oscylacji, cząsteczki zaczęły odzyskiwać normalne tempo.

Parsons starannie podłączył mechaniczne płuco i uruchomił je. Podczas gdy urządzenie rytmicznie ugniatało nieruchomą klatkę piersiową, Parsons zajął się układem krążenia. Zrobił nakłucie między żebrami i omijając serce, włączył w system naczyniowy pompę Dixona. Pompa natychmiast podjęła pracę i krwiobieg ożył. Do ciała, które od trzydziestu pięciu lat było martwe, powróciło krążenie i oddychanie. Gdyby jeszcze okazało się, że mimo braku tlenu i odżywiania tkanka – szczególnie mózgowa – nie została zbyt uszkodzona...

Nie zauważył, kiedy Loris znalazła się tak blisko niego, że nagle poczuł napór jej ciała. Patrzyła na zwłoki, stojąc jak skamieniała.

–Zamiast wyjmować strzałę z serca, ominąłem je – wyjaśnił. – Przynajmniej na razie...

Powrócił do badania uszkodzonego organu. Strzała ugodziła go celnie. Prawdopodobnie nie da się już w żaden sposób przywrócić go do życia. Jednak za pomocą odpowiedniego narzędzia chirurgicznego wyszarpnął strzałę i odrzucił na podłogę. Z serca wysączyła się krew.

–Można je zeszyć – powiedział do Loris – ale i tak pod wielkim znakiem zapytania stoi sprawność mózgu. Jeśli uszkodzenie jest zbyt duże, proponowałbym, żeby

pozwolić mu umrzeć. Gdybyśmy pozwolili mu żyć w takim stanie, byłoby to okropne i dla niego, i dla nas.

–Rozumiem... – szepnęła smutno Loris.

–Moim zdaniem – zaczął Parsons, zwracając się do Loris i do wszystkich zgromadzonych w pokoju – nie powinniśmy zwlekać.

–Masz na myśli próbę wskrzeszenia go? – zapytała. Musiał ją podtrzymać. Zachwiała się nagle, a w jej oczach

ujrzał paniczny strach.

–Tak – odrzekł. – Mogę zaczynać?

–Załóżmy, że ci się nie uda... Co wtedy? – spojrzała na niego błagalnie, a z jej ust wydobył się tylko szept.

–Ten zabieg ma takie same szansę powodzenia teraz, jak i po jakimś czasie – powiedział otwarcie. – Ale im później, tym uszkodzenie tkanki mózgowej może być większe.

–A zatem zaczynaj – powiedziała mocniejszym już głosem.

–I nie zawieź nas – wtrącił stojący za ich plecami Helmar. Ale w jego głosie nie było groźby. Raczej fanatyczna wiara, że Parsonsowi po prostu nie może się nie powieść.

–Dzięki pracy pompy powinien powrócić do życia bardzo szybko – orzekł Parsons. Jeśli w ogóle powróci, pomyślał, badając za pomocą instrumentów tętno i oddech mężczyzny.

Ciało poruszyło się. Powieki leżącego drgnęły. Obserwującym zaparło dech. Na ich twarzach odmalowało się równocześnie zdumienie i radość.

–Na razie żyje tylko dzięki mechanicznej pompie – tłumaczył Parsons Loris. – Oczywiście jeśli wszystko dobrze pójdzie...

–...to w końcu zeszyjesz serce i spróbujesz odłączyć pompę – dokończyła Loris.

–Właśnie – potwierdził.

–Doktorze, czy mógłbyś zrobić to od razu? – zapytała nerwowo. – Istnieją okoliczności, o których nie wiesz... – ciągnęła. – Proszę, uwierz mi, że nie bez powodu nalegam na przeprowadzenie zabiegu na jego sercu teraz, o ile to tylko możliwe... – błagalnym gestem ujęła go za rękę. Poczuł, jak jej palce wpijają się w jego skórę. – Zrób to dla mnie. Jeśli nawet w ten sposób zwiększy się ryzyko, jestem

przekonana, że nie powinniśmy czekać. Mam ważne powody... – wpatrywała się w niego. – Błagam, doktorze Parsons.

Parsons znów zbadał tętno i oddech pacjenta.

–Będzie dochodził do siebie przez kilka tygodni – ostrzegł niechętnie. – Chyba to rozumiesz. Żadnych napięć, żadnego wysiłku. Dopóki tkanki...

–Więc zrobisz to! – ucieszyła się- Jej oczy błyszczały. Przygotował instrumenty i przystąpił do trudnej pracy, jaką było zszywanie rozerwanego serca.

Kiedy skończył, zorientował się, że w pokoju pozostała tylko Loris. Inni się wynieśli, zapewne na jej rozkaz. Siedziała cicho naprzeciw niego ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Wydawała się już bardziej opanowana, chód na jej stężałej twarzy wciąż malował się strach.

–Wszystko w porządku? – zapytała drżącym głosem.

–W porządku – zapewnił ją, składając instrumenty. Był wykończony.

–Doktorze... – zaczęła. Odetchnęła głęboko, wstała i zbliżyła się do Parsonsa. – Dokonałeś rzeczy o epokowym znaczeniu. Nie tylko dla nas. Dla świata.

Był zanadto zmęczony, by zwracać na nią zbyt dużą uwagę. Ściągnął rękawiczki.

–Przepraszam – powiedział – ale jestem zbyt wyczerpany, żeby teraz rozmawiać. Chciałbym pójść do siebie i położyć się.

–Czy będzie można cię wezwać, jeżeli coś okaże się nie w porządku?

Kiedy ruszył do wyjścia, Loris pobiegła za nim.

–Jak mamy go doglądać? Oczywiście nasz personel przez cały czas będzie w pogotowiu... Zdaję sobie sprawę z tego, że on jest jeszcze strasznie słaby i nieprędko nabierze sił...

Zastąpiła Parsonsa drogę.

–Kiedy odzyska przytomność?

–Prawdopodobnie za godzinę – odrzekł, odsuwając ją na bok i przekraczając próg.

Ta odpowiedź najwyraźniej ją usatysfakcjonowała. Skinąwszy głową w zamyśleniu, wróciła do pacjenta.

Parsons samotnie wszedł po schodach i myląc kilkakrotnie pokoje, dotarł w końcu

do swego apartamentu. Kiedy znalazł

się wewnątrz, zaryglował drzwi i runął na łóżko. Był zbyt zmęczony, żeby się rozbierać czy choćby wejść pod kołdrę.

Następną rzeczą, jaką sobie uświadomił, były powoli otwierające się drzwi. W progu stała Loris i przyglądała mu się. W pokoju panowały ciemności. Nie pamiętał, żeby kładąc się gasił światło. Usiadł niezdarnie.

–Pomyślałam, że może chciałbyś coś zjeść – powiedziała Loris. – Już po północy.

Zapaliła lampę i weszła, by zaciągnąć zasłony. Za nią wszedł służący z zastawioną tacą.

–Dzięki – rzekł Parsons, przecierając oczy.

Loris odprawiła służącego i zaczęła zdejmować pokrywki z półmisek. Parsons poczuł zapach gorących potraw.

–Co z twoim ojcem? – zapytał. – Żadnych zmian?

–Oprzytomniał na moment – odrzekła. – A przynajmniej otworzył oczy. Miałam niejasne wrażenie, jakby zdawał sobie sprawę, że jestem przy nim. Potem znów zasnął i śpi do tej pory.

–Będzie długo spał – powiedział Parsons i pomyślał, że może to być jednak oznaką uszkodzenia mózgu,

Loris ustawiła dwa krzesła i mały stolik; nie zaprotestowała, kiedy Parsons zaprosił ją do zajęcia miejsca.

–Dziękuję – powiedziała. – Dałeś z siebie wszystko. To, co mieliśmy okazję zobaczyć, wywarło na nas duże wrażenie. Praca lekarza i jego poświęcenie...

Uśmiechnęła się do niego. W przyćmionym świetle pokoju zobaczył jej pełne i wilgotne usta. Przez ten czas, kiedy jej nie widział, zdążyła się przebrać i zmienić uczesanie. Włosy miała teraz związane z tyłu i spięte klamrą.

–Jesteś bardzo dobrym człowiekiem – oświadczyła. – Szlachetnym i zasługującym na szacunek. Czujemy się zaszczyceni, że jesteś wśród nas.

Poczuł zażenowanie. Wzruszył tylko ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

–Przepraszam, jeśli wprowadziłam cię w zakłopotanie – dodała Loris.

Zaczęła jeść. Poszedł w jej ślady, ale po paru kęsach uświadomił sobie, że nie ma

apetytu. Przeprosił i wstał od stołu. Czuł dziwny niepokój. Podszedł do szklanych drzwi, otworzył je i znalazł się na werandzie, w chłodnym, nocnym powietrzu. Świecące ćmy trzepotały skrzydełkami za poręczą, wśród drzew i wilgotnych gałęzi. Z pobliskiego lasu dochodziły pomruki, trzask łamanych gałązek, piski wydawane przez drobną zwierzynę. Nocni rozbójnicy skradali się w ciemnościach.

–Koty – szepnęła Loris, stając obok niego. – Domowe koty.

–Żyją dziko? Odwróciła ku niemu twarz.

–Wiesz, doktorze... – zmieniła temat. – W ich rozumowaniu tkwi zasadniczy błąd.

–Kogo masz na myśli? Wykonała nieokreślony ruch ręką.

–Rząd. Cały system. Sześcian Życia. Spisy. Tę dziewczynę, Icarę. Tę, którą uratowałeś... – Mówiła teraz ostrzejszym tonem. – Odebrała sobie życie, bo została oszpecona. Wiedziała, że przez nią jej plemię będzie miało mniejsze szansę, gdy nadejdzie czas Spisów. Uważała, że wypadnie źle na testach z powodu swego wyglądu. Ale przecież takie rzeczy nie są dziedziczne! – W jej głosie pojawiła się gorycz. – Poświęciła się na darmo! Kto na tym zyskał? Co to dało? Była pewna, że robi to dla dobra plemienia, dla dobra rasy. Widziałam już dość śmierci.

Wiedział, że mówiąc to, ma na myśli swojego ojca.

–Loris – zaczął – skoro możecie wracać w przeszłość, dlaczego nie próbowaliście tego zmienić? Zapobiec jego śmierci?

–Nie wiesz tego co my – odrzekła. – Możliwości zmiany przeszłości są ograniczone. To bardzo trudne – westchnęła. – Myślisz, że nie próbowaliśmy? – podniosła głos. – Że nie wracaliśmy tam, wciąż usiłując nadać wypadkom inny bieg? Bezskutecznie...

–Przeszłość jest niezmienna? – zapytał.

–Nie do końca to rozgryźliśmy. Niektóre rzeczy można zmienić, ale tej akurat nie, chociaż to takie ważne. Istnieje jakaś potężna siła, jakaś moc, która nas zwodzi.

–Naprawdę go kochasz – zauważył przejęty jej wzruszeniem.

Skinęła lekko głową. Zauważył, że ociera ręką łzy. W ciemności widział niewyraźny zarys jej twarzy, drżących warg, długich rzęs i wielkie czarne oczy wilgotne od płaczu.

–Przepraszam – szepnął. – Nie chciałem...

–Nie szkodzi. Żyliśmy bardzo długo w wielkim napięciu. Sam rozumiesz... Nigdy nie

znałam go żywego i codziennie patrzyłam na niego uwięzionego tam, niedostępnego... Tak blisko, a tak daleko. Kiedy byłam dzieckiem, i potem, kiedy dorastałam, nie myślałam o niczym innym, tylko żeby wrócił. Żeby znów był przy mnie żywy.

Rozpostarła ramiona, jakby chciała coś odnaleźć, uchwycić – coś, czego nie mogła dotknąć.

–A teraz, kiedy go odzyskaliśmy... – ciągnęła, ale nagle urwała.

–Mów dalej – zachęcił ją Parsons.

Loris potrząsnęła przecząco głową i odwróciła się do niego. Dotknął jej czarnych, miękkich włosów, wilgotnych od nocnej rosy. Nie wzbraniała się, więc przyciągnął ją do siebie, miękko i uległo. Jej gorący oddech zamieniał się w chłodnym powietrzu w mgiełkę, otaczał go i mieszał się ze słodkim zapachem włosów. Czuł pulsowanie jej wyprężonego ciała, rozpalonego tłumionym uczuciem. Pierś Loris unosiła się i opadała, ciało drżało pod jedwabiem szaty.

Przesunął ręką po gładkim policzku, potem po szyi. Jej pełne wargi były tuż przy nim. Przymknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę, oddychając szybko.

–Loris... – odezwał się miękko. Potrząsnęła głową.

–Nie... Proszę, nie...

–Dlaczego mi nie ufasz? Czemu nie chcesz się zwierzyć? Co jest takiego, czego nie możesz...

Ze spazmatycznym jękiem wyrwała mu się i pobiegła ku drzwiom. W powietrzu powiewała jej powłóczysta szata. Przeszkodził jej w ucieczce – schwytał i mocno objął.

–Co się stało? – zapytał, usiłując zajrzeć jej w twarz, żeby rozszyfrować jej uczucia. Nie chciała na niego patrzeć.

–Słuchaj... – zaczęła.

Drzwi apartamentu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Helmar z dziwnym grymasem na twarzy.

–Loris – zawołał – ojciec... Ujrawszy Parsonsa, przynaglił go:

–Doktorze, chodźmy...

Pobiegli we troje korytarzem, potem po schodach i zdyszani wpadli do pokoju, w

którym leżał ojciec Loris. Czuwający przy nim personel zrobił im przejście. Parsons dostrzegł skomplikowany sprzęt, całkowicie nie znanego mu rodzaju, który właśnie rozstawiono.

Na łóżku leżał z rozchylonymi ustami ojciec Loris. Szkliste, niewidzące, martwe oczy utkwione były w suficie.

–Zamrażanie! – usłyszał za sobą głos Loris, gdy wyjmował swoje instrumenty.

Odsłonił okrywające ciało prześcieradło. W piersi mężczyzny tkwiły pierzaste lotki strzały.

–Znów – jęknął bezradnie Helmar. – Myśleliśmy... – z żalu i rozczarowania głos odmówił mu posłuszeństwa. – Zamroziecie go wreszcie?! – wrzasnął nieoczekiwanie.

Ludzie z personelu przepchnęli się między łóżkiem a Parsonssem, z wprawą podnieśli zwłoki i wsunęli je do pustego sześcianu. W otoczeniu substancji chłodzącej, którą zaraz wpuszczono do środka, wkrótce przestały być widoczne.

–Czyli mieliśmy rację – odezwała się ostro Loris. Wściekłość w jej głosie zdumiała Parsonsa. Odwrócił się

odruchowo i ujrzał na jej twarzy wyraz, jakiego jeszcze nie widział u żadnej kobiety. Wyraz czystej nienawiści.

–Dlaczego mówisz, że miałaś rację? – odważył się zapytać.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Żrenice zwęziły się jej w dwa małe gorejące punkty, błyszczące jakby w oderwaniu od twarzy, gdzieś w otaczającej ich przestrzeni. O mało go nie oślepiły.

–Ktoś działa przeciwko nam – powiedziała. – Już mają władzę nad czasem. Z radością psują nam szyki... – Roześmiała się gorzko. – Drwią sobie z nas.

Nagle odwróciła się, furkocząc długą szatą, i zniknęła za plecami personelu.

Parsons cofnął się. Zobaczył jeszcze, jak nasuwa się na swoje miejsce pokrywa Sześcianu Życia. Jeszcze raz zamknięta w nim postać pogrążyła się w wiecznym spoczynku – martwa i cicha, niedostępna dla żywych.

To nie twoja wina – mruknął stojący obok Helmar. Obaj obserwowali, jak sześcian przybiera pozycję pionową. – Mamy wrogów – ciągnął. – To się zdarzało już przedtem, gdy wracaliśmy w przeszłość, by spróbować odtworzyć tamtą sytuację. Myśleliśmy, że to siła natury, fenomen czasu. Teraz wiemy więcej, potwierdziły się nasze najgorsze obawy. To nie jest działanie jakiejś bezosobowej siły.

–Może i nie – odrzekł Parsons. – Ale nie doszukujcie się motywu tam, gdzie go nie ma.

Podejrzewał, że cierpią na lekką paranoję.

–Mówiła mi Loris – ciągnął – że nikt z was nie panuje do końca nad prawidłami rządzącymi czasem. Czy nie jest możliwe, żeby...

–Nie – odparł kategorycznie Helmar. – Jestem pewien. Wszyscy jesteście pewni, – Chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy nagle zamilkł, jakby nieoczekiwanie kogoś ujrzał.

Parsons odwrócił się. Chciał kontynuować rozmowę, ale odebrało mu mowę.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się ją zobaczyć.

Weszła cicho, najwyraźniej przed chwilą. Po obu jej stronach stali uzbrojeni strażnicy. Wśród obecnych w pokoju zapanowało poruszenie.

Była stara. Pierwsza stara istota, którą Parsons zobaczył w tym świecie.

–Znów jest martwy – oznajmiła Loris, podchodząc do przybyłej. – Jeszcze raz udało im się go zniszczyć.

Stara kobieta zbliżyła się bez słowa do sześcianu, do martwego mężczyzny, który w nim spoczywał. Mimo wieku była uderzająco przystojna. Wysoka i majestatyczna, z grzywą białych włosów opadających na kark. I znowu... te same grube brwi, wypukłe czoło, ostro zarysowany nos i podbródek. Mocna, surowa twarz.

Taka sama jak twarze innych. Ta stara kobieta, mężczyzna w sześcianie, wszyscy inni w Kwaterze byli do siebie zadziwiająco podobni.

Majestatyczna niewiasta zatrzymała się przy krawędzi sześcianu i przyglądała mu się w milczeniu.

Loris ujęła ją za ramię.

–Mamo... – powiedziała.

Otóż to. Stara kobieta była matką Loris. Żoną mężczyzny zamkniętego w sześcianie.

To by się zgadzało. Przebywał tam od trzydziestu pięciu lat, a kobieta miała przypuszczalnie około siedemdziesiątki. Jego żona! Ta para spłodziła tę silną, piękną istotę, która rządziła Plemieniem Wilków. Tę postać największą ze współczesnych.

–Mamo – odezwała się Loris – spróbujemy jeszcze raz. Obiecuję.

Stara kobieta zauważyła Parsonsa i na jej twarzy natychmiast odmalowała się niechęć.

–Kim jesteś? – zapytała głębokim, dźwięcznym głosem.

–To ten lekarz, który próbował ożywić Coritha – wyjaśniła Loris.

Stara kobieta patrzyła na Parsonsa bez sympatii, ale stopniowo jej rysy zaczęły łagodnieć.

–To nie twoja wina – powiedziała w końcu. Wyraźnie nie miała ochoty odchodzić od sześcianu. Wreszcie dodała: – Później spróbujesz jeszcze raz...

Rzuciła ostatnie spojrzenie na Parsonsa, a potem na mężczyznę w sześcianie i w towarzystwie eskorty odeszła z powrotem w kierunku windy, która ją tu przywiozła, wynurzając się jak gdyby z warstw plastra miodu, ukrytych pod powierzchnią podłogi. Z tajemniczych rejonów, których Parsons nigdy dotąd nie widział i zapewne nigdy nie miał zobaczyć. Ze strzeżonego, sekretnego jądra Kwatery.

Kobiety i mężczyźni zamarli w milczeniu, gdy przechodziła obok. Głowy pochylały się lekko, oddając cześć, pozdrawiając ją, matkę Loris. Królewska postać siwowłosej, starej kobiety kroczyła powoli i spokojnie przez pokój, oddalając się od sześcianu z twarzą ściągniętą bólem, zastygłą w smutku. Matka Matki Przełożonej...

Matka ich wszystkich!

Zatrzymała się przy windzie i odwróciła ku swoim poddanym. A potem wykonała ręką słaby gest, jakby przeznaczony dla nich wszystkich. Na dowód, że uznaje ich za swoje dzieci.

Teraz wszystko było jasne. Helmar, Loris i cała reszta, licząca około siedemdziesięciu osób, wszyscy byli potomstwem tej starej damy i mężczyzny, tkwiącego w sześcianie. Tylko jedna rzecz wciąż nie pasowała.

Mężczyzna w sześcianie i ta stara kobieta... Jeśli rzeczywiście byli mężem i żoną...

–Cieszę się, że ją zobaczyłeś – usłyszał nagle obok głos Loris.

–Ja też – odrzekł.

–Widziałeś, jak to przyjęła? Była dla nas oparciem, gdy ponieśliśmy tę stratę. Wzorem do naśladowania.

Wyglądało na to, że Loris odzyskała już równowagę.

–To dobrze... – mruknął Parsons. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Stara kobieta i mężczyzna w sześcianie! Corith, jak go nazwała Loris. Corith -jej ojciec. To miało sens. Wszystko miało sens, oprócz jednego. I nad tym niełatwo było przejść do porządku dziennego...

Oboje, Corith i ta stara kobieta, jego żona, byli do siebie niezmiernie podobni.

–O co chodzi? – zapytała czujnie Loris. – Coś się stało? Parsons otrząsnął się z zamyślenia.

–Nie daje mi spokoju ponowna śmierć twojego ojca – odrzekł. – I tot że nastąpiła w ten sam sposób.

–Jak zwykle – odrzekła Loris. – Zawsze to się odbywało w ten sposób. Strzała przeszywająca serce, powodująca natychmiastowy zgon.

–Nigdy nie było żadnych różnic?

–Żadnych istotnych.

–Kiedy to się stało? – zapytał Parsons, ale Loris jakby nie zrozumiała jego pytania. – Strzała – wyjaśnił. – Chodzi mi o strzałę. Teraz nie używa się takiej broni, prawda? Wyciągam stąd wnioski, że musiało się to wydarzyć w przeszłości.

–Zgadza się – przyznała, kiwając potakująco głową. – Nasze prace podczas podróży w czasie, nasze odkrycia...

–Zatem już wtedy musieliście dysponować urządzeniem do podróży w czasie – powiedział. – Przed jego śmiercią.

Przytaknęła.

–Co najmniej trzydzieści pięć lat temu – podsumował Parsons. – Przed twoimi narodzinami.

–Zajmujemy się tym od dawna.

Dlaczego? – pomyślał Parsons. Do czego dążycie?

–Na czym polega wasz plan? – chciał ją przyprzeć do muru tym pytaniem. – Powiedz mi. Jeśli oczekujecie, że wam pomogę...

–Wcale tego nie oczekujemy – odparła cierpko. – Nic nie możesz dla nas zrobić. Odeślemy cię z powrotem. Nie będziesz się już musiał starać. Nie masz tu nic więcej do roboty!

Odeszła z pochyloną głową, zatopiona w rozmyślaniach o nieszczęściu, które się im przydarzyło.

Całej rodzinie, pomyślał Parsons, patrząc, jak przedziera się przez tłum zebranych. Bracia i siostry... Ale to wciąż nie wyjaśniało podobieństwa Coritha do jego żony. Ta sprawa wymagała wyjaśnienia na innym etapie, gdzieś w przeszłości.

I nagle dostrzegł coś, co go sparaliżowało. Tym razem był jedynym, który to zauważył. Inni byli zbyt pochłonięci własnymi problemami. Nawet Loris...

To był ten brakujący element. Klucz do rozwiązania zagadki.

Stała w cieniu w najodleglejszym kącie pokoju. Nie rzucała się w oczy. Przybyła razem z inną starą kobietą, matką Loris, ale nie wyszła z ciemności. Pozostała nie zauważona, obserwując ze swej kryjówki wszystko, co się działo.

Była nieprawdopodobnie stara. Małe, zasuszone stworzenie. Pomarszczona i zgarbiona, z rękami jak szpony i patykowatymi nogami, wystającymi spod skraju ciemnej togi. Miała drobną, wyschniętą, ptasią twarz ze skórą jak pergamin, wygasłe oczy, osadzone głęboko w poźółkłej czaszce i kępkę siwych włosów, wyglądających jak pajęczyna.

–Jest kompletnie głucha – szepnął Parsonsowi stojący obok Helmar. – I prawie zupełnie ślepa.

Parsons drgnął. Kim jest ta staruszka?

–Ma prawie sto lat. Ona była pierwsza. Najwcześniej -głos Helmara załamał się ze wzruszenia. Drżał na całym ciele pod wpływem fali głębokich uczuć, która nim zawładnęła. – Nixina, matka ich obojga. Matka Coritha i Jepthe. To Urmutter. Pramatka.

–Corith i Jepthe to brat i siostra? – zdumiał się Parsons. Helmar przytaknął.

–Wszyscy jesteśmy spokrewnieni – odrzekł.

Z wrażenia Parsonsowi zakręciło się w głowie. Podtrzymywanie rodu we własnym zakresie! Tylko dlaczego? I jak? W tym społeczeństwie?

W jaki sposób można tego dokonać w świecie, w którym cała ludzka rasa została wrzucona do jednego worka? Jak podtrzymywano tę, wspaniałą, rasową dynastię? Jak się uchowała? Trzy pokolenia. Babka, rodzice i dzieci.

Helmar powiedział: "Ona była pierwsza". Mała, zasuszona istota była pierwszą... Kim pierwszym?

Wątpiąca sylwetka postąpiła krok do przodu. Z jej oczu opadła

przysłaniająca je mgiełka. Parsons dostrzegł, że patrzy właśnie na niego. Ściśnięte wargi zadrżały, a wreszcie wydobył się z nich ledwo słyszalny głos.

–Czyżbym dostrzegła tu białego człowieka?

Krok za krokiem, jakby popychana lekkim podmuchem niewidzialnego wiatru, zbliżała się do niego. Helmar natychmiast pośpieszył jej z pomocą.

–Witaj – powiedziała staruszka, wyciągając do Parsonsa rękę.

Ujął ją. Była sucha, zimna i szorstka.

–Ty jesteś... – ciągnęła kobieta. – Jak to się mówi? Na moment ożywienie zniknęło z jej wzroku, ale po chwili

powróciło.

–Jesteś doktorem, który próbował przywrócić mojego syna do życia. – Zamilkła na chwilę, oddychając nieregularnie, a potem dodała chrapliwym szeptem: – Dziękuję ci, że się starałeś.

Niepewny, co odpowiedzieć, Parsons rzeki tylko:

–Przykro mi, że się nie udało.

–Może... – głos staruszki odpływał i przyplýwał jak fale na dalekim morzu -... następnym razem.

Uśmiechnęła się leciutko. A potem, tak jak poprzednio, wróciła jej nagle jasność umysłu.

–Czy to nie ironia losu – zaczęła – że jest w to zaangażowany biały człowiek? A może nie powiedzieli ci, co zamierzamy?

W pokoju zaległa cisza. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na Parsonsa i sędziwą kobietę. Nikt się nie odezwał. Nikt nie śmiał jej powstrzymać. Parsons, pod wpływem atmosfery głębokiej czci, jaką otaczano wiekową matronę, również poczuł dla niej szacunek.

–Nie – wyznał. – Nikt mi nie powiedział.

–Powinieneś się tego dowiedzieć – orzekła Nixina. – I to nie od pierwszego lepszego. Sama ci to powiem. Mój syn, Corith, jest autorem tego pomysłu. Przyszedł mu on do głowy przed wieloma laty, gdy był jeszcze młody, jak ty. Był bardzo

inteligentny, i taki ambitny. Chciał, żeby wszystko było jak należy. Chciał wymazać z historii Pięć Strasznych Stuleci...

Parsons znał ten termin. Okres supremacji białych. Skinął głową.

Stara kobieta wzięła głęboki oddech.

–Widziałeś portrety? – zapytała, patrząc w przestrzeń za Parsonsem. – Te, które wiszą w głównym holu? Wielcy ludzie z krezami pod szyją... Szlachetni odkrywcy... – zachichotała. Jej zduszony śmiech brzmiał sucho, jak odgłos szelestu liści niesionych wiatrem o zmroku. – Corith chciał cofnąć się w przeszłość. A rząd wiedział, jak to zrobić, tylko nie zdawał sobie sprawy z tego, że wie.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie próbował jej powstrzymać. Nie do pomyslenia było, by ktoś się na to odważył.

–No wiec mój syn cofnął się w przeszłość – mówiła dalej Nixina. – Do pierwszej Nowej Anglii. Nie do tej sławnej. Do innej. Do prawdziwej, która leży w Kalifornii. Nikt nie pamięta... Ale Corith przeczytał wszystkie archiwa, stare kroniki... – znów zachichotała. – Chciał zacząć tam, w Nowym Albionie. Ale nie posunął się zbyt daleko.

Przygasłe oczy nagle rozbłysły. Jak u Loris, pomyślał Parsons. Przez moment uchwycił to podobieństwo, to dziedzictwo. Nachylił się, żeby lepiej słyszeć ten szept, jakby tylko częściowo adresowany do niego, bardziej rozpamiętujący stare dzieje niż przekazujący mu opowieść.

–Siedemnastego czerwca – ciągnęła – 1579 roku Drake wpłynął do portu, by naprawić okręt. Zagarnął ziemię dla Królowej. Z jakim skutkiem, wszyscy wiemy – zwróciła się do Helmara.

–Tak – przyznał cicho Helmar.

–Był tam ponad miesiąc – powiedziała stara kobieta. – Wyciągnęli okręt na brzeg i

oskrobywali kil.

–"Złocista Łania" – powiedział Parsons. Dopiero teraz zrozumiał.

–A Corith zszedł na dół... – szepnęła staruszka, uśmiechając się do niego. – Żeby ich zabić. Ate to oni zastrzelili jego. Dostał strzałą w serce i zginał.

Jej oczy przygasły.

–Lepiej niech odpocznie – postanowił Helmar. Delikatnie odprowadził staruszkę na bok. Otoczyły ją postacie odziane w szare stroje i oddaliła się w ich towarzystwie, znikając Parsonsowi z oczu.

To był ten ich wielki plan. Zmienić przeszłość, cofając się o stulecia aż do okresu, kiedy jeszcze nie istniały imperia białych. Znaleźć Drake'a, obozującego w Kalifornii, bezradnego, bo jego okręt był w naprawie. I zabić go. Zabić pierwszego Anglika, który zagarnął część Nowego Świata dla Anglii.

Anglików darzyli szczególną nienawiścią. Spośród wszystkich potęg kolonialnych Brytyjczycy byli najbardziej prze-świadczeni o wyższości swej rasy nad Indianami, najbardziej wyczuleni na punkcie jej czystości.

Chcieli być na brzegu, pomyślał Parsons, by stawić Anglikom czoło. Poczekać na nich i zabić wszystkich, używając takiej samej broni, jaką mieli tamci, albo nawet lepszej. Chcieli, żeby to była czysta walka, ale nie spodziewali się takiego wyniku.

Czy można ich za to winić? Wrócili po kilku wiekach, jako inna kategoria ludzi, owszem. Odzyskali władzę nad swym losem. Ale pamięć nie umarła. Chcieli zemsty. Chcieli pomścić zbrodnie z przeszłości.

To Drake, lub ktoś z jego czasów, strzelił pierwszy.

Parsons samodzielnie odnalazł drogę do głównego holu, w którym wisiały portrety szesnastowiecznych odkrywców. Dłuższy czas wpatrywał się w nie. Jeden po drugim, pomyślał. Drake byłby pierwszy, a potem... Cortez? Pizarro? I tak dalej, po kolei. Łądując na brzegu ze swoimi oddziałami odzianymi w zbroje, zostaliby starci z powierzchni ziemi. Wszyscy zdobywcy, łupieżcy i piraci. Przygotowani na spotkanie

z bierną, bezradną ludnością, stanęliby oko w oko z wyrachowanymi, cywilizowanymi potomkami tej społeczności. Gotowymi do walki, nieustępliwymi i przygotowanymi na ich przybycie.

Sprawiedliwości dziejowej stałoby się zadość. Co prawda w brutalny, okrutny sposób, ale Parsons nie mógł się powstrzymać, by w duchu nie przyznać im racji.

Powrócił do portretu Drake'a i zaczął mu się dokładniej przyglądać. Spiczasta, starannie przystrzyżona bródka. Wysokie czoło. Zmarszczki w zewnętrznych kącikach oczu. Subtelnie rzeźbiony nos. Uwagę Parsonsa przykuła dłoń Anglika. Wąskie, długie palce wyglądały niemal jak kobiece. Czy tak powinna wyglądać dłoń zeglarsza? Raczej szlachcica, arystokraty. Portret był z pewnością wyidealizowany.

Przechodząc dalej, Parsons zwrócił uwagę na inny obraz. Był to sztych przedstawiający Drake'a, tym razem z kręconymi włosami. Na tym portrecie oczy miał większe i nieco innego koloru, a policzki mięsiste. Portret był mniej doskonały, chociaż może bardziej wierny oryginałowi. Lecz i tutaj Drake miał małe, delikatne, wręcz słabe dłonie. Ręce kapitana okrętu?

W postaci z portretu było coś uderzająco znajomego. Rysy twarzy, kręcone włosy, oczy...

Długo i uważnie studiował portret, lecz nie potrafił określić, dlaczego wydawał mu się znajomy. W końcu, zrezygnowany, dał temu spokój.

Ruszył na poszukiwania Helmara. Znalazł go naradzającego się z kilkoma braćmi. Na widok Parsonsa Helmar zamilkł.

–Chciałbym coś zobaczyć – powiedział Parsons.

–Proszę bardzo – odrzekł sztywno Helmar.

–Strzałę, którą wyciągnąłem z piersi Coritha.

–Została zabrana na dół – wyjaśnił Helmar. – Ale jeśli uważasz, że to ważne, mogę kazać przynieść ją tutaj.

–Dzięki – odrzekł Parsons. – Czy poddaliście ją dokładnym oględzinom? – zapytał, gdy dwaj służący udali się po strzałę.

–Po co? – zdziwił się Helmar..

Parsons nie odpowiedział. Czekał z napięciem, aż wreszcie wręczono mu przezroczystą torbę, w której spoczywała strzałę. Niecierpliwie otworzył opakowanie.

–Czy mogę dostać moją walizeczkę z instrumentami? – poprosił.

Dwaj służący dostarczyli mu niebawem zniszczoną, szarą walizeczkę. Otworzył ją, wyciągnął rozmaite przyrządy i zaczął pobierać mikroskopijne wycinki drewna, piórek i krzemienego grotu strzały. Wykorzystując posiadane środki chemiczne, przygotował pierwszy test, potem następny. Helmar obserwował pilnie jego czynności; wkrótce pojawiła się również Loris, najwyraźniej wezwana.

–Czego szukasz? – zapytała. Ciągłe jeszcze była spięta.

–Chciałbym poddać analizie ten krzemień – odrzekł Parsons – ale nie mam takich możliwości.

–Przypuszczam, że znajdzie się u nas odpowiedni sprzęt – odezwał się Helmar. – Ale na wyniki trzeba będzie poczekać.

Wyniki były gotowe po godzinie. Parsons przeczytał raport laboratoryjny, po czym wręczył go Loris i Helmarowi.

–Piórka są sztuczne – oznajmił. – Z termoplastu. Drewno to cis. Grot wykonano z krzemienia, ale do jego obróbki użyto metalowego narzędzia, czegoś w rodzaju dłuta.

Oboje popatrzyli na niego w osłupieniu.

–Ale przecież widzieliśmy, jak zginął – zaprotestowała Loris. – W przeszłości, w roku 1579. W Nowej Anglii.

–Wiecie, kto go zastrzelił? – zapytał Parsons.

–Tego nie zauważyliśmy. Zbiegał z urwiska, a potem upadł.

–Ta strzała – rzekł Parsons – nie została wykonana przez Indian z Nowego Świata w szesnastym wieku. W ogóle przez nikogo z tamtego stulecia. Biorąc pod uwagę tworzywo, z jakiego zrobione są piórka, musiała powstać po roku 1930. Corith nie został zamordowany przez nikogo z przeszłości.

Jim Parsons i Loris stali na balkonie Kwatery w ciemności wieczoru i wpatrywali się w odległe światła miasta, bezustannie zmieniające swój układ na tle czystego, nocnego nieba. Przeróżne wzory błyszcząły i migotały w oddali wszystkimi kolorami. Jak gwiazdy stworzone ludzką ręką, pomyślał Parsons.

–Gdzieś w tamtym mieście – odezwała się Loris – wśród tamtych światel jest ktoś, kto przygotował strzałę i wystrzelił ją w pierś mojego ojca. Tak samo jak tę drugą, która wciąż tkwi w jego ciele.

A ktokolwiek to jest, pomyślał Parsons, posiada maszynę do przenoszenia się w czasie. Chyba że... ci ludzie wodzą mnie za nos. Skąd mam wiedzieć, czy Corith naprawdę zginął w Nowej Anglii w 1579? Mógł zostać zastrzelony tutaj, a cała historia to stek kłamstw wymyślonych przez tych ludzi. Ale czy wówczas zadawaliby sobie trud, by sprowadzać lekarza z przeszłości? Tylko po to, by ożywił człowieka, którego sami zamordowali?

–Skoro dwukrotnie wracaliście w przeszłość od czasu pierwszej śmierci Coritha, to dlaczego nie widzieliście, kto go zaatakował? – zapytał Parsons. – Strzały nie mają dużego zasięgu.

–To skalista okolica – odrzekła. – Wzdłuż całej plaży ciągnie się urwisko. A mój ojciec... – zawahała się – trzymał się na uboczu. Stronił nawet od nas. Byliśmy dokładnie nad

"Złocistą Łanią" i obserwowaliśmy Drake'a i jego ludzi przy pracy.

–Nie widzieli was?

–Mieliśmy na sobie okrycia ze skór. Stroje z tamtej epoki. A oni krzżeli się całkowicie pochłonięci pracą na swoim okręcie.

–Dlaczego strzała – zastanawiał się Parsons – a nie kula z muszkietu?

–Nigdy nie potrafiliśmy tego wyjaśnić – odrzekła Loris. – Ale Drake'a nie było na okręcie. Zniknął wraz z grupką swoich ludzi. To utrudniało mojemu ojcu zadanie. Musiał czekać. I nagle Drake pojawił się w oddali, na plaży. Odbywał chyba naradę ze swoimi ludźmi. Mój ojciec zbiegł wtedy na dół i straciliśmy go z pola widzenia.

–Jakiej broni chciał użyć Corith, żeby zabić Drake'a?

–Tuby bojowej. Pokażę ci...

Loris poszła do swojego pokoju i po chwili wróciła na balkon, niosąc broń, którą Parsons już znał. Taką posługiwali się szupci, coś takiego miał również Stenog. Najwidoczniej była to standardowa broń ręczna tej epoki.

–A co pomyślałaby załoga Drake'a? Oni przecież wiedzieli, jaką broń mają Indianie.

–Im bardziej byłoby to tajemnicze, tym lepiej – odrzekła Loris. – Zależało nam tylko, żeby dostać Drake'a. I żeby tamci wiedzieli, że zginął z ręki czerwonoskórego człowieka.

–A skąd by się dowiedzieli?

–Mój ojciec postarał się o to, żeby wyglądać jak Indianin. Miesiącami pracował nad swoim przebraniem. Przynajmniej tak mi mówiły matka i babka, mnie, oczywiście, nie było wtedy jeszcze na świecie. Ojciec miał w podziemiach swój warsztat, zaopatrzony we wszystkie potrzebne narzędzia i materiały. Trzymał swe przygotowania w sekrecie nawet przed swoją matką i żoną. Przed każdym zresztą. Ale rzeczywiście... – przypominając sobie coś, Loris zmarszczyła brwi z zakłopotaniem – nigdy nie włożył na siebie takiego kostiumu, dopóki nie znalazł się z powrotem w tamtych czasach, w Nowej Anglii. Dopiero kiedy opuścił statek czasu i oddalił się... Twierdził, że to zbyt niebezpieczne, by nawet rodzina oglądała go w tym stroju, zanim nadejdzie właściwa pora.

–Dlaczego? – spytał Parsons.

–Nikommu nie ufał, nawet Nixinie. Tak mówią. Czy to cię nie dziwi? Chyba powinien być uwierzyć swojej matce. Ale...

Loris przerwała. Na jej twarzy znów pojawił się wyraz zażenowania.

–W każdym razie pracował w warsztacie sam, nikomu nic nie mówiąc – podjęła po chwili wątek. – Podobno wściekał się, gdy ktoś próbował go wypytywać. Jephthe twierdzi, że kilkakrotnie oskarżał ją o próbę szpiegowania. Był pewien, że ktoś śledzi go przy pracy i próbuje uzyskać dostęp do warsztatu w jakichś złych zamiarach. Więc oczywiście zamykał go na klucz. Zamykał się też od środka, gdy pracował. Uważał, że prawie wszyscy są przeciwko niemu. A szczególnie służba. Dlatego nie miał żadnego służącego.

Facet musiał być paranoikiem, pomyślał Parsons. Ale to pasowało do tej wielkiej idei, głębokiego poczucia krzywdy i nienawiści. Jak łatwo idealistom o władniętemu jakąś pasją stać się ofiarą zaburzeń umysłowych...

–Tak czy inaczej, w końcu i tak miał zamiar się ujawnić – ciągnęła Loris. – Chciał, żeby wszyscy go widzieli, kiedy będzie zabijał Drake'a – po to, by załoga okrętu mogła po powrocie zameldować królowej, że czerwonoskórzy mają broń

przewyższającą poziomem technicznym uzbrojenie Anglików.

Dla Parsonsa była to pokrętna logika. Ale co to miało za znaczenie? Tych ludzi nie obchodziły szczegóły. Byli zapatrzeni w swój wielki plan. To się liczyło, a nie idiotyzmy w rodzaju użycia ręcznej broni pochodzącej z dwudziestego piątego wieku w szesnastym stuleciu. A Anglicy z pewnością byliby pod wrażeniem.

–Dlaczego nie możecie realizować swojego planu bez Coritha? – zapytał.

–Znasz tylko pierwszą część naszego programu – odrzekła Loris.

–A jaka jest ta druga?

–Naprawdę chcesz wiedzieć? Po co?

–Powiedz mi, proszę. Loris westchnęła i zadrżała.

–Wejźmy do środka – poprosiła. – Ta ciemność mnie przygnębia.

Opuścili balkon i znaleźli się w apartamencie Loris. Parsons był tu po raz pierwszy. Zatrzymał się w progu. Przez nie domknięte drzwi garderoby dostrzegł niewyraźne rzędy damskich strojów. Togi, suknie, pantofle...

W drugim końcu pokoju stało szerokie łóżko przykryte atlasową narzutą. Zastłony miały soczysty kolor czerwonego wina, a podłogę pokrywał gruby, wielobarwny dywan. Parsons od razu poznał, że został on wyszabrowany z przeszłości Bliskiego Wschodu. Ktoś z dobrym skutkiem wykorzystał zalety statku czasu, meblując ten apartament w doskonałym guście.

Loris usadowiła się w klubowym fotelu. Parsons stanął za jej plecami.

–Opowiedz mi o tej części planu, której nie znam – powiedział, kładąc dłonie na jej gorących, gładkich ramionach. – O twoim ojcu.

Loris pozostała odwrócona tyłem.

–Wiesz, że wszyscy mężczyźni poddawani są sterylizacji – przypomniała mu, ruchem głowy odrzucając na bok grzywę czarnych włosów. – Domyślasz się również, że Corith nie został wysterylizowany, bo inaczej nie byłoby mnie na świecie, prawda?

–Zgadza się – odrzekł Parsons.

–Dziesiątki lat temu moja babka Nixina była Matką Przełożoną. Udało jej się uchronić Coritha przed sterylizacją, co było prawie niewykonalne, bo ten obowiązek jest bardzo surowo egzekwowany. Ale ona tego dokonała i Corith został

umieszczony w rejestrach jako wysterylizowany.

Parsons czuł, jak Loris drży pod jego dłońmi.

–Kobiety, jak ci wiadomo, nie są sterylizowane, więc zapłodnienie przez Coritha mojej matki Jepthe nie przedstawiało żadnego problemu. Do ich zbliżenia doszło w tajemnicy tutaj w Kwaterze. Potem zygota, w zamrożonym opakowaniu, trafiła do wielkiego głównego Źródła i została umieszczona w Sześcianie Życia. W tym czasie Matką Przełożoną była już Jepthe, więc sam rozumiesz, że udało jej się oddzielić zygotę od innych i czuwać nad nią, aż rozwinęła się i przeistoczyła w embrión. Słowem, przeprowadziła ją przez całą drogę rozwoju, aż do narodzin dziecka.

–I tak samo zrobiono z resztą twojej rodziny?

–Tak. Z moim bratem Helmarem i z innymi. Ale... – Loris wstała z fotela i oddaliła się. – Widzisz... Udało im się wysterylizować wszystkich mężczyzn oprócz Coritha. Tylko on jeden tego uniknął.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

–Zatem dalszy przyrost naturalny w waszej rodzinie zależy od Coritha – odgadł Parsons.

Loris przytaknęła.

–Ciebie też to dotyczy, gdybyś zamierzała podtrzymać ród?

–Owszem – potwierdziła. – Ale to teraz nieważne.

–A dlaczego zawsze było ważne? Czego zamierzaliście dokonać całą waszą rodziną?

Uniosła dumnie głowę i spojrzała na niego wyniośle, podchodząc bliżej.

–Nie jesteśmy tacy jak inni, doktorze – powiedziała. – Nixina uważa się za czystej krwi Indiankę z plemienia Irokezów. Praktycznie jesteśmy czysti rasowo. Nie dostrzegasz tego? – dotknęła dłonią swego policzka. – Spójrz na moją twarz, na moją skórę. Nie uważasz, że to może być prawdą?

–Niewykluczone – odrzekł Parsons – choć udowodnienie tego byłoby prawie niemożliwe. Takie niekonkretne stwierdzenie... Brzmi to raczej mistycznie.

–A ja wolę w to wierzyć – wyznała Loris. – Przynajmniej jeśli chodzi o charakter. Jesteśmy ich duchowymi spadkobiercami, łączą nas wieży krwi w pełnym tego słowa znaczeniu. Nawet jeśli to jest tylko mitem.

Parsons wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Powiódł palcami po mocno zarysowanej linii podbródka. Nie cofnęła się i nie zaprotestowała.

–Zdradzę ci nasz plan – powiedziała tak blisko niego, że poczuł na ustach jej oddech. – Zamierzaliśmy zajad tereny należące do twoich przodków, doktorze. Niestety, nie udało się. Ale gdyby nam się powiodło, gdybyśmy zdołali zgładzić białych awanturników i piratów, którzy przybyli do Nowego Świata i zdobyli tu przyczółki, założylibyśmy naszą własną rasp. Sami! Co ty na to?

Na jej ustach pojawił się sarkastyczny uśmiech.

–Mówisz poważnie? – zapytał Parsons.

–Oczywiście.

–Bylibyście zatem awangardą cywilizacji. Zamiast elż-bietariskiej szlachty, hiszpańskiego ziemiaństwa i holenderskich kupców.

–I nie byłoby panów i niewolników – stwierdziła ze śmiertelną powagą Loris. – Supremacji jednej rasy nad inną. Istniałaby naturalna zależność: przyszłość wytyczająca drogę przeszłości.

Tak, pomyślał Parsons. To byłoby bardziej ludzkie. Nie istniałyby plemiona skazane na zagładę ani obozy koncentracyjne nazywane eufemistycznie "rezerwatami". Szkoda. Nagle poczuł prawdziwy żal.

–Przykro ci – odgadła, wpatrując się w niego. – A przecież jesteś biały. Jakież to niezwykle... – wydawała się zbita z tropu, – Nie utożsamiasz się z tamtymi zdobywcami, prawda? A jednak to oni zbudowali twoją cywilizację. Wydobyliśmy cię z ostatniego okresu takiego właśnie świata.

–Nie brałem również udziału w paleniu czarownic – odrzekł Parsons. – Nie utożsamiam się z wieloma podobnymi niegodziwościami. Uważasz, że wszyscy biali są tacy sami?

–Nie – odparła, ale ton jej głosu stał się chłodniejszy. Przychylność gdzieś się ulotniła. Nagle wysliznęła się z jego rąk i odeszła, odwracając się do niego plecami.

Podszedł bliżej, przyciągnął ją, odwrócił twarzą do siebie i pocałował. Wpatrywała się w niego swymi wielkimi, ciemnymi oczami, ale nie próbowała się wyrwać.

–Miałeś nam za złe – zaczęła, kiedy ją puścił – że porwaliśmy cię od twojej żony.

W jej głosie było słycać wrogość. Parsons nie miał nic na swoją obronę, więc milczał.

–Cóż – powiedziała Loris – tak czy inaczej to nie ma sensu. Wrócisz tam. Obojętne, masz żonę czy nie.

–Bo jesteś pełnej krwi Indianką, a ja białym – dodał ironicznie.

–Słuchaj no, doktorze – powiedziała cicho – nie obrażaj mnie. Nie jestem jakąś fanatyczką. My tobą nie pogardzamy.

–Dostrzegacie we mnie człowieka?

–Och... Na pewno krwawisz, kiedy się skaleczysz... – roześmiała się, ale bez ironii. Parsons też się uśmiechnął.

Nagle oplotła go ramionami i przyciągnęła do siebie ze zdumiewającą siłą.

–Więc, doktorze...? – zapytała. – Chcesz zostać moim kochankiem? Zdecyduj się.

–Pamiętaj, że nie jestem wysterylizowany – odrzekł, uwięziony w jej uścisku.

–To dla mnie żaden problem. Jestem Matką Przełożoną. Mam dostęp do każdej części Źródła. Mamy określony sposób postępowania. Jeśli zajdę w ciążę, mogę wprowadzić moją zygotę do Sześcianu Życia i... – machnęła z rezygnacją ręką – chlup! Przepadnie na zawsze w masie ludzkiej rasy.

–A zatem... dobrze. Oderwała się od niego gwałtownie.

–A kto powiedział, że możesz zostać moim kochankiem?! Pozwoliłam ci na to? Po prostu byłam ciekawa, czy chcesz tego.

Odsunęła się. Jej piękna twarz poweselała.

–Zresztą nieważne – powiedziała. – Przecież i lak nie chciałbyś mieć1 tłustej squaw za kochankę.

Wziął ją w ramiona.

–A kto powiedział, że bym nie chciał?

Gdy potem leżeli razem w ciemności, Loris szepnęła:

–Czy jest jeszcze coś, czego pragniesz? Parsons zapalił papierosa.

–Owszem – odrzekł po namyśle. Przysunęła się i przytuliła do niego.

–Co to takiego?

–Chciałbym cofnąć się w czasie i zobaczyć jego śmierć.

–Śmierć mojego ojca? W Nowej Anglii?

Usiadła i odgarnęła z twarzy długie, rozpuszczone włosy.

–Chciałbym się tam znaleźć – powiedział spokojnie. W ciemności czuł na sobie jej spojrzenie. Słyszał jej

nieregularny oddech. W końcu gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

–Nie zamierzaliśmy tam wracać – mruknęła. Zsunęła się z łóżka bosą, żeby poszukać w mroku swojej

szaty. Na tle słabego światła sączącego się przez okno widział, jak zapina togę i przewiązuje ją szarfą.

–Spróbujmy – zaproponował Parsons.

Loris nie odpowiedziała, ale on podświadomie wiedział, że spróbują.

Nad ranem, gdy przez zasłony zaczął przenikać do wnętrza apartamentu pierwszy brzask, Parsons i Loris siedzieli naprzeciw siebie przy małym stoliku ze szklanym blatem, na którym stał metalowy dzbanek z kawą, porcelanowe filiżanki na spodeczkach i przepelniona popielniczka.

Mimo zmęczenia Loris wciąż była pełna siły i życia.

–Wiesz... twoja gotowość i pragnienie dokonania tego

każą mi się zastanowić nad całym naszym planem – powiedziała, wypuszczając z ust smużkę dymu i gasząc papierosa. Potarła szyję. – Zastanawiam się, czy mamy prawo... Choć może już trochę za późno, by się nad tym zastanawiać, co?

–To jest paradoksalne – odrzekł.

–Tak – przyznała. – Możemy wytępić białych tylko wtedy, gdy namówimy białego, by nam pomógł. Ale poznaliśmy się na tobie, gdy tylko zaczęliśmy cię śledzić.

–Ale wtedy mieliście tylko zamiar wykorzystać mój talent. A teraz...

No właśnie, zastanowił się. Co teraz? Teraz po prostu mnie potrzebują – mnie jako jednostkę, nie jako lekarza. Chodzi im o człowieka, nie o jego umiejętności. Wiedzą, że mam świadomość tego, co chcę zrobić, i w pełni zdaję sobie sprawę z ewentualnych skutków.

Sam dokonałem wyboru.

–Pozwól, że cię o coś zapytam – powiedział. – Załóżmy, że wam się uda. Czy to nie zmieni historii? Czy śmierć Drake'a nie wymaże z niej nas wszystkich? Ciebie, mnie, każdego? Przecież proces historii ulegnie zakłóceniu, skoro wykluczymy z niego tego człowieka.

–Musisz zrozumieć, że nie jesteśmy ignorantami. Zdajemy:-sobie sprawę z istnienia tych niebezpieczeństw – odparła Loris. – Od czasów mojego ojca trwają nieustanne badania skutków zmiany przeszłości. Przyglądamy się, jak przebiegałyby procesy historyczne po najmniejszych nawet zmianach. Istnieje ogólna tendencja, aby większość z nich pozostawić ich własnemu biegowi. Trzeba określić poziom zmian. Oddziaływanie na daleką przyszłość jest prawie niemożliwe. To tak jak z kamieniem rzuconym do wody. Na powierzchni pojawiają się koła, które rozchodzą się coraz dalej, aż wreszcie giną. By dokonać tego, co zamierzamy, musielibyśmy zgładzić piętnaście lub szesnaście osób spośród głównych postaci historycznych. Mimo to nie nastąpiłby zmierzch europejskiej cywilizacji. Zmiany nie byłyby na tyle fundamentalne. Zakładamy, że nadal istniałyby telefony, samochody czy Voltaire.

–Ale pewni nie jesteście.

–A jak można być tego pewnym? Mamy podstawy, by sądzić, że gdyby nam się powiodło, na świecie istnieliby teraz, w większości przynajmniej, ci sami ludzie. Natomiast inna byłaby ich pozycja i warunki życia. Patrząc wstecz, warunki zmieniałyby się tym bardziej, im bliżej bylibyśmy "punktu wyjściowego". Wiek szesnasty byłby zupełnie odmieniony. Siedemnasty – nie całkiem, lecz niemal w takim samym stopniu. Wiek osiemnasty różniłby się od pierwotnej wersji, lecz przypominałby go. Taka jest przynajmniej hipoteza. Mogliśmy się oczywiście pomylić, przy manewrowaniu historią zbyt wiele jest zgadywania. Ale... – jej głos nagle stwardniał – wracaliśmy w przeszłość wiele razy, a jak dotąd, nie byliśmy w stanie zmienić niczego. Problem nie polega na tym, że istnieje ryzyko towarzyszące planowanym przez nas zmianom. Raczej na tym, że nie potrafimy ich w ogóle dokonać.

–Możliwe, że tego się w ogóle nie da przeprowadzić – powiedział Parsons. – Że ten paradoks z samej definicji wyklucza wtrącanie się do przeszłości.

–Może. Ale musimy próbować – Loris wycelowała w niego smukły palec koloru miedzi. – A ty musisz doprowadzić ten swój paradoks do logicznego wniosku. Jeśli przez to, że powiedzie nam się w przeszłości, wyeliminujemy samych siebie, to czynnik, który ma zmieniać przeszłość, przestanie istnieć. Zatem nie mogą zajść żadne zmiany. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że skończymy tu, gdzie jesteśmy teraz, niezdolni do wywarcia wpływu na to, co już się wydarzyło.

Musiał przyznać, że jej rozumowanie jest logiczne.

Uświadomił sobie, że nie istnieje żadna kompletna teoria dotycząca czasu. Że nie ma żadnej hipotezy próbującej przewidzieć wyniki takich prób.

Tylko eksperymenty i domysły.

Ale przecież miliardy istnień ludzkich, całe cywilizacje są na łasce tych eksperymentatorów. Losy ludzkości zależą od tego, czy ich domysły okażą się trafne, pomyślał Parsons. Czy

nie lepiej byłoby zaniechać dalszych prób manipulowania przeszłością? I czy ja sam nie powinienem, przez wzgląd na ludzkie osiągnięcia i cierpienia na przestrzeni dziejów, trzymać się z daleka od Nowej Anglii i roku 1579?

Miał jednak pewną teorię, która wykluła się w jego umyśle, gdy zobaczył, że piórka strzały są zrobione z plastyku. Albo może wtedy, gdy dostrzegł w sztychu przedstawiającym sir Francisa Drake'a coś znajomego.

Parsons uważał, że manipulacji przeszłością już dokonano. Teraz, wędrując wstecz, mógłby tylko obserwować, a nie dokonywać zmian. Przeszłość została już gruntownie zmieniona, ale nie dostrzegło tego żadne z nich. Ani Loris, ani nawet Corith.

Portret Drake'a, gdyby mu przyciemnić skórę i usunąć zarost, bardzo przypominałby portret Ala Stenoga.

Krucha postać wiekowej staruszki tkwiła w fotelu na kółkach, skulona pod okrywającym ją ciężkim wełnianym kocem. Początkowo wydawało mu się, że Nixina nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Tkwiła w bezruchu. Wreszcie otworzyła oczy, jakby odzyskując osobowość. Do jej spojrzenia powracała świadomość, jakby wypływała na powierzchnię z otchłani snu. W jej wieku sen był czymś naturalnym, zjawiskiem niemal ciągłym, przerywanym tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Zjawiskiem, którego trwania wkrótce nic nie będzie w stanie zakłócić.

–Madam... – zaczął.

–Pamiętaj, że ona nie słyszy – przypomniał mu stojący obok uzbrojony dyżurny. – Zbliź się, żeby mogła czytać z ruchu twoich warg.

Uczył, jak mu polecono.

–Więc zamierzacie spróbować jeszcze raz – powiedziała Nixina chrapliwym szeptem.

–Tak – odpowiedział.

–Czy wiesz, że byłam tam za każdym razem? – szepnęła. Trudno było mu w to uwierzyć. Przecież taki wysiłek...

–Mam zamiar udać się tam i tym razem – oznajmiła. – Pamiętaj, że to mój syn. – Jej głos nabrał nagle mocy. – | Nie uważasz, że jeśli ktoś ma go chronić, to tylko ja?

Nie wiedział, co odpowiedzieć'.

–Helmar zbudował dla mnie specjalny fotel.

Ton jej głosu pozwolił mu wiele zrozumieć. Był w nim

ogromny autorytet.

Nie zawsze była stara, niedołężna, na wpół ślepa i niedosłysząca. Ta kobieta była sita napędową rodem. Nigdy by im nie pozwoliła zaprzestać działań. Dopóki żyje, będzie ich mobilizować do wykonania zadania, które jest dla niej najważniejsze. Tak jak mobilizowała syna aż do chwili jego śmierci.

Jej głos znów przeszedł w zmęczony szept.

–Jak widzisz – ciągnęła – będę całkowicie bezpieczna. Nie zamierzam wtrącać się do tego, co macie zrobić. Ale czy nie zechciałbyś... – poprosiła nagle żalnym tonem – powiedzieć mi, czego twoim zdaniem możecie dokonać? Podobno uważasz, że

możesz się na coś przydać.

–Mam nadzieję, ale nie jestem pewien – odpowiedział. Urwał, nie mając jej właściwie nic więcej do powiedzenia.

Wszystko było jeszcze zbyt niepewne. Zmęczone wargi poruszyły się.

–Zobaczę mego syna żywego – mruzczała. – Zbiegnie z urwiska z bronią w ręku. Popędzi na dół, by zabić tego człowieka... -jej głos był pełen nienawiści i odrazy – tego "odkrywcę".

Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i zapadła w sen. Energia i autorytet ulotniły się nagle. Nie mogła dłużej dźwigać tej roli.

Parsons na palcach opuścił pokój. Za drzwiami czekała Loris.

–To kobieta o niewiarygodnej sile ducha – mruknął, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarła na nim Nixina.

–Powiedziałaś jej? – spytała Loris.

–Cholernie mało było do powiedzenia – odrzekł Parsons z uczuciem zawodu. – Z wyjątkiem tego, że chcę tam wrócić.

–Ma zamiar udać się tam i tym razem?

–Owszem.

–Więc musimy jej na to pozwolić. Nikt nie może sprzeciwić się jej decyzji. Poznałeś ją, poczułeś jej władzę... Loris uniosła ręce w geście rezygnacji. – Nie można jej mieć tego za złe. Wszyscy chcemy go zobaczyć. Ja, Jepthe, stars/a pani... Mamy tylko sekundę, by ujrzeć go w blasku chwały, zbiegającego z urwiska z bronią w ręku. A potem... – wzdrygnęła się.

Cóż... mimo wszystko trudno żałować człowieka, który zginął, mając zamiar popełnić morderstwo, pomyślał Parsons.

Z drugiej strony, Drake z pewnością posłał za burtę niemałą liczbę hiszpańskich żołnierzy. Zakuci w swe stalowe pancerze nie mieli szans. Szli na dno jak kamienie. Drake był dla nich zwykłym piratem. I słusznie.

–Poczyniliśmy znaczny postęp w przygotowaniach – poinformowała go Loris, gdy szli korytarzem. – Mamy teraz więcej doświadczenia. Chcesz zobaczyć? – W jej głosie wyczuł desperację.

Tym razem pozwolono mu zejść do podziemi. Teraz już miał dostęp do wszystkiego,

czym dysponował Wilczy Klan. Niczego przed nim nie ukrywano.

–Będziesz musiał poczynić więcej przygotowań niż my – powiedziała Loris, gdy wysiedli z windy. – Chodzi o zmianę twojej powierzchowności, głównie koloru skóry. My musimy się tylko przebrać i ukryć sprzęt.

Zobaczył przed sobą grupę mężczyzn i kobiet odzianych w skóry, w mokasynach na nogach. Trudno było po prostu uwierzyć, że tak prymitywnie wyglądający ludzie nie są autentycznymi Indianami. Najbardziej zdumiało Parsonsa odkrycie, że w grupie znajduje się Helmar. Na wszystkich twarzach malował się wyraz posępnej powagi. "Indianie" mieli włosy zaplecione w warkocze, skórę pomalowaną w wojenne barwy; wyglądali złowieszczo i wojowniczo i nie budzili zaufania. Złudzenie wywołane przez przebranie, pomyślał Parsons.

Ich skóra lśniła czerwonym połyskiem w sztucznym świetle, którym zalana była podziemna sala. Spojrzał na swoje ręce. Poczul się nagle obco, jak intruz. Co za kontrast...

–Będziesz wyglądał jak trzeba – uspokoiła go Loris. – Mamy pigmenty.

–Mam swoje – odparł. – W walizeczce z instrumentami.

Przeszedł do pokoju obok i rozebrał się do naga. Tym razem wtarł pigment w każdą część ciała, nie pozostawiając białych miejsc, które mogłyby go zdradzić jak przedtem. Potem, z pomocą kilku służących, ufarbował włosy na czarno.

–To nie wystarczy – rzekła Loris, wchodząc do pokoju.

–Nic na sobie nie mam – krzyknął przestraszony.

Stał zupełnie nagi, czekając, aż wyschnie na nim czerwona farba, gdy tymczasem służący wplatali sztuczne włosy w jego własne, by nadać im odpowiednią długość. Ale Loris wydawała się nie zwracać na jego golizne najmniejszej uwagi.

–Musisz coś zrobić z oczami – przypomniała. – Są niebieskie.

Szkła kontaktowe nadały jego źrenicom ciemnobrązową barwę.

–Teraz przejrzyj się w lustrze – zaordynowała Loris. Dostarczono mu lustro wysokości człowieka, więc mógł się

dokładnie obejrzeć. Teraz służący zaczęli ubierać go w skóry. Loris przyglądała się temu krytycznym wzrokiem, czuwając, by każda część okrycia trafiła na właściwe miejsce.

–Jak wyglądam? – zapytał w końcu Parsons.

Ten mężczyzna w lustrze poruszał się jednocześnie z nim. Parsons nie bardzo potrafił zaakceptować siebie w nowej postaci. Trudno było mu uwierzyć, że ten wojownik z marsową miną, nagimi ramionami i nogami, miedzianą skórą i lśniącymi, długimi włosami, opadającymi na kark, to on sam.

–Świetnie – orzekła Loris. – Nie musimy być zanadto autentyczni, wystarczy, byśmy odpowiadali stereotypowym wyobrażeniom Anglików o szesnastowiecznych Indianach. To zdobywców mamy zwieść. Ustawili kilku uzbrojonych zwiadowców na skałach, by mieli na oku naprawiany okręt.

–Jakie są stosunki pomiędzy ludźmi Drake'a a miejscowymi Indianami? – zapytał Parsons.

–Bardzo dobre. Drake ograbił do cna hiszpańskie okręty i jest zachwycony, bo ma na pokładzie wiele cennych zdobyczy, więc nie ma potrzeby plądrować ich ziemi. Dla niego i jego ludzi wybrzeże Kalifornii nie przedstawia żadnej wartości. Znalazł się tu dlatego, że po udanym ataku na hiszpańskie okręty u wybrzeży Chile i Peru popłynął na północ, szukając połączenia z Atlantykiem.

–Słowem, nie znalazł się tu po to, by dokonać podboju – ocenił Parsons. – A przynajmniej nie zamierzał wytępić Indian. Zajął się innymi białymi.

–Właśnie. A teraz, skoro jesteś gotów, dołączmy lepiej do reszty.

Kiedy wracali do grupy, Loris zapytała:

–Czy w razie nagłej potrzeby będziesz umiał sterować naszym statkiem czasu? Znasz się na tym wystarczająco dobrze?

–Mam nadzieję – odrzekł.

–Możesz zginąć w Nowej Anglii.

–Wiem – odparł, myśląc o martwej, zamrożonej postaci unoszącej się bezwładnie, dryfującej w swym zamknięciu. Jeśli coś pójdzie źle, pomyślał, i nie będziemy w stanie wrócić do naszych własnych stuleci... Będziemy łowić małże, polować na łosie, jelenie i przepiórki. Ci ludzie mogą chwalić cnoty Indian, ale z pewnością sami nie przetrwaliby w tamtej epoce.

I nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl, że zapewne woleliby wrócić do Anglii razem z ludźmi Drake'a. Był o tym przekonany.

Ja zresztą też bym tak zrobił, pomyślał.

Mosiężna płyta, którą ludzie Drake'a zostawili na Wybrzeżu Kalifornijskim, została odnaleziona czterdzieści mil na północ od Zatoki San Francisco. "Złocista Łania" przemierzyła kawał wybrzeża tam i z powrotem, zanim Drake, doświadczony i przezorny żeglarz, znalazł odpowiadający mu port. Jego okręt wymagał naprawy, wymiany części zbutwiałego poszycia

i oskrobania dna. Musiał jeszcze przebyć długą drogę przez Pacyfik do Anglii, a w jego ładowniach spoczywał ogromny skarb, zdolny przekształcić ić ojczysty kraj w ekonomiczną potęgę. Dla zapewnienia bezpieczeństwa ludziom i okrętowi podczas naprawy, Drake'owi potrzebny był port dający możliwie najwięcej swobody i jednocześnie położony w ustronnym miejscu. Znalazł w końcu przystań wśród białych skał i mgieł, podobną do dobrze mu znanego wybrzeża Sussex. Okręt zawinął do Estero, gdzie wyładowano go i rozpoczęto naprawę.

Stojąc na skale kilka mil od Estero, Jim Parsons przyglądał się pracy przy okręcie przez szkła silnej, pryzmatycznej lornety. Liny przytrzymujące przechylony kadłub ginęły w wodzie, przywiązane do wbitych głęboko w dno i niewidocznych pali. Okręt wyglądał jak leżący na boku ranny wieloryb, wyrzucony przez fale na brzeg, niezdolny do powrotu do swego środowiska. Szereg wyciągów ustalało kąć pochylenia okrętu. Marynarze pracujący przy wymianie zbutwiałych desek poszycia stali na drewnianym pomoście, dostatecznie wysoko nad poziomem morza, by uchronić ich przez przyływem. Przez lornetę Parsons dostrzegł kotły ze smołą lub dziegciem, pod którymi tlił się ogień. Mężczyźni smarowali bok okrętu żerdziami zakończonymi czymś w rodzaju mioteł. Mieli na sobie podwinięte, płócienne spodnie i wyblakłe, bladoniebieskie, płócienne koszule. Jasne włosy lśniły w gorącym, południowym słońcu. Do uszu Parsonsa docierał odległy, przytłumiony gwar ich głosów.

Ale nigdzie nie było widać Drake'a,

Obserwując Estero Parsons próbował sobie przypomnieć wygląd tego miejsca w jego czasach. Powstało tu osiedle domków zwane Oko Village od nazwiska dwudziestowiecznego pośrednika handlu nieruchomościami, który sfinansował jego budowę. Wyglądało jak normalna nadmorska miejscowość wypoczynkowa; wzdłuż brzegu ciągnęły się prywatne plaże i przystanie dla jachtów.

–Gdzie jest Drake? – zapytał, kucając obok odzianych w skóry Helmara, Loris i całej reszty.

–Wyłynął szalupą na rekonesans – odpowiedział Helmar.

Za nimi, wśród drzew, tkwił ukryty statek czasu. Jego metalową powłokę maskowały krzaki i gałęzie. Parsons obejrzał się i zobaczył, jak wyprowadzają ze statku starą kobietę w jej fotelu na kółkach. Była przy niej Jepthe, żona jej syna i jednocześnie jej

córka. Staruszka, owinięta czarnym wełnianym szalem, zrzedziła piskliwie, gdy wózek podskakiwał na wyboistym, nierównym terenie.

–Czy ona nie może zachowywać się trochę ciszej? – zapytał Parsons, zniżając głos.

–Jest podekscytowana – odparła Loris. – A tamci i tak nie usłyszą. Dźwięk dociera tutaj z dołu, bo odbija się od skał i wody. Ona wie, że ma uważać.

Stara kobieta zamilkła, gdy fotel dotarł do brzegu urwiska.

–Co mamy teraz robić? – zapytała Loris.

–Nie mam pojęcia – odrzekł zgodnie z prawdą Parsons. Nie wiedział nawet, jaka ma w tym być jego rola. Gdyby dostrzegł Drake'a...

–Jesteście pewni, że nie ma go na pokładzie? – zapytał.

–Popatrz wzdłuż urwiska – odparł Helmar z sardonicznym uśmiechem.

Parsons odwrócił się. W szklach lornety dostrzegł grupkę ludzi ukrytych wśród skał, odzianych w szare skóry, z miedzianą cerą i błyszczącymi, czarnymi włosami.

–To my – wyjaśnił Helmar. – Poprzednim razem. Parsons zobaczył mocno zbudowaną kobietę, której silny

kark lśnił w upale. Odwróciła głowę i wtedy rozpoznał Loris. Dalej, na pochyłości terenu między skałami, ulokowała się następna grupa. Znow rozpoznał Loris, Helmara i innych. Nie zdołał dostrzec, co działo się w dalszej odległości.

–Gdzie powinien być teraz twój ojciec? – zapytał tę Loris, która była obok.

–Zostawił Nixine i Jepthe przy statku – powiedziała bezbarwnym głosem. – Kazał im tam czekać i pobiegł wzdłuż urwiska. Na dłuższy czas straciły go z oczu. Gdy

znow go zobaczyły, był przebrany w swój kostium i zdążył już przebyć trzecią część drogi na dół. Zniknął za skałami, a potem...

Głos jej się załamał, ale po chwili ciągnęła dalej:

–W każdym razie widziały, jak poderwał się na moment, a potem ruszył do przodu z krzykiem. Czy strzała trafiła go w tym właśnie momencie, nie wiemy... Następne, co zobaczyły, to jak stacza się w dół i ląduje w krzakach na zboczu. Rzuciły się na skraj urwiska i zdołały dotrzeć do niego. I oczywiście znalazły go ze strzałą w sercu.

Zamilkła. Zastąpił ją Helmar.

–Nie zauważyły nikogo – opowiadał dalej. – Ale nie mogły się zająć szukaniem, były zbyt zajęte podstawianiem statku wystarczająco blisko, by móc do niego przenieść ciało. Udało im się wylądować na zboczu za pomocą silników odrzutowych, które utrzymywały statek w odpowiedniej pozycji, dopóki nie wciągnęły do wnętrza ciała.

–Był martwy? – upewnił się Parsons.

–Umierający – uściślił Helmar. – Żył jeszcze kilka minut, ale nie odzyskał przytomności.

Loris dotknęła ramienia Parsonsa.

–Popatrz na dół – poleciła.

Znów zaczął badać przez lornetkę położone w dole Estero.

Mała łódź z pięcioosobową załogą wyłoniła się zza przechylonego okrętu. Popychana ruchami czterech długich wiosł posuwała się nieustannie przed siebie. Piąty, brodaty członek załogi nie zajmował się wiosłowaniem. W jego ręku Parsons dostrzegł jakiś metalowy przyrząd błyszczący w słońcu. To był Drake,

Nie wiem, pomyślał Parsons. Czy to na pewno Stenog? Widział tylko głowę, brodę i ubranie mężczyzny. Twarz była zasłonięta i zbyt odległa, by ją rozpoznać. Jeśli to Stenog, pomyślał, to zastawił pułapkę. To jest jedno wielkie oszustwo. Czekają tu na nas z bronią równie nowoczesną jak nasza.

–Jaką oni mają broń? – zapytał.

–Prawdopodobnie noże myśliwskie – odparła Loris no i muszkiety lub rusznice. Możliwe, że część" karabinów ma gwintowane lufy, ale to tylko domysły. W każdym razie nie jesteśmy w zasięgu ich ognia. Mają również armaty, wyniesione z okrętu – a przynajmniej tak nam się wydaje. Nie widzieliśmy na plaży żadnych dział, a jeśli zostały na okręcie, to na pewno nie mogą być użyte. Nie teraz, gdy okręt leży na burcie. Wyjęli z okrętu wszystko, co tylko można, by go odciążyć. W każdym razie nigdy do nas nie strzelali. Ani z broni ręcznej, ani z dział.

Nie musieli, pomyślał Parsons. Przynajmniej nie z takiej broni, o jakiej mówiła Loris.

–Więc Corith zszedł na dół, uważając, że nie grozi mu niebezpieczeństwo – upewnił się.

–Tak – przyznała. – Ale przecież ludzie Drake'a nie użyliby broni Indian, prawda?

W głosie i w wyrazie twarzy Loris Parsons zauważył zwątpienie i niedowierzanie. Nieszczęście, które się wydarzyło, nie miało dla niej sensu. Ani teraz, ani przy

poprzednich razach. Mieli za mało informacji, żeby rozwiązać tę zagadkę.

–Przecież chyba nie zabiłby go żaden tubylec? – zdziwiła się Loris.

W dole mała łódź zaczęła się oddalać od "Złocistej Łani", płynąc na południe, w ich stronę. Wkrótce powinna była się znaleźć naprzeciw ich stanowiska.

–Schodzę na dół – zapowiedział Parsons.

Wręczył Loris lornetkę, chwycił zwój liny, którą ze sobą zabrali i zaczął przywiązywać jej koniec do solidnego kawałka skały. Pomógł mu w tym Helmar i już po chwili Parsons począł oddalać się od grupy ze zwojem liny w ręce.

Ale prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że nie może tak po prostu opuścić się po linie w dół. Gdyby nawet jej długość wystarczyła, by dosięgnąć plaży, na tle białej ściany skalnej byłby zbyt widoczny dla ludzi z łodzi. Odrzucił linę i wdrapał się z powrotem na urwisko. Zaczął biec. Przed sobą dostrzegł głęboką rozpadlinę porośniętą krzakami, wypełnioną odłamkami skalnymi i korzeniami, która znikła gdzieś w dole.

Czepiając się podłoża zaczął pełznąć krok za krokiem w dół. Jak okiem sięgnąć, widział gładką taflę Pacyfiku. Wokół niego były tylko skały. Ocean i skały, nic więcej. Błękit wody i kamienie, umykające spod jego rąk, gdy chwycił się ich w drodze na dół. Na moment znów ujrzał małą łódź. Mężczyźni wciąż wiosłowali. Zauważył wstęgę piasku, pianę rozbijających się o brzeg małych fal, jakieś drzewo wyrzucone przez morze na plażę, wodorosty...

Potknął się i o mało nie spadł. Zdażył chwycić się korzeni wyrastających z podłoża i zawisł głową w dół. Kamienie i patyki posypały się na niego, a potem poleciały gdzieś niżej. Usłyszał odbijający się echem odgłos spadających okruchów skalnych.

Daleko w dole łódź nieprzerwanie i bezgłośnie posuwała się naprzód. Nic nie wskazywało na to, by któraś z maleńkich postaci coś usłyszała lub zauważyła.

Parsons wyprostował się powoli. Nie patrząc już na ocean rozciągający się pod nim, zaczął znowu opuszczać się ku plaży ze wzrokiem utkwionym w urwisko.

Kiedy zatrzymał się na chwilę, by zaczerpnąć tchu, zauważył, że łódź jest już blisko brzegu. Dwaj mężczyźni wysiedli z niej i brnęli przez płytką wodę.

Zauważyli go?

Szybko ruszył na dół. Powierzchnia skały stała się nagle gładka. Przywarł do niej na moment, trzymając się kurczowo ściany, a potem wziął głęboki oddech, przeżegnał się w duchu i rozluźnił chwyt. Spadając widział, jak plaża rośnie mu w oczach.

Uderzył o piasek, przewrócił się i poczuł ból w nogach. Potoczył się w dół i wylądował w wodorostach. Leżał wśród nich ciężko dysząc i czekał, aż minie szok spowodowany upadkiem.

Łódź już wyciągnięto na brzeg. Mężczyźni szukali czegoś na plaży, rozgarniając nogami piasek. Może zgubionego narzędzia? Parsons leżał rozciągnięty na ziemi i obserwował ich.

Jeden z mężczyzn ruszył w jego kierunku, a za nim Drake.

Obaj minęli go w niedużej odległości. Nagle Drake odwrócił głowę i Parsons wyraźnie zobaczył jego twarz na tle nieba. Parsons pozbierał się i wstał.

–Stenog! – zawołał.

Brodaty mężczyzna odwrócił się, otwierając ze zdumienia usta. Jego towarzysz zamarł.

–Wiec jednak jesteś Stenogiem – powiedział Parsons. Jego przypuszczenia były zatem słuszne. Stenog patrzył na

niego nie poznając.

–Nie pamiętasz mnie? – zapytał groźnie Parsons. – Lekarz, który opatrzył dziewczynę imieniem Icara.

Wyraz twarzy brodatego mężczyzny zmienił się. Wreszcie rozpoznał Parsonsa.

Nagle człowiek nazwiskiem Stenog uśmiechnął się.

Dlaczego? – zdziwił się Parsons. Dlaczego on się uśmiecha?

–Uwolnili cię z więziennej rakiety, zgadza się? – upewnił się Stenog. – Tak przypuszczaliśmy. Jeden martwy shupo i dwa nie zidentyfikowane ciała nie wiadomo skąd, zamknięte w statku i podróżujące tam i z powrotem... – Uśmiechał się coraz szerzej, pewny siebie, z wyrazem zrozumienia na twarzy. – Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj. Zupełnie zbiłeś mnie z tropu. Ty tutaj... Interesujące.

Zaczął się śmiać, pokazując białe, równe zęby.

–Dlaczego się śmiejesz? – zapytał Parsons.

–Zobaczmy się z twoim przyjacielem – powiedział! Stenog. – Z tym, który ma mnie zabić. Przyślij go na dół.

Oparł ręce na biodrach i stanął w rozkroku.

–Czekam – powiedział.

Śmiech Stenoga jak w koszmarnym śnie gonił Parsonsa, gdy puścił się pędem wzdłuż podnóża urwiska.

Miałem racje, pomyślał.

Zatrzymał się i obejrzał za siebie. Tam, na plaży, Stenog i jego ludzie czekali na Coritha. 2 piasku wygrzebali już to, czego szukali. Niedużą, błyszczącą, śmiercionośną broń.

Im też udało się zakończyć eksperymenty z podróżami w czasie. Odnieśli sukces.

Chwytając się korzeni i gałęzi Parsons wspinał się na skalną ścianę. Muszę dotrzeć do niego pierwszy, pomyślał. Muszę go ostrzec!

W dół posypały się odłamki skalne. Obsunął się i rozplaszczył na ścianie, przytrzymując się jej kurczowo.

Postacie stojące na dole wydawały się coraz mniejsze. Nikt nie próbował go ścigać. Dlaczego do mnie nie strzelają? – zdziwił się.

Dotarł do występu skalnego, który odgrodził go od Stenoga i uczynił niewidocznym z dołu. Odpoczywał przez chwilę w ukryciu, dysząc ciężko. Poczuł się bezpieczny, ale musiał iść dalej. Uchwycił się korzenia drzewa i powrócił do mozolnej wspinaczki.

Uważają, że nie mogę go zatrzymać? – zastanawiał się. Czy wszystko zostało z góry przesądzone? Cała historia musi się powtórzyć i on zginie bez względu na to, co zrobię?

Muszę przegrać?

Wyciągnął rękę i zdołał uchwycić się darni pokrywającej krawędź urwiska. Mógł wreszcie odpocząć na równym gruncie, ale zaraz poderwał się na nogi.

Gdzie jest Corith?

Gdzieś w pobliżu.

Zobaczył przed sobą sosnowy laszek. Wpadł bez tchu między drzewa uginające się pod naporem wiatru i zaczął krążyć wśród nich rozglądając się.

Nie mogę nawet winić Stenoga, pomyślał. Chroni własne społeczeństwo. To jego praca.

A moim zadaniem jest ochrona pacjenta, uświadomił sobie nagle. Człowieka, do którego zostałem wezwany, żeby go uzdrowić. Zatrzymał się zdyszany. Nie miał już sił. Osunął się na wilgotną trawę i siedział tak, odpoczywając w cieniu i czekając, aż odzyska utraconą energię. Jego skórzany strój podarł się podczas wspinaczki na urwisko. Z rąk kapąły krople krwi. Wylał je o trawę.

Dziwne, pomyślał. Stenog ze swoją ciemną, sztucznie rozjaśnioną skórą i w przebraniu udaje białego. A ja, z białą skórą pomalowaną na ciemno i w przebraniu, udaję Indianina.

Biały człowiek starający się pomóc Corithowi w zabiciu Drake'a. A z drugiej strony Stenog, zajmujący miejsce Drake'a. A może nie zajmujący miejsca Drake'a, bo to naprawdę Drake? Autentyczny Drake? Czy Stenog jest Drake'em? Czy istniał inny człowiek urodzony w Anglii w początkach szesnastego wieku, nazwiskiem Francis Drake? Czy też Stenog zawsze był Drake'em? I nie było nikogo innego...?

A jeśli istnieje inny Drake, prawdziwy, to gdzie on jest?

Jedno wiedział na pewno. Szytych i portret przedstawiały Ala Stenoga z brodą i białą skórą. Nie Drake'a. Zatem to Stenog, a nie Drake, wrócił z łupem do Anglii z Nowego Świata i otrzymał od królowej tytuł szlachecki. Ale czy potem Stenog pozostał Drake'em do końca życia?

Czy to Stenog pokonał później hiszpańską flotę podczas wojny Anglii z Hiszpanią?

Kto był tym wielkim żeglarzem? Drake czy Stenog?

Intuicja i wyczyny tamtych odkrywców... Fantastyczne umiejętności nawigacyjne i odwaga. Każdy z nich, Cortez, Pizarro, Cabrillo... Każdy z nich był człowiekiem przeszczepionym z przyszłości. Szarlatanem, posługującym się techniką rodem z przyszłych wieków. Nic dziwnego, że Peru, a potem Meksyk podbiła zaledwie garstka ludzi.

Ale on o tym nie wiedział. Jeśli Corith zginął, próbując zabić Drake'a, to Stenog i rząd z przyszłości nie mieli powodu, by kontynuować akcję. Człowiek może umrzeć tylko raz.

Parsons podniósł się chwiejnie. Powoli ruszył przed siebie, oszczędzając siły. On musi tu gdzieś być, przekonywał samego siebie. Jeśli będę szukał, to w końcu go znajdę. Bez paniki. To tylko kwestia czasu.

Przed nim, pośród drzew, coś się poruszyło.

Podszedł ostrożnie i ujrzał kilka postaci. Miedziane twarze, ubrania ze skór zwierzęcych... Znalazł go? Wyciągnął rękę i odgarnął gałęzie.

Na skraju wzniesienia, w promieniach popołudniowego słońca, połyskiwała metalowa, kulista powłoka statku czasu.

Jeden z nich, pomyślał. Ale który?

Na pewno nie ten, którym przybył tu on sam. Tamten był ukryty gdzie indziej, zamaskowany błotem i gałęziami. Ten był odsłonięty. Powinny być przynajmniej cztery statki czasu.

Zakładając, że ta podróż jest ostatnia.

Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedykolwiek jakąś odbędę, pomyślał. Czy, podobnie jak Loris i Nixina, będę wciąż wracał i wracał? Jak duch, nawiedzający to miejsce i szukający sposobu, by zmienić bieg przeszłych wydarzeń.

Jedna z postaci odwróciła się i Parsons ujrzał... kobietę, której nie rozpoznał. Przystojną kobietę po trzydziestce. Jak Loris. Ale to nie była Loris. Czarne włosy opadały na jej nagie ramiona; podniosła ostro zarysowany podbródek, gdy tak stała nasłuchując. Jej biodra okrywała spódniczka ze zwierzęcych skór, nagie piersi lśniły i kołysały się przy każdym ruchu. Zawzięta istota o dzikich oczach, która właśnie uklękła, skulona i czujna.

Pojawiła się inna kobieta, starsza i wątlejsza. Z wahaniem wyszła ze statku czasu, ubrana w ciężkie szaty.

Tą młodszą była Jepthe, matka Loris; tak wyglądała, gdy tu była za pierwszym razem.

Parsons usłyszał znajomy głos Nixiny:

–Dlaczego pozwoliłaś, żeby zniknął nam z oczu?

–Przecież wiesz, jaki on jest – odpowiedziała Jepthe ochryplym głosem. – Jak miałam go zatrzymać? – Gwałtownym ruchem głowy odrzuciła w tył grzywę włosów. – Może powinniśmy pójść nad urwisko – powiedziała. – Tam go odnajdziemy.

Cofnąłem się o trzydzieści pięć lat, uświadomił sobie Parsons. Loris jeszcze się nie narodziła.

Jepthe pozostawiła statek i pomknęła w kierunku drzew. Długie nogi niosły ją szybko. Prawie natychmiast zniknęła, a stara kobieta nie mogła za nią nadążyć.

–Zaczekaj na mnie! – krzyknęła zaniepokojona Nixina. Jepthe pojawiła się z powrotem.

–Pośpiesz się – przynagliła, wychodząc spomiędzy drzew, by pomóc matce. – Nie powinnaś była w ogóle tu przylatywać.

Obserwując jej gibkie ciało i sprężyste biodra. Parsons pomyślał: poczęła już dziecko. Loris jest w jej łonie właśnie teraz. Pewnego dnia te wspaniałe piersi będą ją karmiły.

Pośpieszył z powrotem w kierunku urwiska, przedzierając się przez gęstwinę. Corith opuścił swój statek – tyle przynajmniej Parsons wiedział. Udał się w drogę mającą go zaprowadzić do tego, kogo uważał za Drake'a.

Zobaczył przed sobą Pacyfik. Jeszcze raz znalazł się nad urwiskiem. Słońce oślepiło go na moment, więc zatrzymał się, przysłaniając oczy. Daleko, na krawędzi skalnej ściany, dostrzegł samotną sylwetkę mężczyzny.

Człowiek tkwiący nad urwiskiem miał na biodrach przepaskę. Jego głowę przyozdabiała rogata czaszka bizona, przysłaniająca również twarz niemal do linii oczu. Spod tej ozdoby spływały w dół czarne włosy.

Parsons pobiegł w tamtym kierunku.

Mężczyzna wydawał się nie zauważać Parsonsa. Pochylił się nad przepaścią, obserwując znajdujący się w dole okręt. Jego potężne ciało o barwie miedzi pokrywały niebieskie, czarne, pomarańczowe i żółte paski, wymalowane w poprzek twarzy, piersi, ud i ramion. Do grzbietu miał przytroczony tobołek ze zwierzęcej skóry, przytrzymywany paskiem biegnącym przez pierś i przyczepiony rzemieniami pod pachami. Ma tam broń, uznał Parsons. I lornetkę. Rzeczywiście, mężczyzna wyszarpnął ze swego plecaczka lornetkę i przykucnąwszy począł przyglądać się plaży w dole.

Parsons pomyślał, że Corith ma o wiele lepsze przebranie od innych. Warte starannych przygotowań, miesięcy potajemnych wysiłków. Wspaniała bawola czaszka z trzepoczącymi na wietrze strzępami skór, jaskrawe paski farby pokrywające ciało... Prawdziwy wojownik w sile wieku.

Corith podniósł głowę i dostrzegł go. Ich oczy się spotkały. Parsons po raz pierwszy stanął oko w oko z tym człowiekiem za jego życia. Zastanawiał się, czy również po raz ostatni.

Zobaczywszy go, Corith wepchnął lornetkę do plecaka. Nie wydawał się zaniepokojony ani przestraszony. Oczy mu błyszcząły, a zawzięte usta odsłaniały zęby w grymasie podobnym do uśmiechu. Nagle skoczył na sam skraj urwiska i momentalnie zniknął.

–Corith! – krzyknął Parsons.

Wiatr przywiał jego głos z powrotem. Poczuł ból w płucach, gdy dopadł miejsca, w którym zniknął Corith. Spojrzał w dół, ale dostrzegł tylko obsuwający się luźny kawałek skały. Fanatyczny, przebiegły zabójca zniknął. Nie wiedząc, ani nawet nie próbując się dowiedzieć, kim jest Parsons i dlaczego go odnalazł. I skąd zna jego imię.

Coritha nic nie było w stanie powstrzymać. Nie mógł ryzykować. Posuwając się w dół, Parsons pomyślał: zgubiłem go. Dotarł już na dno urwiska. Dlaczego sądziłem, że mogę

go powstrzymać, skoro tamtym się nie udało? Jego matce, jego synowi, żonie, córce, całej rodzinie. Całemu Plemieniu Wilków.

Ślizgając się i osuwając dotarł do występu skalnego i przystanął. Ani śladu Coritha.

Na plaży mała łódka wciąż stała w płytkiej wodzie przy brzegu. Pięciu mężczyzn zajmowało się ukrywaniem broni. Brodaty mężczyzna odłączył się od nich, spojrzał w górę i ruszył przed siebie. Udaje, że niczego się nie spodziewa, pomyślał Parsons. Przynęta.

Chwyciwszy się wystającego kawałka skały, Parsons zaczął schodzić niżej. Odwrócił się twarzą do ściany urwiska i...

0 kilka stóp od niego tkwił w kucki Corith. Przeszył Parsonsa bezlitosnym spojrzeniem, a twarz miał zawziętą i zdecydowaną. W rękach trzymał tubę – przedłużoną wersję broni, którą Parsons już znał. Bez wątplenia ta właśnie broń miała posłużyć do zabicia Drake'a.

–Zawołałeś mnie po imieniu – powiedział Corith.

–Nie schodź na dół – ostrzegł Parsons.

–Skąd znasz moje imię?

–Znam twoją matkę, Nixine – wyjaśnił Parsons.

1 twoją żonę, Jepthe.

–Nigdy cię nie widziałem – odparł Corith, zmrużywszy oczy. Przyglądał się badawczo Parsonswi, oblizując dolną wargę. Szykuje się do skoku, pomyślał Parsons. Zerwie się i pomknie w dół urwiska, ale przedtem mnie zabije. Pociskiem z tej tuby.

–Muszę cię ostrzec – powiedział i nagie zakręciło mu się w głowie. Przed oczami zawirowały czarne plamy, urwisko zafalowało i zaczęło się oddalać. Blask słońca, biel

piasku, ocean... Usiadł, wsłuchując się w odgłos przybrzeżnych fal. Przez ich szum przebijał inny dźwięk. Szybki, zduszony oddech Coritha.

–Kim jesteś? – usłyszał jego głos.

–Nie znasz mnie – odrzekł Parsons.

–Dlaczego mam nie schodzić na dół?

–To pułapka. Czekają na ciebie.

Mocna twarz drgnęła. Corith uniósł trzymaną w rękach tubę.

–To nie ma znaczenia.

–Mają taką samą broń jak ty – poinformował go Parsons.

–Nie – odrzekł Corith. – Mają muszkiety.

–Tam, na dole, nie czeka Drake.

Czarne oczy zapłonęły gniewem. Twarz Coritha wykrzywił grymas.

–Człowiek, który tam jest, to Al Stenog – wyjaśnił Parsons.

Corith nie zareagował. Milczał.

–Dyrektor Źródła – dodał Parsons.

–Dyrektorem Źródła jest kobieta nazwiskiem Lu Farns – powiedział Corith po dłuższej chwili.

Parsons utkwiał w nim zdumione spojrzenie.

–Łiesz – zarzucił mu Corith. – Nigdy nie słyszałem o człowieku noszącym nazwisko Stenog.

Siedzieli przycupnięci na tle skalnej ściany, przyglądając się sobie w milczeniu.

–Twój język... – powiedział po chwili Corith. – Mówisz z akcentem.

Parsonswi kręciło się w głowie. Cała ta sprawa była jakimś zaklętym kręgiem szaleństwa. Kim była Lu Farns? Dlaczego Corith nigdy nie słyszał o Stenogu? I nagle zrozumiał.

Od śmierci Coritha upłynęło trzydzieści pięć lat. Stenog był młodym człowiekiem,

nie przekroczył dwudziestki. Jeszcze długo po śmierci Coritha nie mógł zostać dyrektorem. W istocie nie było go jeszcze na świecie, gdy Corith umarł. Kobieta o imieniu Lu Farns była niewątpliwie dyrektorem Źródła za życia Coritha.

Uspokoiwszy się trochę, Parsons powiedział:

–Jestem z przyszłości. – Ale ręce mu nadal drżały, choć próbował nad tym zapanować.

–Twoja córka... – ciągnął.

–Moja córka?! – przerwał Corith z kpiącym wyrazem twarzy.

–Jeśli zejdziesz niżej – zaczął jeszcze raz Parsons – dostaniesz postrzał w serce. Zginiesz. Martwy zostaniesz przeniesiony z powrotem w twoją epokę, do Kwatery Wilków, i zamrożony. Przez trzydzieści pięć lat matka i żona, a w końcu twoja córka, będą próbowały cię ożywić. Wreszcie dadzą za wygraną i wezwą mnie.

–Nie mam córki – odparł Corith.

–Ale będziesz miał. A właściwie już masz, tylko o tym nie wiesz. Twoja żona nosi w sobie poczęte dziecko.

Zachowując się tak, jakby w ogóle nie słyszał słów Parsonsa, Corith oświadczył:

–Muszę zejść na dół i zabić tego człowieka.

–Jeśli chcesz to zrobić, powiem ci, jak możesz tego dokonać, nie schodząc na dół – odrzekł Parsons.

–No, jak? – zainteresował się Corith.

–W twojej epoce. Zanim on zdąży rozwiązać problem przenoszenia się w czasie i wrócić tutaj.

Tak, to jedyny sposób, pomyślał Parsons. Doszedł do tego, rozważając różne możliwości.

–Tutaj on się tego spodziewa – ciągnął Parsons. – A tam nie. Nie wiedział, gdzie jesteś, kiedy z nim rozmawiałem. Miał tylko rozmaite podejrzenia, nic więcej. Ale jego domysły były trafne i mógł z nich wyciągnąć wnioski. Podjęli przerwane eksperymenty z podróżami w czasie i odnieśli sukces. Twoja broń nic ci nie pomoże, bo...

Urwał nagle i nachylił się w stronę Coritha. Zauważył z przerażeniem coś, co wystawało z plecaka przytroczonego do pleców wojownika.

–Twój kostium... – wykrztusił. – Sam go zrobiłeś. Nikt go nie widział.

Sięgnął w kierunku plecaka i wyciągnął to, co go tak przeraziło. Trzymał w dłoni garść strzał. Z krzemiennym grotem i znajomymi pierzastymi lotkami.

–Falsyfikaty – powiedział. – Cześć twojego przebrania na powrót tutaj.

–Spójrz na swoją rękę – polecił mu Corith.

–Po co? – zapytał oszołomiony Parsons.

–Jesteś biały – odrzekł Corith. – W miejscach zadrapań zeszła farba.

Złapał nagle Parsonsa za ramię i potarł skórę. Pod wpływem wilgoci farba puściła, odsłaniając przybrudzone, białoszare ciało. Corith puścił ramię i pociągnął za sztuczne włosy Parsonsa. Zostały mu w ręku. Skoczył na niego nagle i bez słowa.

Teraz rozumiem, pomyślał Parsons, potykając się o próg skalny, przewracając do tyłu i lecąc w dół. Macając wokół rękami, zdołał się czegoś uchwycić. Jego ciało otarło się boleśnie o skałę. Ujrzał nad sobą masywną postać Coritha, pochylającą się coraz niżej, coraz niżej...

Przekręcając się na bok, zrobił unik. Nie chcę, pomyślał. Dłonie koloru miedzi zacisnęły się wokół jego szyi. Poczul kolano wbijające się w brzuch...

Corith wyprężył się gwałtownie. Buchnęła krew, tworząc na ziemi kałużę. Parsons nadludzkim wysiłkiem wydobył się spod przygniatającego go, bezwładnego ciała. Spostrzegł, że trzyma w dłoni tylko jedną strzałę. Nie musiał odwracać zwłok Coritha, by sprawdzić, gdzie jest druga. Gdy Corith opadł na niego, stercząca pionowo strzała weszła prosto w serce mężczyzny.

Ja go zabiłem, pomyślał Parsons, ale to był wypadek.

W górze, na krawędzi urwiska, pojawiła się Jepthe. Za moment się zorientują, uświadomił sobie. A kiedy to nastąpi... Przyciskając się do skały, zaczął oddalać się od martwego Coritha. Pełził wzdłuż ściany urwiska, aż stracił z oczu kobietę i zwłoki. Potem, krok po kroku, wspiał się na górę. Gdy osiągnął szczyt, wokół nie było nikogo. Pobiegły do Coritha, ale wróć tu lada moment, pomyślał.

Pognał w stronę lasku. W głowie miał pustkę. W chwilę później znalazł się pod osłoną drzew i uznał, że jest bezpieczny. Nikt się nie dowie. Teraz już nie.

Tajemnica śmierci Coritha... Nikt jej nigdy nie odkryje. Pomyślał, że przecież nie chciał tego, ale to nie miało znaczenia. Nic dziwnego, że Stenog się śmiał. Wiedział, że to ja będę tym, który zabije Coritha, uświadomił sobie.

Zatrzymał się. Szalone myśli krążyły mu po głowie.

Mogę wrócić do Loris i Helmara, stwierdził. Powiem im, że widziałem tylko to co oni: Coritha na szczycie urwiska, potem zbiegającego w dół, a wreszcie martwego. I nikogo więcej. Nikt nie wdrapał się na urwisko z dołu. Jedynymi osobami, które zeszły z góry, były Jepthe i Nixina. Nie wiem więcej niż one.

A Corith już nigdy nic nie powie. Nie żyje.

Ukrył się, słysząc głosy. Ujrzał przedzierające się przez las kobiety. Nixina i Jepthe szukały swego statku czasu. Na ich twarzach malował się ból. Przyszły, by przestawić statek, włożyć do niego ciało, zabrać je z powrotem i zamrozić. Corith jest martwy, ale za trzydzieści pięć lat, licząc od tej chwili, zostanie przywrócony do życia, pomyślał. Ja tego dokonam, tam, w Kwaterze. Będę odpowiedzialny za jego ponowne narodziny.

Teraz już wiedział, dlaczego w piersi Coritha znalazła się druga strzała. Dlaczego zginął.

Po raz pierwszy zabił Coritha przez przypadek. Ale ten drugi raz przypadkiem nie był. Zrobił to celowo.

Musiałem wrócić jednym ze statków czasu, zdał sobie nagle sprawę. Tamtej nocy, kiedy ożywiłem Coritha, kiedy leżał nieprzytomny, dochodził powoli do zdrowia, odzyskiwał siły. Będąc wtedy u Loris, znajdowałem się jednocześnie tutaj, przy urwisku. Przy nim.

Ale dlaczego strzałą?

Spojrzał w dół, na swoją dłoń. Wciąż ścisnął w niej strzałę. Wdrapując się na urwisko, nie wypuścił jej z ręki. Dlaczego? Bo te strzały uratowały mi życie, pomyślał. Gdybym ich nie miał, Corith byłby mnie zabił. Bronilem się.

Nie miałem wyboru.

A jednak poczuł lęk przed odpowiedzialnością. Znalazł się

w pułapce, wciągnięty w tę sprawę wbrew własnej woli. Corith rzucił się na niego, a jemu nie pozostało nic innego, jak tylko walczyć o własne życie, bronić się.

Co innego mogłem zrobić? Z całą pewnością to nie moja wina, pomyślał. Ale w takim razie czyja?

Kto naprawdę odpowiada za tę zbrodnię? Bo to była zbrodnia, jak każde zabójstwo. Jestem lekarzem i moim zadaniem jest ochrona ludzkiego życia. A zwłaszcza życia

tego człowieka.

Czy nawet za cenę własnego? Przecież kiedy ożywię go w Kwaterze, wskaże na mnie, swojego zabójcę. A ja będę bezbronny, ponieważ nie będę o niczym wiedział. Bo to się jeszcze nie wydarzyło.

Sojąc samotnie pośród drzew, Parsons pomyślał: to ja jestem tym człowiekiem, którego szukają od trzydziestu pięciu lat. Ludzie w Kwaterze zabiliby mnie natychmiast, jak tylko Corith by mnie oskarżył. Nie okazaliby cienia litości, ale dlaczego mieliby to robić? Czy ja się ulitowałem nad Corithem? Może zdążyłbym przerwać ciąg zdarzeń w którymś momencie. Na przykład zanim tu przybędę i zabiję go po raz pierwszy.

Ponad jego głową przemknął jak błyskawica metalowy statek latający, ominął las i skierował się w stronę urwiska, po czym opadł za krawędzią skalnej ściany. Słyszał ryk jego odrzutowych silników, gdy maszyna lądowała blisko Coritha. Teraz stara kobieta i jej córka wyjdą, by zabrać nieżyjącego mężczyznę.

Gdzieś w pobliżu muszą być jeszcze trzy inne statki czasu, uzmysłowił sobie Parsons. A może ze statkiem Stenoga – nawet cztery. Jeden już wystartował, ale pozostałe raczej nie. Ale nie był pewien.

Muszę dostać się do jednego z nich, postanowił. W panice biegł przed siebie, zastanawiając się. Nie mógł dostać się do żadnego statku z poprzednich okresów przeszłości, nie zakłócając biegu historii. Pozostawał zatem tylko statek Stenoga i ten, którym sam tu przybył. Ale czy mógł wrócić tam, aby spojrzeć w oczy Loris i innym, wiedząc, że zabił Coritha?

Musiał.

Wydostał się na górną krawędź urwiska i pobiegł z powrotem tą samą drogą, którą tu przybył. Dla nich ta podróż po prostu zakończyła się fiaskiem, pomyślał, i tak jak poprzednio nikt nie był w stanie zrozumieć, co się stało. Nie pomogłem im, a mój plan okazał się do niczego. Nie ma innego wyjścia, jak dać sobie spokój i wrócić do przyszłości, przekonywał samego siebie.

Biegając spojrzął w dół i dostrzegł małe sylwetki ludzi Stenoga na plaży obok łodzi. Rysowali wiosłami na piasku ogromne litery. Parsons zatrzymał się i zdumiony odczytał swoje nazwisko. To Stenog próbował coś mu przekazać. Gdy tak stał i patrzył w dół, mężczyźni nagle, jak gdyby za pomocą wcześniej przygotowanej metody, błyskawicznie dokończyli napis.

PARSONS – ONE WIEDZIAŁY –

WIEDZĄ.

Ostrzegli go. Czyli tym razem podróż nie okazała się jednak całkowitym fiaskiem. Mimo wszystko nie mógł wrócić.

Odwrócił się i pomknął przez otwartą przestrzeń w kierunku lasu. Kiedy tylko mnie zobaczą, zabiją, pomyślał, albo... serce mu zamarło. Przecież nie będą musieli. Wystarczy, że wrócą do przyszłości beze mnie, zostawiając mnie tutaj.

Mógłby się wtedy przedostać do statku Stenoga, ale to by oznaczało, że znalazłby się z powrotem w rękach rządu. Na pewno wysłano by go do kolonii karnej, a tego wolałby uniknąć. Czy to miało być lepsze od pozostania tutaj, nawet w charakterze człowieka wyrzuconego poza nawias czasu? Tu przynajmniej byłby wolny. Mógłby znaleźć w okolicy jakiś indiański szczep i przetrwać z nim do momentu, aż z Europy przyplynie jakiś okręt, na pokładzie którego spróbowałby wrócić...

Zaczął wysilać mózg, próbując sobie przypomnieć, kiedy miał miejsce następny kontakt między tym regionem świata, Nową Anglią, a Starym Światem. Chyba około 1595... Kapitan nazwiskiem Cermeno rozbił... to znaczy, rozbije dopiero swój okręt przy wejściu do Estero. Za szesnaście lat...

Szesnaście lat oczekiwać tutaj, żywiąc się mięczakami

i leśną zwierzyną, siedząc w kucki przy ognisku, kuląc się w namiocie zrobionym ze skór, wygrzebując z ziemi jadalne korzenie. To była ta najwspanialsza kultura, którą chciał ocalić Corith. Żeby przetrwała zamiast elżbietańskiej Anglii.

Lepiej już wrócić do Stenoga, pomyślał. Znów pobiegł w kierunku urwiska.

Nagle na ścieżce przed sobą dostrzegł jakąś postać. Przez moment myślał z przerażeniem, że to Corith. Potężne ramiona, groźne, surowe rysy twarzy, ostry orli nos...

To był Helmar. Syn Coritha.

Parsons zatrzymał się. Pojawiły się Loris i Jepthe. Z wyrazu ich twarzy wyczytał, że Stenog go nie okłamał.

–Był w drodze na dół, do tamtych – zwrócił się Helmar do Loris.

–Zdradziłeś nas – zarzuciła Loris Parsonsowi.

–To nieprawda – odpowiedział. Ale wiedział, że nie potrafi im tego wytłumaczyć.

–Kiedy przyszedł ci do głowy ten pomysł? – zapytała gorzko Loris. – W Kwaterze? Wykorzystałeś nas, byśmy cię tu przenieśli, bo zamierzałeś to zrobić? A może zdecydowałeś się dopiero, kiedy go zobaczyłeś?

–Nigdy o tym nie pomyślałem – usiłował ją przekonać Parsons.

–Zagrodziłeś mu drogę – ciągnęła Loris, jakby nie usłyszała. – Najpierw zszedłeś do Drake'a i naradziliście się. Widzieliśmy was. A potem wdrapałeś się na urwisko, zatrzymałeś Coritha i zabiłeś go. Teraz na pewno schodziłeś z powrotem do Drake'a, żeby z nim wrócić. Ostrzegł cię, że zostałeś zdemaskowany. Jego ludzie napisali ci to na piasku, więc wiedziałeś, że nie możesz do nas wrócić.

Parsons nie odpowiadał. Patrzył na nich w milczeniu. Celując ze swojej broni w Parsonsa, Helmar zarządził:

–Wracamy do statku.

–Po co? – zdziwił się Parsons. Dlaczego nie zabiją go tu, na miejscu?

–To Nixina podjęła taką decyzję – odpowiedziała Loris.

–Dlaczego?

–Uważa, że nie zrobiłeś tego umyślnie – wyjaśniła zduszonym głosem Loris. – Twierdzi, że... – urwała, po czym ciągnęła dalej: – że gdybyś zamierzał to zrobić, zaopatrzyłbyś się wcześniej w jakąś broń. Nixina mówi, że zatrzymałeś Coritha, żeby go przekonać, a on ciebie nie posłuchał. Walczyliście ze sobą i podczas starcia Corith został przypadkowo zakłuty.

–Ostrzegałem go, żeby nie schodził w dół – przyznał Parsons. Zauważył, że zaczynają go słuchać. – Powiedziałem mu, że ten człowiek na dole to nie Drake – ciągnął. – Że to Stenog na niego czeka.

–I okazało się – odezwała się Loris po chwili milczenia – że mój ojciec, co jest oczywiste, nigdy nie słyszał o Stenogu. Nie wiedział, o co ci chodzi – skrzywiła z goryczą usta. – Odkrył, że masz białą skórę, a zatem nie potrafił ci zaufać. Nie chciał cię posłuchać i przypłacił to życiem.

–Tak było – przyznał Parsons. Zapadło milczenie.

–Był zbyt podejrzliwy – mówiła dalej Loris. – Niezdolny do zaufania komukolwiek. Nixina miała rację. Nie chciałeś tego, to nie była twoja wina. W każdym razie nie zawiniłeś bardziej niż Corith. – Podniosła ciemne, przepelnione żalem oczy. –

Chociaż w pewnym sensie był sam sobie winien – przez swoją podejrzliwość.

–Teraz już nie warto się nad tym zastanawiać – wtrąciła sucho Jepthe.

–Masz rację – przyznała Loris. – Nie pozostaje nam nic innego, jak wracać. Przegraliśmy.

–Przynajmniej teraz wiemy, jak to się stało – warknął Helmar, patrząc na Parsonsa z obrazą i nienawiścią.

–Musimy się zastosować do woli Nixiny – zwróciła się do niego Jepthe ostrym, rozkazującym tonem.

–Wiem – odpowiedział Helmar, nie odrywając wzroku od Parsonsa.

–A jaka jest jej decyzja? – zapytał Parsons.

–Musimy... – Loris zawahała się. – Nawet jeśli to był wypadek – powiedziała bezbarwnym głosem – uważamy, że powinieneś za to w jakiś sposób odpokutować. Musimy cię tu zostawić. Ale nie w tym przedziale czasu. – Mówiła coraz ciszej. – Nieco później.

–Czyli zostawicie mnie w momencie, gdy okręt Drake'a już odpłynął – domyślił się Parsons.

–Będziesz miał dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać – odezwał się Helmar: machnął bronią, nakazując Parsonsovi iść przed nimi.

Poszli razem wzdłuż urwiska z powrotem do statku. Przed wejściem do pojazdu siedziała w swym specjalnym fotelu Nixina, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma. Wokół niej zgromadziło się kilku członków Plemienia Wilków.

Kiedy podeszli bliżej. Parsons przystanął.

–Przykro mi – powiedział.

Stara kobieta kiwnęła lekko głową, ale nie odpowiedziała.

–Pani syn nie chciał mnie wysłuchać – dodał. Nixina milczała dalej.

–Nie powinieneś być go zatrzymywać – powiedziała w końcu. – Nie jesteś tego godzien.

Muszą zwalić winę na mnie, pomyślał Parsons. Nie są w stanie przyznać, że Corith spowodował własną śmierć swoim fanatyzmem i podejrzliwością. Psychicznie by tego nie wytrzymali. Wobec tego muszę zostać kozłem ofiarnym i ponieść

odpowiednią karę.

Bez słowa wszedł do statku.

Stał pośród drzew i rozglądał się wokół, próbując odnaleźć jakąś oznakę przemijania. Niebieskie niebo, odległy szum przybrzeżnych fal... Nic się nie zmieniło. Oprócz...

Najszybciej jak mógł puścił się w stronę urwiska. W dole zobaczył plażę – piasek, wodorosty, Pacyfik... nic więcej. Naprawę okrętu zakończono, "Złocista Łania" zniknęła. A może jeszcze się nie pojawiła?

Jak mógł to sprawdzić? Poznać po śladach na piasku? Po szczątkach pali, do których przywiązane były liny? Coś musiałoby pozostać.

Ale jakie to miało znaczenie?

Może znajdę jakiś sposób, by dostać się na południe, pomyślał. Cortez... Kiedy on wylądował w Meksyku? Najbardziej chyba mogę liczyć na spotkanie przyjaźnie nastawionego plemienia Indian. Jeśli będę miał szczęście, mogę z nimi zostać albo nakłonić ich, by pomogli mi dotrzeć na południe. Ale czy tam już są hiszpańskie osady? I który mamy rok? Skoro tego nie wiem, jestem zupełnie bezradny. Mogli cofnąć mnie w czasie o cały wiek, lub nawet o kilka stuleci. Ocean, skały, drzewa nie zmieniają się bardzo długo. Może znalazłem się tu na dwieście lat przed pierwszym białym człowiekiem, który pojawił się na brzegu Nowego Świata? Może to właśnie ja jestem pierwszym białym człowiekiem w Nowym Świecie?

Powinien przynajmniej zejść na plażę i rozejrzeć się. Jeśli pozostały tam jakieś ślady po "Złocistej Łani", to znaczy, że nie został cofnięty w czasie. To już byłoby coś. Słaba nadzieja na dotarcie do kolonii hiszpańskich na południu, a potem na podróż okrętem do Europy.

Po raz kolejny rozpoczął powolną, niebezpieczną podróż w dół skalnej ściany.

Wędrował po plaży tam i z powrotem chyba z godzinę, nie znajdując żadnych śladów okrętu ani ludzi. A co z mosiężną płytą? – zastanowił się. Gdzie Drakę ją zostawił? W piasku? Zagrzebaną u podnóża urwiska? Zaczął jej szukać, ale oddalił się już tak bardzo, że nie wiedział, z którego miejsca teraz zacząć. Odszedł chyba z milę od początkowego punktu. Plaża wszędzie wyglądała tak samo. Urwisko, piasek i wodorosty.

Nagle stanął jak wryty. Jeśli został tu porzucony, to w jaki sposób zdołał się dostać z powrotem do Kwatery Wilków i zabić po raz drugi Coritha? Zresztą nie miało to znaczenia, jak; ważne było, że w ogóle się tam dostał. Tak czy owak zostanie przeniesiony z tego miejsca na skutek nowego biegu wypadków, spowodowanego

niepowodzeniem przy próbie

dosięgnięcia ozywającego Coritha. Jedynym sposobem na dostanie się z powrotem do Kwatery było posłużenie się statkiem czasu. To jasne, że ktoś po niego przyleciał... A raczej przyleci.

Tylko kiedy? Może tu spędzić lata, dziesiątki lat, zestarzeć się i dopiero wtedy któreś z nich wróci i zabierze go. U schyłku jego życia.

Może na przykład dotrzeć po latach na południe, do osad Hiszpanów, a potem odbyć podróż do Hiszpanii i stamtąd do Anglii, gdzie uda mu się skontaktować ze Stenogiem. W ten sposób odzyska w końcu dostęp do przyszłości, ale... jak sterany, wycieńczony starzec, który wszystko ma już za sobą człowiek, który przemierzył cały świat i przeżył całe życie.

I oczywiście zawsze można było założyć, że ktoś inny zabił Coritha po raz drugi.

Zauważył, że dzień chylił się ku końcowi. Powietrze stało się chłodniejsze, a słońce przesunęło się na skraj nieba. Nad jego głową z trzepotem skrzydeł przeleciały mewy. Ich żałosny krzyk, podobny do pisku liny trącej o blok, czynił to miejsce jeszcze bardziej odludnym.

Wkrótce nadejdzie noc. Co zrobi? Nie może spędzić jej na plaży. Już lepiej podjąć mozolny marsz z powrotem na górę, a potem przez półwysep. Przypomniał sobie, że nad zatoką Tomales były indiańskie osady, usytuowane w bardziej zacisznej części lądu.

Stojąc na plaży i patrząc w górę, nie mógł znaleźć miejsca dogodnego do wspinaczki na urwisko. Musiał ruszyć plażą na poszukiwanie łagodniejszego stoku lub miejsca porośniętego krzakami i drzewami. Czuł się jednak zbyt zmęczony, więc postanowił zaczekać do rana. Usiadł na kłodzie wyrzuconej na brzeg przez morze, rozwiązał mokasyny i wsparł głowę na rękach. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w szum fal i pisk mew. Nieludzki, nieprzyjemny dźwięk... Od ilu milionów lat powtarza się nieprzerwanie? Zaczął się na długo przed pojawieniem się człowieka i będzie trwać długo po zniknięciu człowieka.

Tak łatwo byłoby wstać i wejść do wody, pomyślał nagle, i już nie wrócić. Wystarczy zacząć.

Poczuł zimny powiew wiatru i wzdrygnął się. Jak długo już tu siedzi? Otworzył oczy i zobaczył, że pociemniało. Słońce prawie skryło się za horyzontem. W górze stado ptaków zniknęło za wzgórzami, kierując się na północ.

Jak dzieci, pomyślał Parsons. Ukarali mnie tym zesłaniem, nie chcąc przyznać się do winy. A jednak w pewnym sensie mieli rację. Powiniennem przyjąć na siebie winę,

bo to ja byłem czynnikiem, który spowodował jego śmierć. Ale gdybym miał szansę zabić go jeszcze raz, zrobiłbym to. Daj mi, Boże, taką szansę, pomyślał. Podniósł się z kłody i ruszył przed siebie bez celu, kopiąc leżące w piasku muszle.

Wielki blok skalny stoczył się nagle z hałasem w dół urwiska. Odruchowo odskoczył w bok. Głaz runął na plażę, a za nim posypał się grad mniejszych kamieni. Przysłaniając oczy, spojrzał w górę.

Na szczycie urwiska stała jakaś postać, machając do niego ręką. Przyłożyła zwinięte w trąbkę dłonie do ust, krzycząc coś, czego nie mógł usłyszeć poprzez szum rozbijających się o brzeg fal. Widział tylko sylwetkę, nie mógł rozpoznać, czy to kobieta, czy mężczyzna. Nie potrafił również określić jej stroju. Zaczął szaleńczo wymachiwać rękami.

–Na pomoc! – krzyknął i pobiegł w kierunku urwiska, ale zaraz uświadomił sobie, że nie może się na nie wdrapać. Popędził wzdłuż skalnej ściany, potykając się i omal nie przewracając, szukając gorączkowo drogi na górę.

Postać ponad nim zaczęła żywo gestykulować, ale nie mógł zrozumieć, co chce mu przekazać. Potem sylwetka zniknęła. Odbył się to tak szybko, że widział ją tylko przez moment. Z niedowierzaniem zamrugnął oczami, czując, jak cierpnie mu skóra. Człowiek na górze odwrócił się i po prostu odszedł!

Stał w miejscu, w niemym zdumieniu, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, gdy nagle ujrzał, że nad szczytem urwiska wyrasta metalowa kula i błyskawicznie opada w dół, na plażę. Tuż przed nim wylądował na piasku

statek czasu. Kto z niego wysiądzie? – pomyślał ze ściśniętym sercem.

Drzwiczki otworzyły się i ukazała się w nich Loris. Nie miała już na sobie indiańskiego przebrania. Była znów w szarej todze Plemienia Wilków. Na pogodnej twarzy nie było widać śladów przeżytego wstrząsu. Dla niej musiało upłynąć sporo czasu, pomyślał Parsons.

–Witaj, doktorze – powiedziała. Parsons nie mógł wydobyć z siebie słowa.

–Wróciłam po ciebie – ciągnęła. – Minął już miesiąc lub coś koło tego. Przepraszam, że trwało to tak długo. A ile czasu upłynęło dla ciebie? Nie masz brody, a twoje ubranie wygląda prawie tak jak przedtem... Mam wrażenie, że to był jeden dzień.

–Myślę, że tak – odrzekł. Jego głos brzmiał chrapliwie.

–Chodź – wykonała zapraszający gest. – Wsiadaj. Zabiorę cię z powrotem, doktorze. Do twoich czasów. Do twojej żony.

Uśmiechnęła się sztucznie.

–Nie zasługujesz na to, by tu pozostać – mówiła dalej. – Nikt z twojej cywilizacji nigdy by cię tu nie odnalazł. Helmar już o to zadbał. Jest rok 1597. Nikt się tutaj nie zjawi jeszcze przez bardzo długi czas.

Drżąc ze zdenerwowania, Parsons wszedł do wnętrza statku.

–Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – zapytał, gdy zamknęła za nim klapę.

–Dowiesz się któregoś dnia – odparła. – To ma związek z czymś, co kiedyś zrobiliśmy, ty i ja. Z czymś, co w swoim czasie wydawało się bez znaczenia.

Znów się uśmiechnęła pełnymi wargami, ale tym razem był to inny uśmiech. Zagadkowy, prawie pieszczotliwy.

–Doceniam to... – bąknął.

–Czy chcesz, żebym od razu cię tam zabrała? – zapytała. – A może potrzebujesz czegoś z naszej epoki? Mam tu twoją walizeczkę z instrumentami – wskazała torbę leżącą na podłodze statku. Rozpoznał ją.

–Chciałbym na chwilę wrócić do Kwatery – wykrztusił z trudem. – Umyć się, przebrać i odpocząć. Nie chcę wracać do rodziny w takim stanie – spojrzał na poszarpane skóry i resztki farby na ciele. – Pomyślą, że jakiś dzikus uciekł z zoo.

–Proszę bardzo – odrzekła Loris sztywnym, uprzejmym tonem, który tak dobrze znał. Arystokratyczna uprzejmość, pomyślał.

–Wrócimy zatem w moje czasy – mówiła tymczasem Loris. – Dostaniesz wszystko, czego ci potrzeba. Rzecz jasna, będziesz musiał pozostać w ukryciu. Nikt poza mną nie może cię zobaczyć, ale chyba to rozumiesz. Zabiorę cię prosto do mojego apartamentu.

–W porządku – zgodził się.

To z powodu jej ojca chcę tam wrócić, pomyślał w nagłym przypiływie rozpacz. Muszę dokończyć to, co zacząłem. Jak ona będzie się czuła, jeśli kiedykolwiek się dowie? Może to nigdy nie nastąpi... Gdybym choć na moment mógł skorzystać ze statku czasu... Uratowała mnie po to, bym mógł zabić jej ojca po raz drugi.

Siedział w milczeniu, przyglądając się, jak Loris manipuluje przyrządami pokładowymi.

Statek czasu zastygł w bezruchu na zamkniętym, brukowanym dziedzińcu. Parsons, kiedy już wysiadł, zobaczył żelazne poręcze półokrągłych balkonów i wilgotną roślinność. Loris doprowadziła go do drzwi wejściowych, a potem ruszyła pierwsza pustyni korytarzem.

–Ta cześć Kwatery należy do mnie – rzuciła przez ramię – więc nie musisz się niczego obawiać. Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał.

Wkrótce potem Parsons zanurzył się w wannie pełnej gorącej wody. Oparł głowę o jej porcelanowy brzeg i zamknąwszy oczy, rozkoszował się zapachem mydła, ciszą i spokojem. Drzwi łazienki otworzyły się i stanęła w nich Loris z naręczem myjek i ręczników.

–Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, przerzucając przez przymocowany do ściany wieszak biały, puszysty ręcznik kąpielowy.

Nie odpowiedział. Nie otworzył nawet oczu.

–Jesteś zmęczony – powiedziała, ociągając się z wyjściem. – Teraz już wiem, dlaczego nie dotarł do ciebie żaden z naszych sygnalizatorów.

Parsons otworzył oczy.

–Podczas twojej pierwszej podróży w odległą przyszłość – wyjaśniła, – Kiedy nie wiedziałeś, jak sterować statkiem.

–Co się z nimi stało? – zapytał.

–Helmar je zniszczył.

–Dlaczego? – zdziwił się Parsons, nagle całkowicie przytomny.

Loris odgarnęła z twarzy długie czarne włosy.

–Szukaliśmy każdego możliwego sposobu przerwania w jakimś momencie tego ciągu zdarzeń – wyjaśniła cicho. – Sam rozumiesz... Niewiele osób spośród nas jest do ciebie życzliwie nastawionych... – zawahała się. – Dziwne uczucie, widzieć cię znów tutaj – uznała, przyglądając mu się. – Spędzisz tę noc ze mną, prawda?

–Więc Helmar robił, co mógł, żeby pozostawić mnie uwięzionego w przyszłości – powiedział Parsons, jakby nie słysząc.

Zostawić mnie w przeszłości, w Nowej Anglii, to było za mało, pomyślał. Wzdrygnął

się na wspomnienie spustoszonej równiny, którą zobaczył w przyszłości. Postarali się... Gdyby nie płyta...

–Próbował też pewnie odnaleźć granitową płytę? – spytał nagle.

–Szukał jej – przytaknęła Loris – ale bez powodzenia. Mieliśmy trochę wątpliwości, a najwięcej Helmar, czy w ogóle kiedyś istniała jakaś płyta. Wszystkie sygnalizatory zostały odnalezione, z czym nie było kłopotu, bo wiedzieliśmy dokładnie, ile ich wysłaliśmy i gdzie je umieściliśmy. Helmar wrócił, ale to nie miało znaczenia. Mój ojciec... – zaplotła ręce na piersi i wzruszyła ramionami. – W jego wypadku to nie odniosło skutku.

Po kąpieli Parsons osuszył się, ogolił, włożył jedwabny szlafrok podarowany mu przez Loris i wyszedł z łazienki. Loris siedziała skulona w fotelu w rogu sypialni. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę, a z szerokich chińskich spodni wystawały białe stopy. Nadgarstki przyozdabiała ciężkie, srebrne bransolety. Włosy związała z tyłu z koński ogon. Była zamyślona,

–Co się stało? – zapytał Parsons. Podniosła na niego oczy.

–Przykro mi będzie, kiedy odejdziesz – powiedziała.

Chciałabym...

Nagle ześliznęła się z fotela i zaczęła spacerować po pokoju z rękami wbitymi głęboko w kieszenie jasnoniebieskich spodni.

–Chciałabym ci coś powiedzieć, doktorze, ale chyba nie powinnam. Może pewnego dnia...

Odwróciła się gwałtownie.

–Mam o tobie jak najlepsze zdanie – powiedziała. – Jesteś wspaniałym człowiekiem.

Strasznie utrudnia mi zadanie, pomyślał Parsons. Co za udręka... Zastanawiam się, czy będę w stanie to zrobić, ale nie mam alternatywy.

Jego ubranie leżało starannie złożone na półce w garderobie. Sięgnął po nie.

–Co masz zamiar zrobić? – zapytała Loris, przyglądając mu się. – Nie idziesz do łóżka? – wskazała na przygotowaną dla niego piżamę.

–Nie – odparł. – Nie mam ochoty się kłaść.

Kiedy już się ubrał, stanął niezdecydowany w drzwiach apartamentu.

–Jesteś taki spięty – zauważyła Loris. – Boisz się zostać w Kwaterze? Chyba nie obawiasz się, że wtargnie tu Helmar?

Przeszła obok niego i zaryglowała drzwi do holu. Poczuł gorący zapach jej włosów.

–Nikt tu nie może wejść – zapewniła go. – To święte miejsce. Sypialnia królowej.

Pokazując w uśmiechu równe białe zęby, położyła mu rękę na ramieniu.

–Chce, żebyś był zadowolony – powiedziała miękko. – To twoja ostatnia noc tutaj, kochanie...

Przysunęła się blisko i czule pocałowała go w usta.

–Wybacz mi – przeprosił ją i odryglował drzwi.

–Dokąd idziesz? – nagle stała się czujna. – Chcesz coś zrobić... Co?

Przemknęła obok niego jak kot, zagradzając sobą drzwi. Jej oczy płonęły.

–Nie pozwolę ci wyjść. Chcesz się zemścić na Helmarze, prawda? O to ci chodzi? – przyjrzała mu się badawczo i nagle zdecydowała: – Nie, to nie to... W takim razie co?

Położył jej ręce na ramionach, aby ją odsunąć, ale silne, zdrowe ciało kobiety stawiało opór. Złapała go za ręce i nagle wyczytała z jej twarzy, że zrozumiała.

–O Boże... – szepnęła.

Pod pobladłą nagle, pozbawioną pigmentu skórą ujrział przez moment twarz starej, nieprzytomnej z trwogi kobiety.

–Doktorze – poprosiła – nie rób tego. Zaczął otwierać drzwi.

Runęła na niego. Palce dosięgły jego twarzy, paznokcie rozorały skórę, próbując wydrapać oczy. Odruchowo podniósł ręce i odrzucił ją do tyłu, ale znów do niego przywarła, ciągnęła go w dół, napierając całą siłą i ciężarem swojego ciała. Błysnęły białe zęby, kiedy z furią ugryzła go w szyję. Wolną ręką udało mu się zdzielić ją w twarz. Upadła, dysząc ciężko.

Wypadł z apartamentu na korytarz.

–Stój! – wrzasnęła za nim, rzucając się w pogoń. Sięgnęła pod bluzkę i wydobyła smukłą, metalową tubę. Dostrzegł to w porę i zamachnął się. Trafił ją pięścią w szczękę, ale odwracając głowę, zamortyzowała siłę ciosu. Oczy miała zaszkłone łzami bólu. Nie straciła równowagi, ale tuba zachwiała się, więc złapał za nią. Loris natychmiast szarpnęła się do tyłu, uwalniając się z uchwytu. Ujrzał wycelowaną w

siebie broń, i nagle zwrócił uwagę na wyraz twarzy kobiety. Widniało na niej cierpienie. Uniosła rękę, zamachnęła się, rzuciła w niego tubą i zaczęła szlochać. Broń upadła na podłogę obok jego nóg i potoczyła się na bok.

–Niech cię wszyscy diabli... -jęknęła Loris, zasłaniając dłońmi twarz i odwracając się do niego plecami. Jej ciałem wstrząsał szloch. Nagle znów stanęła twarzą do niego.

–No, idź! – krzyknęła.

Po jej policzkach spływały łzy.

Pobiegł szybko korytarzem, tą samą drogą, którą przyszli. Wydostał się na ciemne podwórze i dostrzegł niewyraźny zarys statku. Jak tylko mógł najszybciej, wdrapał się do środka, zatrzasnął za sobą drzwiczki i zaryglował je.

Czy będzie umiał sterować statkiem? Usiadł przy tablicy przyrządów i sprawdził wskaźniki. Potem, wytężając pamięć, przesunął dźwignię przełącznika.

Urządzenie zaszumiło. Zegary zaczęły rejestrować czas. Przesunął wyłącznik w poprzednie położenie i z wahaniem wcisnął guzik.

Tarcza zegara pokazała, że cofnął się o pół godziny. To dawało mu czas potrzebny na zapoznanie się z przyrządami, na odświeżenie wiadomości, które zdobył poprzednio. Uspokoiwszy się, rozpoczął dokładną inspekcję.

Gdy cofnął się o półtora dnia, zatrzymał mechanizm Ostrożnie odblokował drzwiczki statku i otworzył je.

W polu widzenia nie było nikogo.

Wysiadł i przeszedł przez podwórze. Potem podciągnął się na balkon i zamarł. Musiał się zastanowić.

Przede wszystkim potrzebna mu była jedna ze strzał Corithai W dole, pod ziemią, na pierwszym poziomie znajdzie warsztat w którym Corith przygotowywał swój kostium. Ale czy strzały jeszcze tam są? Kilka pozostało daleko w przeszłości, w Nowej Anglii, ale ta jedna, którą wyciągnął z piersi Coritha, musi być gdzieś tu, w Kwaterze. Chyba że została zniszczona.

Czy Corith zginął po raz drugi od tej samej strzały?

Nagle sobie przypomniał, że tamtą strzałę sam rozebrał na części, usunął grot i piórka, by je zbadać. Zatem ponownej śmierci Coritha nie mogłaby spowodować ta strzała, tylko któraś z pozostałych. Druga strzała nie została usunięta tak jak pierwsza, a przynajmniej nic o tym nie wiedział.

Najwyraźniej była późna noc, niedaleko do świtu. Oświetlone sztucznym światłem korytarze wyglądały na puste.

Zachowując maksymalną ostrożność, dotarł do pierwszego podziemnego poziomu.

Chyba z godzinę na próżno szukał jednej ze strzał Coritha, aż w końcu zrezygnował. Zegary w różnych pomieszczeniach wskazywały piątą trzydzieści. Wkrótce Kwatery zaczęły się budzić do życia. Nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić po strzałę w przeszłość. Wróciwszy do statku, zamknął się w jego wnętrzu i ponownie zasiadł za sterami.

Tym razem cofnął się o trzydzieści pięć lat, do czasów sprzed narodzin Loris. Do okresu, w którym ani jej, ani Helmara nie było jeszcze na świecie. I zanim, miał nadzieję, Corith wyruszył na fatalne w skutkach spotkanie w dalekiej przeszłości.

I tym razem przybył późną nocą. Nie miał trudności ze znalezieniem podziemnych warsztatów Kwatery z tamtego okresu, ale pracownia Coritha była oczywiście szczelnie zamknięta. Umiejętnie wykorzystał możliwości statku czasu, by znaleźć właściwy moment do wejścia. W pewnej chwili drzwi warsztatu otworzyły się i Corith wyszedł w poszukiwaniu potrzebnego mu narzędzia. Pomieszczenie było puste, a sprawdzenie najbliższej przyszłości wykazało, że Corith nie wróci przez co najmniej dwie godziny.

Po wejściu do warsztatu Parsons zobaczył leżące tu i tam, nie wykończone jeszcze kostiumy Indian. Na pulpicie Coritha leżała głowa bizona. Parsons zauważył również słoiczki z pigmentami i fotografie Indian z dawnych szczepów. Spacerował po pracowni, oglądając wszystko. Przy tokarce znalazł trzy strzały, ale tylko jedna miała już umocowany krzemienisty grot. Z dziwnym uczuciem wziął do ręki dłuto, którego używał Corith. Obok leżał nie obrobiony krzemień. Spostrzegł też książkę na temat rękodzieła w epoce kamiennej, która musiała służyć Corithowi za przewodnik. Ciężka księga stała otwarta przy ścianie, podparta kawałkiem drewnianego klocka. Była napisana po angielsku i pochodziła z biblioteki

Uniwersytetu Kalifornijskiego. Powinna była zostać zwrócona przez wypożyczającego do dnia 12 marca 1938 roku. Po tej dacie za niezwrócenie książki groziła grzywna.

Zamiast wybrać gotową strzałę, Parsons zdecydował się na inną, jeszcze nie skończoną. Uznał, że Corith tak łatwo nie zauważy jej braku. Przyjrząwszy się rysunkowi w książce i gotowej strzale, stwierdził, że nie będzie miał trudności z umocowaniem grota i pierzastych lotek.

Usiadł przy warsztacie i po dobrej godzinie trzymał w ręce wykończoną strzałę. Ciekaw jestem, czy poszło mi tak dobrze jak Corithowi, zastanowił się.

Zabrał strzałę i ostrożnie wymknął się z warsztatu. Opuścił podziemia, wspiął się na pochylnię, przebył korytarze i dotarł do statku. Nikt go nie widział. Był bezpieczny.

Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak tylko dokonać samego aktu morderstwa, pomyślał. Czy jestem w stanie to zrobić? Nagle uświadomił sobie, że musi.

Już raz tego dokonał.

Bardzo precyzyjnie ustalił czas. Wybrał okres, kiedy Corith dochodził do siebie po operacji, którą on sam przeprowadził. Raz za razem sprawdzał ustawienie zegarów. Gdyby w tym momencie popełnił błąd...

Ale z poczuciem bezradności wiedział, że nie popełni omyłki. A raczej, że jej nie popełnił. Zawinał strzałę i schował ją za koszulę.

Tę podróż musiał odbyć zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Pokój, gdzie leżał Corith, był dobrze strzeżony. Nie mógł tam wejść nie zauważony i nie rozpoznany. Oczywiście strażnicy wpuściliby go, lecz również zapamiętali jego wizytę. Musiał pojawić się od razu tuż przy łóżku pacjenta.

Z tą samą co poprzednio precyzją zaczął ustawiać przyrządy, które miały umieścić statek we właściwej przestrzeni. Zgranie dwóch czynników – czasu i miejsca, właściwy punkt na wykresie... Tablica przyrządów szumiała, zegary pracowały,

rejestrowały, wskazywały... I nagle, samoczynnie, konsola wyłączyła się. Podróż dobiegła końca. Zgodnie ze wskazaniami przyrządów przybył na miejsce.

Gwałtownie otworzył drzwiczki statku.

Pokój o białych ścianach wyglądał znajomo. Na lewo stało łóżko, na którym leżał mężczyzna o mocnych rysach ciemnej twarzy. Oczy miał zamknięte.

Udało się!

Parsons podszedł do łóżka i pochylił się. Miał tylko sekundy, musiał się śpieszyć. Wyciągnął strzałę i rozpakował ją. Mężczyzna na łóżku oddychał słabo. Duże, silne ręce spoczywały wzdłuż tułowia, kontrastując swą miedzianą barwą z białą pościeli. Z poduszki spływały gęste, czarne włosy. Znowu, pomyślał Parsons. Jakby tamten jeden raz nie wystarczył nam obu. Z drżeniem uniósł grot obiema rękami. Czy to jest odpowiednie miejsce? – zastanowił się. Tak. Miękką, podatną na zranienie okolica serca... Sam otworzył klatkę piersiową w celu przeprowadzenia operacji.

Dobry Boże! Uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że musi wbić strzałę w świeżo zszyte mięśnie. W to miejsce, które tak niedawno operował! Co za ironia...

Powieki Coritha zadrgały, a oddech zmienił się. I gdy Parsons stał tak nad nim, trzymając w dłoniach uniesioną strzałę, Corith otworzył oczy.

Spojrzał na Parsonsa zrazu pustym, niewidzącym wzrokiem. Lecz po chwili, niemal niedostrzegalnie, jego spojrzenie stało się przytomne. Rysy zmęczonej twarzy stężały. Parsons już opuszczał strzałę, ale ręce tak mu się trzęsły, że musiał wziąć zamach od początku.

Czarne oczy wpatrywały się w niego. Usta rozchyliły się, wargi drgnęły. Corith próbował coś powiedzieć.

Po trzydziestu pięciu latach wrócić do życia tylko po to, by...

Ręka Coritha uniosła się o cal nad prześcieradło i opadła z powrotem. Z jego ust wydobył się szept:

–To ty... Znowu...

–Wybacz mi – wykrztusił Parsons.

W ciemnych oczach zobaczył zrozumienie: Corith wiedział o strzale. Znow uniósł rękę, jakby próbując po nią sięgnąć, ale nie odrywał wzroku od Parsonsa.

–Byłeś przeciwko mnie – powiedział słabo. – Od samego początku. Szpiegowałeś mnie, gdy pracowałem... Okłamywałeś... Udawałeś, że jesteś po mojej stronie...

Słabe, drżące ręce dotknęły strzały i opadły. Świadomość odpłynęła. Corith przyglądał się Parsonswi z niedowierzaniem, wylęknionym wzrokiem dziecka.

Nie potrafię tego zrobić, pomyślał Parsons. To by zaprzeczyło wszystkim zasadom, jakimi kierowałem się całe życie. Nie zrobię tego, nawet jeśli to oznacza moją własną śmierć, jeśli ten człowiek ocknie się, wymieni moje nazwisko, wskaże mnie, aby w ten sposób dokonać odwetu. Odwetu fanatyka i paranoika.

Opuścił strzałę, a wreszcie rzucił ją na podłogę obok łóżka. Czuł paraliżujący go strach i gorycz przegranej. Teraz ten człowiek może zrealizować swój plan, pomyślał, stojąc obok łóżka i patrząc w dół na Coritha, Nic go nie powstrzyma. Ten szalenciec najpierw zniszczy mnie, a później zwróci się przeciwko reszcie swoich "wrogów". Ale, mimo wszystko, nie potrafię tego zrobić.

Chwiejnym krokiem wrócił do statku. Wsiadł i zaryglował za sobą drzwiczki. Nawet tutaj nie jestem bezpieczny, uświadomił sobie. Nagłym ruchem sięgnął do sterów i przeniósł statek w czasie o dwie godziny naprzód. Dwie godziny czy dwa tysiące lat, to bez różnicy, kiedy Corith żyje. Tamtemu Parsonswi, z wcześniejszego okresu, też jest to obojętne. Parsonswi siedzącemu z Loris i czekającemu, aż jego pacjent

odzyska przytomność.

Teraz przeszłość może ruszyć nowym torem. Może się ji zacząć nowy ciąg przyczyn i skutków. Zaczęło się to w momencie, kiedy stojąc przy łóżku, nie byłem zdolny do wbicia strzały w pierś tego człowieka, pomyślał, kiedy pozostawiłem go przy życiu. Rozpocznie się teraz budowa całkiem nowego świata, który będzie się rozwijał z własną, dynamiczną siłą.

Wyłączywszy urządzenia sterownicze statku czasu, podszedł z wahaniem do drzwiczek. Czy mam ochotę to oglądać? – zadał sobie pytanie. Coritha odzyskującego przytomność, otaczającą go rodzinę... I siebie? Wszystkich uradowanych, szczęśliwych, że spełniło się ich marzenie. Pochylających się, by nie uronić żadnego słowa Coritha.

Czy mogę na to patrzeć?

Dziwne, że wciąż tu jeszcze był. Oczekiwał, że zmiany w rzeczywistości rozpoczną się natychmiast, w momencie gdy odszedł od łóżka.

Jednak musiał to zobaczyć.

Otworzył szarpnięciem drzwiczki statku... i ujrzał scenę, którą już raz przeżywał. Ludzie stab' przy łóżku plecami do niego, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Skomplikowana maszyna obsługująca Sześcian Życia Kwatery była w ruchu, pompy działały. Coritha umieszczono już w zamrażającym płynie. Twarze obecnych w pokoju przepełniał smutek. Postać mężczyzny zaczynała się unosić w swym płynnym środowisku.

Z piersi Coritha, jak poprzednio, sterczała strzała.

Parsons gwałtownie zatrzęsnał drzwiczki. Wystukał cyfry na klawiaturze i skierował statek czasu przed siebie, byle dalej od tamtej sceny. Zauważono go? Z pewnością nie. W pokoju panował ruch i zamieszanie, ludzie wchodzili i wychodzili. A on sam... Widział też siebie samego stojącego wraz z Loris obok Sześcianu Życia. Podobnie jak ona zaszokowanego, niezdolnego zrozumieć ani wyjaśnić, ani nawet przyjąć do wiadomości tego, co się stało.

Tak się czuł i teraz.

Wstrząśnięty usiadł za sterami. Więc to nie ja, uzmysłowił sobie nagle. Nie ja go zabiłem. Ktoś inny zrobił to za drugim razem.

Ale kto?

Musiał cofnąć się w czasie, żeby się tego dowiedzieć. Kiedy opuścił pokój Coritha i

wracał na statek, przybył ktoś inny. Loris? Ale przecież wtedy była z nim. Byli razem, gdy Helmar przyniósł tę wiadomość.

Helmar?

Gdyby Corith powrócił do życia, Helmar po raz pierwszy straciłby swoją pozycję. Jego potężny ojciec powracając przejąłby z łatwością przywództwo nad Plemieniem Wilków. Helmar byłby nikim. Albo...

Parsons zaczął metodycznie, jeden po drugim, ustawiać przyrządy sterujące statkiem czasu.

Kogo ujrzy, kiedy otworzy drzwiczki? Z dokładnością co do sekundy doprowadził statek do momentu tuż po opuszczeniu przez siebie pokoju. Nie mogło być żadnych luk w czasie. Musiał prześledzić całą scenę. Doszedł do wniosku, że to zdarzyło się niemal równocześnie. Kiedy tylko wyszedłem, dostał się tam ktoś inny, pomyślał. Ktoś otworzył drzwi i wśliznął się do pokoju. Może nawet mnie widział. On – albo ona – czekał tylko, aż wyjdę.

Przerzucając stery na pozycję "wyłączone", zerwał się i skoczył do drzwiczek. Otworzył je i spojrzał w głąb pokoju.

Przy łóżku stały dwie postacie – mężczyzna i kobieta, pochyleni nad leżącym na wznak Corithem. Ramię mężczyzny uniosło się i opadło. Akt się dokonał. Oboje szybko i cicho oddalili się od łóżka, jakby to, co przed chwilą zrobili, było czymś normalnym. Nie tracili czasu. Ich ruchy były wprawne, opanowane. Najwyraźniej każdy krok został dokładnie przemyślany na długo przed akcją. Gdy się odwrócili, ujrzał ich skupione, napięte twarze. Nigdy przedtem nie widział żadnego z tych dwojga. Byli mu zupełnie obcy.

Nie mieli więcej niż po osiemnaście, dziewiętnaście lat. Ich gładkie twarze miały zdecydowane rysy, a skóra niemal tak jasną barwę jak jego własna. Włosy kobiety były koloru pszenicy, a oczy niebieskie. Mężczyzna, o nieco ciemniejszej karnacji, miał grubsze brwi i prawie czarne włosy. Ale oboje mieli te same, wystające kości policzkowe i taki sam kształt szczęki. Zobaczył, że są do siebie podobni, a w ich oczach odbijała się jasność umysłu, energia i wysoka inteligencja.

Kobieta, lub raczej dziewczyna, przypominała mu Loris.

Miała jej budowę ciała, mocne ramiona i biodra. Sylwetka mężczyzny też była jakby znajoma.

–Witaj – zwróciła się dziewczyna do Parsonsa.

Para ubrana była w szare togi Plemienia Wilków, ale bez znajomych emblematów.

Piersi obojga przyozdabiał nowy symbol: dwa skrzyżowane węże oplatające laskę herolda zwieńczoną rozwartymi skrzydłami. Kaduceusz. Starożytny symbol lekarskiej profesji.

–Doktorze – powiedział chłopak – musimy się stąd natychmiast wynosić. Czy zabierzesz moją siostrę do swojego statku?

Wyciągnął rękę i Parsons ujrzał obok swego statku czasu identyczną metalową kulę z otwartymi drzwiczkami.

–Spotkamy się w przyszłości – dodał chłopak. – Grace wie, w którym momencie.

Uśmiechnął się przelotnie do Parsonsa i pobiegł w kierunku swojego statku. Drzwiczki zamknęły się i maszyna natychmiast zniknęła.

–Proszę, doktorze... – dziewczyna dotknęła ramienia Parsonsa. – Pozwolisz mi usiąść za sterami? Będzie szybciej, niż gdybym miała ci wszystko wyjaśniać.

Ruszyła do statku. Poszedł za nią bez słowa, pozwalając, by zamknęła za nim drzwiczki.

–Co słyhać u waszej matki? – zapytał po chwili.

–Wszystko w porządku – odparła dziewczyna. – Zobaczysz ją.

–Jesteście dziećmi Loris, prawda? Z przyszłości.

–Twoimi też – odpowiedziała dziewczyna. – Spotkałeś swoją córkę i swojego syna.

Statek czasu ruszył w przyszłość, a Parsons wreszcie zrozumiał, dlaczego Loris zmieniła zdanie. Dlaczego wróciła po niego do Nowej Anglii, mimo iż wiedziała, że zabił jej ojca.

Podczas minionego miesiąca zorientowała się, że jest w ciąży. Może nawet udała się w przyszłość, by zobaczyć ich wspólne dzieci. W każdym razie pozwoliła, by się urodziły. Nie usunęła potajemnie zygot i nie umieściła w wielkim Sześciannie Życia, gdzie zniknęłyby pośród setek milionów innych.

Zdawszy sobie z tego sprawę, pomyślał nagle o Loris z głęboką czułością. Był z niej dumny.

–Jak ma na imię twój brat? – zapytał dziewczynę. Świadomość, że rozmawia z własną córką, pogłębiła jeszcze jego uczucia.

–Nathan – odparła Grace. – Nasza, matka chciała, żebyśmy mieli takie imiona, które by się tobie spodobały.

Podniosła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

–Czy uważasz, że wyglądamy tak jak ty? Rozpoznałbyś nas?

–Nie jestem pewien – odrzekł Parsons, zbyt przejęty, by zastanawiać się nad tym akurat w tej chwili.

–Wiedzieliśmy o tobie – wyznała Grace – ale liczyliśmy też na to, że cię zobaczymy. Mieliśmy pewność, że przybędziesz tam, by zrobić to, co musiało być zrobione. I wiedzieliśmy, że nie będziesz w stanie tego zrobić.

I wtedy wy cofnęliście się w czasie, by przyjść mi z pomocą, pomyślał Parsons. I zrobiliście to. Oboje.

–Co o tym sądzi wasza matka? – zapytał.

–Rozumie, że to była konieczność. Nie mogła sobie pozwolić na to, by mieć dzieci z Corithern, własnym ojcem. Za dużo już było takich związków w rodzinie. Miała tego świadomość nawet w twoich czasach, ale wydawało się, że nie istnieje alternatywa. Starsza pani, nasza wspaniała babcia Nixina, nie pozwoliłaby na nic innego. Oczywiście w naszych czasach ona już od dawna nie żyje.

–Powiedz mi, dlaczego nosicie na ubraniach emblemat kaduceusza?

–Lepiej poczekajmy, aż będziemy wszyscy razem. Matka, mój brat, ty i ja.

Rodzina w komplecie, pomyślał Parsons.

–Opowiadała ci o mnie? – zapytał dziewczynę.

–O, tak – odrzekła Grace. – Wszystko. Długo czekaliśmy, by cię zobaczyć na własne oczy.

Jej równe białe zęby błysnęły w uśmiechu. Dokładnie tak samo uśmiechała się do mnie Loris, pomyślał. Historia się powtarza. Ta dziewczyna też czekała rok po roku, przez całe swoje życie na moment, kiedy po raz pierwszy ujrzy swego ojca. Ale ja, w przeciwieństwie do Coritha, nie zostałem pogrzebany w przezroczyście sześcianie.

Gdy wraz z córką wysiadł ze statku czasu, wyszła im na spotkanie Loris. Siwowłosa, przystojna kobieta w średnim wieku, pomyślał. Ma koło sześćdziesiątki, ale z jej twarzy wciąż bije siła. I wciąż prosto się trzyma.

Wyciągnęła rękę i ujrzał radość w jej dużych, ciemnych oczach.

–Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, przeklinałam cię – powiedziała Loris mocnym głosem. – Wybacz mi, Jim.

–Nie mogłem się na to zdobyć – usprawiedliwił się. – Wszedłem tam i to wszystko.

–Dla mnie to było tak dawno temu... – westchnęła. – Jak ci się podobają nasze dzieci?

Przyciągnęła do siebie Grace. Z drugiego statku czasu wyłonił się Nathan.

–Mają prawie dziewiętnaście lat – ciągnęła Loris. – Prawda, że wyglądają zdrowo i krzepko?

–Owszem – przyznał, przyglądając się całej trójce. Jakże podobna byłaby sytuacja Coritha, gdyby powrócił do

życia, pomyślał. Żona, o wiele starsza od niego, i dwoje dzieci, o istnieniu których nawet nie wiedział...

–Połączenie cech mojej rasy z cechami twojej dało wspaniały efekt – dodał po chwili.

–Związek przeciwieństw – zauważyła Loris. – Wejdźmy do środka. Trzeba usiąść i porozmawiać. Możesz chyba zostać* z nami jakiś czas, zanim wrócisz do swojej epoki?

Do mojej żony, pomyślał. Jakże trudno pogodzić jedno z drugim. Tamto życie z tym, co widzę tutaj.

Kwaterna Wilków nie zmieniła się przez dwadzieścia lat. Te same ciemne, masywne belki sprzed wieków, szerokie schody i kamienne mury, które wywarły na nim takie wrażenie. Ta budowla przetrwa jeszcze bardzo długo, pomyślał. Otoczenie Kwatery również wyglądało tak jak niegdyś. Trawniki, drzewa i klomby z kwiatami były te same.

–Stenog pozostał w skórze Drake'a jeszcze przez jakieś dziesięć lat – opowiadała Loris. – Na wypadek, gdyby mój ojciec chciał jeszcze raz spróbować. Nie orientował się w naszym położeniu. Wierzył, że Corith wciąż może próbować go zabić. Ale w tej chwili mija dwadzieścia lat od czasu, gdy mój ojciec został ostatecznie pogrzebany. Nie próbowaliśmy go już przywracać do życia. Nixina zmarła wkrótce po naszym powrocie z Nowej Anglii, a bez niej straciliśmy ochotę do dalszych działań.

Siła napędowa tej całej akcji, pomyślał Parsons. Okrutne, bezlitosne plany zasuszonej starej damy, która wyobrażała sobie siebie w roli bojowniczkii o wskrzeszenie pradawnej rasy ludzkiej.

–Odkrycie, że człowiek, którego uważaliśmy za symbol białych zdobywców, jest w rzeczywistości postacią z naszej epoki, było dla nas wielkim ciosem – ciągnęła Loris. – Urodził się w tych czasach, w naszej kulturze, wyznawał jej wartości. Stenog wrócił w przeszłość, by bronić naszej kultury. To znaczy, tych jej aspektów, które mu odpowiadały. Nasze plemię, jak ci wiadomo, nie popiera takiego systemu urodzin i takiego podejścia do śmierci. Mam ci na ten temat coś do powiedzenia, Jim.

Kiedy później całą czwórką siedzieli przy kawie, przyglądając się sobie wzajemnie, Parsons zapytał:

–No to dlaczego nosicie symbol kaduceusza? Do tej pory zdążył już nabrać pewnych podejrzeń.

–Idziemy w twoje ślady, doktorze – odpowiedziała mu córka.

–No właśnie! – podchwycił z podnieceniem Nathan. – To na razie nielegalne, ale już wkrótce wszystko się zmieni. Wiemy, że za dziesięć lat ten zawód zostanie uznany. Sprawdzaliśmy w przyszłości.

Jego młoda twarz jaśniała dumą i zdecydowaniem. Parsons dostrzegł w nim ślad dziedzicznego fanatyzmu, pragnienie, by za wszelką cenę dopiąć swego. Ale ten chłopiec stał obiema nogami na ziemi; tak samo jego siostra. Oblędne marzenia pozostały w przeszłości.

Przynajmniej miał taką nadzieję. Przeniósł wzrok na Loris. Na postarzałą Loris.

Czy potrafi nimi odpowiednio pokierować? – zastanawiał się, myśląc o dzieciach. Wciąż miał w pamięci obraz chłopca i dziewczyny stojących obok łóżka Coritha.

Szybki akt, który dokonał się na przestrzeni zaledwie sekund. On nie był w stanie tego zrobić, więc oni go wyręczyli. Zajęli jego miejsce, bo wierzyli, że tak trzeba. Może mieli rację, ale...

–Chciałbym, żebyście mi opowiedzieli o waszej nielegalnej grupie – poprosił, wskazując symbole kaduceusza.

Chłopak i dziewczyna zaczęli z entuzjazmem opowiadać, przerywając sobie nawzajem i prześcigając się w gorliwości.

Loris przypatrywała się im w milczeniu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Parsons dowiedział się, że ich profesją (jak to nazwali) zajmuje się grupa licząca około stu czterdziestu członków. Kilka osób zostało schwytanych przez władze i zesłanych do kolonii karnych na Marsie. Grupa zajmuje się głównie propagowaniem swoich wywrotowych idei, domagając się usunięcia eutanoriów i przywrócenia naturalnego trybu narodzin, a przynajmniej przyznania kobietom prawa do zachodzenia w ciążę i rodzenia; mogłyby także przekazywać zygoty do Sześcianu Życia, jeśli taka będzie ich wola. Chodzi tylko o prawo wyboru. Podstawowym żądaniem jest również zaprzestanie przymusowej sterylizacji młodych mężczyzn.

Przerywając relacje dzieci, Loris wtrąciła:

–Rozumiesz... Jestem nadal Matką Przełożoną i udało mi się uchronić przed tym małą grupkę mężczyzn... Jest ich wprawdzie niewielu, ale wystarczająco dużo, by mieć nadzieję...

Może nie mają innego wyjścia, jak być fanatykami, pomyślał Parsons. W świecie takim jak ten, gdzie trzeba walczyć z przymusową sterylizacją, zesłaniami bez sądu do kolonii karnych, ziejącymi nienawiścią shupo... A u podstaw tego wszystkiego leży etos śmierci. Ten ustrój nastawiony jest na poświęcenie jednostki w imię przyszłości. Nawet jeżeli ma jakieś zalety...

–Domyślam się, że nie ma szansy, żebyś mógł tu pozostać – przerwała jego rozmyślenia Grace. – Z mamą i z nami.

Parsons poczuł się niezręcznie.

–Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, że w mojej epoce mam żonę – powiedział z zażenowaniem, czując, że się rumieni. Ale żadne z dzieci nie wydawało się zaskoczone lub zakłopotane.

–Wiemy o tym – powiedział po prostu Nathan. – Kilka razy wybraliśmy się w przeszłość, żeby na ciebie popatrzeć. Mama nas tam zabrała, kiedy byliśmy młodszy. Namówiliśmy ją. Twoja żona wygląda na miłą osobę.

–Bądźmy realistami – powiedziała trzeźwo Loris. – Jim jest teraz młodszy ode mnie o dwadzieścia lat,

Ale coś w jej oczach, jakieś przeświadczenie, kazało Parsonsowi zastanowić się, o czym Loris naprawdę myśli.

Co ona wie na mój temat? – zastanawiał się. Może coś, o czym ja sam nie mam sposobu się dowiedzieć? Mogę przecież używać swego sprzętu do przenoszenia się w czasie w różnych celach.

–Wiem, co się gnębi, Jim – powiedziała Loris ściszym głosem. – Widziałeś, jak dzieci zabiły mojego ojca. Chcę ci wyjaśnić, dlaczego to zrobiły. Obawiasz się, że to maniackalny fanatyzm tej rodziny, objawiający się w kolejnym pokoleniu? Mylisz się. Zabiły Coritha, by uratować ci życie. Gdyby żył, zniszczyłby cię. Ja to wiem i one to wiedzą. Zobaczyły, że nie jesteś w stanie tego zrobić i to tylko zwiększyło ich podziw dla ciebie. Zachowałeś się najbardziej moralnie, jak można było w tej sytuacji. Lecz twoje życie znaczy dla nich zbyt wiele, by mogły dopuścić, że coś ci się stanie. Ich wyobrażenie

o tobie opiera się na tym, co im o tobie opowiadałam i na tym, co same widziały. Ukształtowałaś je, ty i twój system wartości. Twoja moralność i twój stosunek do innych. I to ty, za pośrednictwem zawodu, który sobie wybrały, odmienisz to społeczeństwo. Mimo że ciebie samego tu nie będzie.

Przez chwilę panowało milczenie.

–Udzieliłeś temu społeczeństwu skutecznej i przekonującej lekcji – dodała Loris. – Ty i twoja profesja.

Parsons nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

–Dziękuję ci – rzekł w końcu.

Cała trójka uśmiechnęła się do niego z wielką czułością

i miłością. Moja rodzina, pomyślał. A w tych dzieciach skupiło się to, co najlepsze w nas obojgu. We mnie i w Loris.

–Czy chcesz już wrócić do swojej własnej epoki? – zapytała ostrożnie Loris.

–Chyba powinienem – przytaknął.

Na twarzach dzieci pojawił się wyraz głębokiego zawodu i smutku. Ale nie odezwały się słowem. Zrozumiały.

W chwilę później Loris poprosiła Grace i Nathana, żeby wyszli. Parsons mógł na krótko zostać z nią sam na sam.

–Czy jeszcze kiedyś tu wrócę? – zapytał wprost.

–Tego ci nie powiem – odrzekła spokojnie,

–Ale ty to wiesz.

–Tak.

–Więc dlaczego nie chcesz mi tego zdradzić?

–Nie mogę pozbawiać cię możliwości wyboru – powiedziała. – Jeśli ci powiem, sprawa będzie wyglądała na przesądzoną, niezależną od twojej decyzji, choć oczywiście nadal mógłbyś dokonywać wyboru. Tak jak zdecydowałeś, że nie zabijesz mojego ojca.

–Czy uważasz, że taka możliwość rzeczywiście istnieje? Że to nie iluzja?

–Wierzę, że tak naprawdę jest – odparła. Niech i tak będzie, pomyślał.

–Jest jednak sprawa, w której nie masz wyboru – dodała Loris. – Wiesz, o czym mówię; wiesz, co pozostało do zrobienia. Oczywiście możesz to zrobić zarówno tutaj, jak i w swojej epoce.

–Wiem – odparł. – Ale chyba zrobię to tam.

–Zabiorę cię teraz z powrotem – powiedziała wstając. – Chcesz jeszcze raz zobaczyć dzieci, zanim odejdziesz?

Zawahał się.

–Nie – zdecydował w końcu. – Czuję, że muszę wracać, a gdybym je znów zobaczył, mógłbym zmienić zdanie.

–Całe swe dotychczasowe życie spędziły bez ciebie, jak ja – powiedziała Loris trzeźwo. – Choć dla ciebie była to tylko godzina. Jeśli postanowisz wrócić tu, do nas, w twoim życiu minie dwadzieścia lat. Ale dla nas... – uśmiechnęła się – to będzie pewnie kilka dni. Rozumiesz?

–Nie będziecie musieli czekać – odparł. Loris potakująco skinęła głową.

–Jakież to dziwne – zastanawiał się Parsons – mieć dwie rodziny w dwóch różnych epokach.

–Uważasz, że masz dwie rodziny? Ja widzę tylko jedną.

Tu, gdzie są dzieci? Tam, w twoich czasach, masz tylko żonę. Nie rodzinę.

Oczy Loris zabłysły zdecydowaniem, które tak dobrze znał.

–Trudno byłoby z tobą żyć – zauważył. Powiedział to pół żartem, ale rzeczywiście tak uważał.

–Bo to trudny okres w historii – odpowiedziała. Nie mógł się z tym nie zgodzić.

–Czy bałbyś się naszych tutejszych problemów? – zapytała, gdy podchodzili do statku czasu. – Nie, wiem, że nie – odpowiedziała sama sobie. – Nie ma w tobie strachu. Mógłbyś nam bardzo pomóc.

Kiedy zamknął już od wewnątrz drzwiczki statku, zapytał, co się stało z Helmarem.

–Przeszedł na stronę rządu – wyjaśniła Loris. – Przyłączył się do tamtych.

Parsons nie był zaskoczony.

–A Jepthe? – spytał.

–Jest tu, z nami. Odpoczywa. Jest coraz słabsza. Nie ma na starość tej siły, którą miała Nixina.

Loris włączyła urządzenia sterownicze. Parsons wreszcie był w drodze do domu, wracał do swej epoki.

–Obawiam się, że twój samochód został kompletnie rozbity – odezwała się Loris. – Kiedy zabierał cię nasz statek, nie mieliśmy jeszcze wystarczającego doświadczenia.

–Nic nie szkodzi – odrzekł Parsons. – Jest ubezpieczony.

Znów był na autostradzie ozdobionej tablicami o edukacyjnej treści. W jedną stronę mknęły samochody zdążające w kierunku San Francisco, w przeciwną te, które kierowały się do Los Angeles. Stał niezdecydowanie na poboczu, wdychając zapach oleandrów, które zasadzono na polecenie ministerstwa dróg publicznych pomiędzy jezdniami autostrady. Ciągnęły się całymi milami.

W końcu ruszył przed siebie ciężkim krokiem, zastanawiając

się, czy któryś z przejeżdżających samochodów zatrzyma się przy nim, co wiązało się z koniecznością wyłączenia pojazdu z zasięgu automatycznego zdalnego sterowania. Ale wlokąc się tak noga za nogą, myślami był już przy czekającej go pracy. Nie musiał się do niej zabierać od razu. W istocie miał na jej wykonanie całe

lata. Większość życia.

Pomyślał o swoim domu i o Mary, stojącej na frontowym ganku, tak jak ją widział po raz ostatni. Miał w pamięci jej obraz, machającej do niego ręką, rześkiej i świeżej, ubranej w zielone szerokie spodnie. Widział jej włosy lśniące w porannym słońcu, gdy wyjeżdżał do pracy.

Jak będę się czuł, gdy znów ją zobaczę? – zastanawiał się. I ciekaw jestem, kiedy znów powrócę do przyszłości...

Sposób komunikowania się z Loris został ustalony. Jakież to byłoby proste...

Jeden z samochodów zwolnił, opuścił pas ruchu i zatrzymał się na poboczu.

–Kłopoty z maszyną? – zawołał kierowca.

–Zgadza się – potwierdził Parsons. – Byłbym wdzięczny za podwiezienie do San Francisco.

Po chwili siedział w pojeździe. Samochód ruszył i włączył się z powrotem w strumień innych pojazdów.

–Muszę przyznać, że jest pan oryginalnie ubrany – zauważył kierowca z uprzejmym zdziwieniem.

Parsons uświadomił sobie, że powrócił do własnych czasów w stroju z całkiem innego świata i że zgubił gdzieś swoją szarą walizeczkę z instrumentami. Tym razem stracił ją na dobre.

Dostrzegł przed sobą pierścień zabudowań przemysłowych, otaczających San Francisco. Przyglądał się fabrykom, wieżom, torowiskom i zajezdniom, wylaniającym się poniżej autostrady.

Ciekaw jestem, skąd wezmę materiały, zastanowił się. I gdzie to powinno być umieszczone. Ale nie to było najważniejsze. Znalazł to i tylko to się liczyło.

Czy potrafię samodzielnie to wykonać? – zapytał samego siebie. Nigdy przedtem nie obrabiał kamienia. Oczywiście

sam napis musi być wykonany w metalu. Może po odpowiedniej praktyce da sobie radę? Nie musiałby wtedy nikogo zatrudniać.

Jeśli będę potrafił, zrobię to sam, zdecydował. Żeby nie było żadnej pomyłki. Tego muszę być pewien. W końcu od tego zależy moje życie.

Byłoby interesujące zobaczyć, jak powstaje tablica – tu, w jego własnych czasach.

Jaki stanowi kontrast ze skorodowanym, zniszczonym obeliskiem, który przywitał go w przyszłości, po upływie niezliczonych stuleci.

Ale robota została dobrze wykonana. I przeżyła wszystko, czego dokonał na tym świecie.

Może powinienem to zakopać, zastanawiał się. Głęboko w ziemi, z dala od ludzkiego wzroku. Przecież ta tablica nie będzie potrzebna jeszcze przez długi, długi czas...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/